

Przedmowa

Przed kilku laty odwiedziłem kolonie polskie w Ameryce Południowej. Badałem tam warunki życia Polaków za oceanem, a zwłaszcza ich potrzeby religijne, tak głośno wołające o zaspokojenie. Owocem tych objazdów duszpasterskich była książka „DROGĄ PIELGRZYMÓW“.

Teraz znowu nadarzyła się sposobność zetknięcia się z rodakami tej wielkiej ośmiomilionowej rzeszy wychodźczej na drugim krańcu świata. X. Franciszek Forecki, redaktor naczelny „Przewodnika Katolickiego“, w zamian za korespondencje zaproponował mi z okazji Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Manili bezpłatną podróż na Daleki Wschód.

Propozycję przyjąłem z wdzięcznością. Nęcił mnie bowiem od dawna Wschód, pełen tajemniczych osobliwości. Spodziewałem się po tej podróży wiele. I nie zawiodłem się. Bo oto przesunął się on przed moimi oczyma jak film przebogaty, różnobarwny.

Widziałem BOMBAJ, bramę Indii. Obok starych świątyń, obok potwornych wielorękich posągów bóstw i groźnych tajemnic kultu Sziwy i Kali, obok wspinających pałaców, tonących w orgii roślinności podzwrotnikowej, wyrastają tam organizacje nowoczesne, rozwija się odrębny nacjonalizm etyczny Gandhiego, rozpieszcza się drapieżne życie europejskie.

Jeździłem po CEJLONIE. Jest to najpiękniejsza wyspa na świecie, rubin rzucony z niebiosów na móżdżek, klasyczny kraj buddyzmu.

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

Byłem w SINGAPORE, w tym Gibraltarze Dalekiego Wschodu, jednym z największych portów świata, ukrytym w gęstym bukacie wysp, rozrzuconych na wodach jak barwne olbrzymie storczyki.

I oto katolickie Filipiny... Tłumy wierzących ogarniętych ekstazą, przekraczającą granicę rzeczywistości. W wezbraniu uczuć modlą się, płaczą, wołają w uniesieniu: „Niech żyje Chrystus Król“. Triumf nad triumfy Chrystusa Eucharystycznego!

Zmienia się obraz. Nieszczęśliwe i nieszczęsne CHINY, ogarnięte niegasnącym pożarem zawieruchy wojennej, na które dmuchają wszystkie szatańskie miechy zawistnych Eolów.

Staję pod urokiem JAPONII, tej krainy kwitnącej wiśni i chryzantem. Kraj rzucony między Wschodem a Zachodem. W kraju tym nowoczesność ożeniona z prastarą obrzędowością i etyką Samurajów rozwarły na wciąż bramy przed cywilizacją europejską, podnosząc naród na wysoki stopień cywilizacji.

Jadę przez KOREĘ, smętną krainę „cichego poranka“, gdzie ludzie po dziś dzień przeboleć nie mogą utraconej niepodległości. Wita mnie MANDZUKUO i wielka wstęga rzeki Sungari, nad którą rozbił namioty polski CHARBIN.

Dojeżdżam wreszcie do ROSJI, tego „najegzotyczniejszego kraju“ na świecie. Widzę świątynie spalone i ludzi posępnych i ogonki wyczekujących na swoją kolejkę w stolicy czerwonych carów...

Czułem wszędzie tę wielką jedność narodów, którą mimo wszelkich hasel międzynarodowych prawdziwie tylko chrześcijanie rozumieją i wcielają w życie. Tę jedność, która nie wyklucza patriotyzmu i umiłowania własnego narodu, jak miłość rodziny nie wyklucza miłości Ojczyzny.

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

Z podziwem patrzałem na pracę misjonarzy, tych szaleńców bożych, z trudem tylko i z poświęceniem uprawiających niwę misyjną. Uważałem sobie za zaszczyt, że mogłem osobiście stanąć w okopach misyjnych i odprawić dla Chińczyków czy Japończyków Mszę św.

Najbardziej jednak czułem się szczęśliwy, że wszędzie spotykałem Polaków. Przekonałem się przy tym, że nie ma większego miasta na świecie, gdzieby nie było naszych rodaków. W Colombo, Singapore, nawet w Kobe, czy Tokio słyszy się mowę polską. Wlecz się za rodakiem naszym tęsknica, człowieczy polski ból...

I jestem dumny z tego, że dla tych właśnie rodaków Pan Bóg pozwolił nam poświęcić się całkowicie. Wszak SEMINARIUM ZAGRANICZNE w Potulicach, założone przez J. Em. X. Kard. HLONDA, Prymasa Polski, ma to wielkie zadanie ratowania dusz naszych rodaków, rozproszonych po wszystkich lądach i wyspach świata.

Książka niniejsza, to zbiór wrażeń z mojej podróży. Wrażenia te ukazały się już częściowo we formie artykułów w „Przewodniku Katolickim“. Stąd ich styl prosty i popularny. Wszak były one przeznaczone dla najszerszych warstw. Nie chodziło mi też o zbyt drobiazgowe przedstawienie zjawisk. Trzymiesięczna podróż nie pozwoliła na wszechstronne zgłębienie życia wśród tych krajów, jakie dotykała czy musnęła tylko noga zziąjanego podróżnika. Odmalowałem głównie to, co słyszałem, lub co widziałem własnymi oczyma. Jest to więc niejako wizja, którą przywiozłem do domu na kliszy własnego oka.

Czemu piszę?

Tajemniczy Wschód zawsze nas pociąga, zwłaszcza teraz, kiedy w kotle japońsko-chińsko-sowieckim kipi

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

wrzątek i syczy donośniej niż kiedykolwiek... Daleki Wschód płonie i rozpala się toną coraz dalej, widoczna i na dziesiątki lat nie gasnąca.

Pragnę zainteresować, zwłaszcza młodzież polską. Ujrzy ona, te dalekie nieznane kraje, jakby na srebrnym ekranie! Ujrzy misjonarzy Dalekiego Wschodu, których żądza dusz gna i pędzi do heroicznych wprost poświęceń. Dzięki ofiarnej pracy tych prawdziwych łowców dusz, przedzierających się przez dżungle, budzą się do życia w Chrystusie nowe dzieci Kościoła św. Jakże szczęśliwym jest misjonarz po dniach upałów, głodu i pragnienia, snu na ziemi lub w twardej wozie, gdy patrzy na owoce swego trudu! Na miejscu potwornych bożków, czczonych koni czy słoni, staje kościółek Boży. Na miejscu buddów rozpościera swe ramiona Chrystusowy krzyż.

Warto się więc poświęcić na dalekich rozłogach dla Boga i ukochanej Ojczyzny.

Może łaska Boża rozbudzi niejedno drzemiące lub stłumione powołanie misyjne. Dusze ratować, dla Chrystusa zdobywać, to z królewskich najwięcej królewska rzecz. — Służyć zaś równocześnie Ojczyźnie i dla niej się poświęcać — to jasny i wielki szlak życiowy.

AUTOR

Potulice, dnia 1 lutego 1939 r.

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

Do Neapolu

Mijamy granicę — Przez kraj swastyki — Nad Sekwaną — Szwajcaria — U mistrza Paderewskiego — W Wiecznym Mieście — W porcie neapolitańskim — Conte Rosso odbija od brzegów.

Dzień 31 grudnia 1936 roku.

Ostatnia Msza św. na polskiej ziemi. W cichej kapliczce pokarmelickiej w Poznaniu modlimy się gorąco. Bracia Paweł i Andrzej, nasi pomocnicy duszpasterscy, wyjeżdżający do Paryża, wzdychają żarliwie. Wszak na ciężką wybierają się pracę — polskie dusze ratować, zagrożone nad Sekwaną.

Poznań jeszcze śpi. Na ulicach panuje dziwna cisza. W głębi ulicy parska ją gdzieniegdzie nozdrza końskie. Tu i tam błyskają ślepią reflektorów aut.

Na dworzec wpada z łoskotem ekspres paryski cały skąpany we mgle. Ładujemy nasze bagaże a potem pożegnanie serdeczne z tymi, którzy sercu naszemu drodzy.

— Jedźcie z Bogiem!

Oto ostatnie słowa usłyszane i pociąg uwozi nas za siódmą rzekę, za górę dziesiątą.

Mijamy granicę polską. Dzwony dzwonią

Przez Tajemniczy Wschód. 1

w zbąszyńskim kościele. Ostatnie pożegnanie spichowców polskich serc. Niewidzialną ręką Maryja błogosławi nasz misyjny trud.

Mam przed sobą podróż daleką. Na Daleki Wschód — na Filipiny, do Chin i Japonii — razem około 30.000 kilometrów. Toteż graniczny urzędnik, sprawdzający mój paszport, przeraził się na dobre.

Podczas postoju pociągu po stronie niemieckiej tworzą się ogonki przed kasą placówki celnej. Podróżni, wracający do Niemiec, wiozą z Polski różne artykuły spożywcze. Brak i ograniczenia na rynkach niemieckich są tego powodem.

Z mglistego poranku wyłania się tymczasem jasny słoneczny dzień. W przedziale robi się gwarно. Ludzie się ożywiają, zwierają się wzajemnie.

Wraca do Magdeburga pewna pani, rodowita łodzianka, z pogrzebu swego brata. Podczas okupacji niemieckiej wyszła za niemieckiego oficera. Zmieniła wiarę, obyczaj, zniemczyła się zupełnie.

Litujemy się nad jej biedną duszą. Padają słowa o Tej, co jest lekarką skolatanych dusz.

Zdrowaś Maryjo... — powtarza za nami — po raz pierwszy od lat dwudziestu. Nie wstydzi się łez i rozrzewnienia. Boć otucha wstąpiła do jej duszy.

Mijamy Berlin, rozrastający się do fantastycznych rozmiarów. Na ulicach tego miasta olbrzymie spotykamy tylko dwa pojazdy konne. Samochody zawładnęły Berlinem całkowicie.

Pod wieczór mijamy bogate Zagłębie westfalskie. Ponad kominami fabryk unoszą się gęsto pióropusze dymu. Praca wre. Fabryki wykonują tu liczne zamówienia.

Pociąg dudni po długim moście na Renie. W blaskach reflektorów witają nas potężne zarysy katedry kolońskiej, najpiękniejszej świątyni Niemiec.

Północ zastaje nas na ziemi belgijskiej. Dochodzi nas głos dzwonów z pobliskiego miasteczka. Słychać okrzyki, wystrzały. Nowy Rok!

Skupiamy się na chwilę, a potem z ust naszych płyną słowa modlitwy kapłańskiej:

„Królowi wieków, Nieśmiertelnemu i Niewidzialnemu, Jedynemu Bogu, niechaj będzie cześć i chwała na wieki“.

W Paryżu dostajemy się w gościnne ręce X. dra Paulusa, rektora Misji Polskiej. Na Rue St. Honoré, gdzie się znajduje polski kościół, a obok główna kwatera Misji — czujemy się jak w Polsce. Rozlegają się godzinki, kolędy. Z ambony padają słowa zachęty do wytrwania, mimo silnego naporu bezbożnictwa i komunizmu. Ludzi w kościele niedużo, mimo że w Paryżu mieszka około 30 tys. Polaków.

Agitacja robi swoje. Często, żeby nie stracić pracy, wstępują nasi do organizacji komunistycznych. Tam zaś o utratę wiary, a nawet polskiego honoru — nie trudno.

W jednej z fabryk pod Paryżem robotnicy pol-
1*

scy, należący do komunistycznej organizacji C. G. T., zwrócili się do dyrekcji fabryki z żądaniem, by zwolniono natychmiast robotników Polaków, zapisanych do Związku Chrześcijańskiego.

Dyrektor im tłumaczy, że to najlepsi pracownicy, że są ojcami rodzin. Nic nie pomaga. Polscy robotnicy-komuniści na znak protestu rozpoczynają strajk. To już triumf ślepoty i nienawiści!

Dusze giną. Giną tak często dla Boga i Polski. Toteż praca duszpasterska w tych warunkach napotyka na niesłychane trudności.

Praca w kamieniołomach — ktoś powiedział. I słusznie. Trzeba kruszyć zatwardziałe serca naszych rodaków, by tam dotrzeć mogła Chrystusowa łaska.

600 tys. Polaków we Francji. Im grozi bez wątpienia największe niebezpieczeństwo. 60 polskich kapłanów ratuje i umacnia, co się jeszcze da. Lecz ramiona im opadają w nadludzkiem wysiłku.

Nic ich jednak nie zraża. Ktoś wydrwi na ulicy, inny w twarz napluje. Nie jest przecież uczeń nad mistrza swego.

Zdaje się jednak, że położenie zaczyna się lekko poprawiać. Komuniści tracą popularność. Żywioły umiarkowane biorą górę.

Trzy dni później jadę przez Châlons do Szwajcarii. Od granicy roztaczają się z pociągu niezapomniane widoki. Spoglądają ku nam szczyty alpejskie, wiecznym śniegiem pokryte. Wchłaniamy w siebie ten obraz pełen majestatu i grozy.

W Lozannie podchodzi do mnie mężczyzna ujmującej powierzchowności i serdecznie mnie wita. Jest to pan Strakacz, sekretarz osobisty mistrza Ignacego Paderewskiego, wielkiego przyjaciela Seminarium Zagranicznego. On też odwozi mnie do Morges, gdzie Paderewski stale zamieszkuje.

Rezydencja mistrza położona jest wśród wspaniałego, olbrzymiego parku, który od strony Lemanu łagodnie opada ku wodom jeziora. Do parku wjeżdżamy przez wielkie żelazne wrota, zawieszane na dwóch granitowych kolumnach. Obok stoi domek odźwiernego, a w oddaleniu kilkudziesięciu metrów, widać dwupiętrowy pałac genialnego pianisty. Z tarasu, położonego po przeciwległej stronie pałacu, roztacza się precudny widok.

Dziwny nastrój panuje w pięknym pałacyku nad modrym Lemanem.

Obszerny holl zapełniają stylowe meble. Przepiękna chińska porcelana z XVI i XVII w. porostawiana jest w obszernych gablotach pod ścianami. Na środku zajął miejsce wielki stół bilardowy. Ściany poobwieszane są obrazami Malczewskiego, Kossaka, Wyczółkowskiego i innych. Spośród wszystkich wyróżnia się duży portret pułkownika House, malowany przez Wojciecha Kossaka. Pułkownik House i prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson byli serdecznymi przyjaciółmi znakomitego pianisty.

P. Strakacz wprowadza mnie do wspaniałego salonu, położonego obok hollu. Na ścianach wiszą wieńce laurowe, wstęgi złożone, niezliczone medale, pomniki chwały naszego wielkiego rodaka. W przeciwległych rogach sali rozmieszczone są dwa imponujące Stejnway'e, na których genialny muzyk koncertował w swych podróżach artystycznych po świecie.

Oglądam własnoręczne dedykacje papieży, królów, wybitnych mężów stanu, popiersia mistrza z marmuru i bronzu, ofiarowane przez wielbicieli. Na szczególną wzmiankę zasługują fotografie papieży Benedykta XV i Piusa XI w pięknych złotych ramach. Fotografia króla Belgów zawiera głęboką dedykację:

„Au liberateur de la Pologne et incomparable artiste-Albert“*).

Obok prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson, marszałkowie Francji Foch i Petain, Mussolini i generałowie armii amerykańskiej Pershing. Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt podpisał:

„To my old friend Paderewski“**).

Salonumeblowany stylowym garniturem Ludwika XVI. Inkrustowane srebrne szkatuły, dary różnych polskich stowarzyszeń, rozmieszczone są

*) „Oswobodzicielowi Polski i niezrównanemu artyście — Albert“.

**) „Mojemu staremu przyjacielowi Paderewskiemu“.

na stołach. Ściany obwieszane są portretami mistrza, wykonywanymi przez słynnych malarzy angielskich i amerykańskich. Fotografie największych sal amerykańskich, na których kilkudziesięcne tłumy wsłuchiwały się w precudne akordy mistrza. Z wszystkich tych pamiątek idzie tchnienie sławy. A w duszy budzi się wielka radość, że Polska takiego wydała syna.

Za chwilę zjawia się Paderewski. Z daleka już wyciąga ręce, pełen dobroci i uprzejmości. Mimo 75 lat trzyma się doskonale.

— Walczę z czasem — mówi żartobliwie.

Zapala się zwłaszcza, gdy mówi o potrzebach duszpasterskich na wychodźstwie. Wszak nikt tak dokładnie nie poznał wychodźstwa, jak ten nieoficjalny ambasador Polski. Zachwyca on się ideą Seminarium Zagranicznego, które ma wreszcie rozwiązać trudne zadanie duszpasterstwa polskiego za granicą

— Potulice — mówi Paderewski — to rzecz opatrnościowa. Wierzę, że szczególne błogosławieństwo Boże spocznie na tym wielkim dziele X. Prymasa.

Zbierają się zaproszeni goście, członkowie kolonii polskiej w Lozannie. Miła pogawędka przeciąga się do późnej nocy. Jest nam dobrze w gościnnym domu mistrza. Czujemy, że tu Polska — ta wielka i kochana — mimo, że opodal szumią mo-

dre fale Lemanu, a w dali majaczy góra Mont Blanc w blaskach księżycy...

Ekspres pędzi po mostach dudniących, zawieszonych nad przepaściami. Wpada z łoskotem w ciemne tunele, okrąża niebotyczne góry pięknej Szwajcarii.

Na jednej ze stacji spotykam zakonnika z przełęczu św. Bernarda. Utrzymują tam oni sferę tresowanych bernardynów. Psy te patrolują po górach, ratując podróżnych w niebezpieczeństwie.

Zbliżamy się do granicy włoskiej. Raz jeszcze napawamy się pięknem górskiego krajobrazu. Na usta cisną się słowa Krasińskiego:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękiły
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?

W Mediolanie, szczytującym się najpiękniejszym dworcem Włoch, wstępuję na chwilę do katedry, słynnej ze swej bajkowej architektury.

Pod wieczór zbliżamy się do Miasta Wiecznego. Na wstępie wita nas niby olbrzymią dłonią kopuła bazyliki Piotrowej, królująca nad morzem kościołów, pałaców i domów. Za chwilę już jestem w Kolegium Polskim księży Zmartwychwstańców.

W święto Trzech Króli jesteśmy świadkami podniosłej uroczystości w kościele polskim św. Stanisława. Ksiązę - metropolita krakowski Sapieha,

protektor kościoła, poświęca 5 nowych ołtarzy, zbudowanych z najpiękniejszego włoskiego marmuru. Ołtarze te powstały dzięki staraniom zasłużonego rektora tegoż kościoła, audytora św. Roty X. prał. dr Janasika.

W uroczystości wzięli również udział X. biskup Przeździecki, przedstawiciele obu naszych ambasad oraz dużo Polaków, mieszkańców Rzymu.

Wszyscy tu zaniepokojeni stanem zdrowia Ojca św. Na temat zdrowia krążą niepokojące wiadomości. Każdy zdaje sobie sprawę, że tylko cud zdolen uratować ukochanego Władcę Kościoła św. Toteż o cud modlą się ludzie z całą gorącością kochającego serca.

10 stycznia siadamy w Neapolu na okręt „Conte Rosso“. Tuż przed godziną 11 nadjeżdża kardynał - legat. Podnoszą banderę papieską. Orkiestry wojskowe grają marsza papieskiego. Zebrałe tłumy wiwatują entuzjastycznie.

Maszyny wydają jęk przeciągły. Dym czarny i gęsty bije z ogromnych kominów. Brzmia ostre sygnały syreny, rozluźniają się liny.

Zwolna, majestycznie „Conte Rosso“ opuszcza zatokę neapolitańską.

Płyniemy w daleki Boży świat.

♣

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

Morze Śródziemne i Kanał Sueski

Płynąca świątynia — Polski pielgrzym — Stromboli —
Marynarz tonie — Port Said — Przez Kanał Sueski —
Poświęcenie katedry — Zachodzi słońce afrykańskie.

Płyniemy na pełnym morzu. „Conte Rosso“, zamieniony na świątynię, niesie Tego, któremu szumią wody i słońce świeci. W kaplicy znajduje się Najświętszy Sakrament, a przy jedenastu ołtarzach odprawia się przeszło 80 mszy św. dziennie. Odbywa się tu całodzienna a d o r a c j a, a wieczorem uroczyste nabożeństwo. W gorących przemówieniach księży biskupi przygotowują nas na wielki dzień Kongresu Eucharystycznego w Manili.

— I staniemy w Manili — wołał wczoraj X. biskup U b a l d i — jako dzieci Kościoła, zebrane ze wszystkich stron ziemi, i z całym żarem wierzącej duszy błagać będziemy Chrystusa o litość, o pokój dla ginącego świata....

Jest nas na statku przeszło 400 pielgrzymów, w tym 13 biskupów z kardynałem - legatem D o u g h e r t y na czele. Jadą na kongres inne jeszcze pielgrzymki z różnych portów europejskich

ł pozaeuropejskich. Spodziewana jest również pielgrzymka polska z Ameryki.

W skład pielgrzymki polskiej na „Conte Rosso“ wchodzi: książę metropolita Adam Sapieha, X. biskup Przeździecki, X. biskup Kubina, 10 kapłanów oraz p. Piotr Baron, robotnik z Ligoty Dolnej z Śląska Opolskiego. Baron liczy lat 38 i jest nie żonaty. Pracował ciężko w hucie, zbierał grosz do grosza. I modlił się codziennie, żeby Pan Bóg mu pozwolił odbyć pielgrzymkę daleką. Nadarzyła się okazja, więc wybrał się w drogę.

Buduje wszystkich głęboką wiarą i dziecięcą wprost pobożnością. Od wczesnego ranka już jest w kaplicy i służy do mszy św. po kilka razy. Ponieważ zna dobrze język niemiecki, więc zbliża się do pasażerów, nawet Chińczyków i mówi im o Chrystusie i Matce Najświętszej.

Po raz pierwszy wyjechał z domu, więc wszystkim się interesuje na swój sposób i cieszy się jak dziecko.

— Jaki Pan Bóg dobry, jakim szczęśliwy — powtarza ciągle. — Nie myślałem, że taki piękny jest świat.

10 stycznia wieczorem płyniemy obok wysp Liparyjskich. Jest to archipelag na morzu Tyreńskim, złożony z 17 wysp. Najciekawszą z nich to wyspa z niewygasłym wulkanem Stromboli. Wulkan ten wznosi się 920 m. ponad poziom morza.

Oczom naszym przedstawił się niesamowity widok. Po zboczu północnym wulkanu spływała ognista lawa. Niby czerwony wąż ślizgała się gorącząca masa, buchając raz po raz większym płomieniem. Nad górą świeciła krwawa luna, groźny drogowskaz dla okrętów. Krzyżowcy, którzy również wtedy jechali na bój o Ziemię św., mieli słyszeć przeraźliwe jęki, wydobywające się z wulkanu. Zdawało im się, że to skarga mordowanych chrześcijan w mieście świętym Jeruzalem. Więc tu uroczyste przysięgi składali, że pomszczą śmierć niewinnych ofiar.

Widok buchającego ogniem wulkanu sprawił na pewnym benedyktynie średniowiecznym wrażenie ognia czyścowego. Kiedy mnich powrócił do Francji, zwierzył się z tego swoim braciom zakonnym, co skłoniło św. Odoną, opata kluniackiego, do ustanowienia święta umarłych w dniu 2 listopada. Zwyczaj benedyktynów sprawił, że później Dzień Zaduszny obchodził cały Kościół katolicki.

Stromboli jest piękny w swoim rodzaju, lecz również niebezpieczny. Jego wybuch w roku 1905 siał zniszczenie, a ogniste języki lawy zabiły wielu ludzi.

Trzy godziny później przejeżdżamy przez Cieśninę Mesyńską. Mijamy S c y l ę i C h a r y b d ę, o których krążą baśnie przedziwne. Między miastami Reggio a Mesyną prom morski łączy Kalabrię z Sycylią. Mesyna zbudowana jest na ruinach starego miasta. Jak wiadomo, straszne trzę-

sienie ziemi 18 grudnia 1908 r. zmiotło z powierzchni starą M e s y n ę, grzebiąc w jej ruinach 50 tys. mieszkańców.

11 stycznia przejeżdżamy obok wyspy K r e t y. Na tej wyspie znalazł się św. Paweł po rozbiciu okrętu. Z daleka tylko mającą 2400 m wysokie szczyty. Skamieniałe swe dłonie wyciągają ku niebu. O wschodzie słońca jak i o zachodzie śpiewają litanie i Boga adorują wspólnie z człowiekiem...

Po godz. 12 przeraźliwy ryk syreny! Maszyny stają. Na maszt wciągają banderę żółto - czerwona. Wśród załogi popłoch. Co się stało? Ktoś wydaje donośne wołanie: „uomo in mare“ — człowiek w morzu.

Marynarz - palacz C r i s t o f o r o B o d i s i o, chcąc się ochłodzić, usiadł na burcie. Wtem nagłe przechylenie się statku i palacz wpadł do wody... Rozpoczęły się poszukiwania. Kapitan wzywa na pomoc przejeżdżający obok okręt. Krążymy ciągle wokoło nieszczęsnego miejsca. Wszystkich elektryzuje pytanie, czy znajdziemy biednego marynarza.

Daremnie... Rozwścieczone fale białym bryzgiem uderzają o burty, lecz nie chcą wyrzucić ofiary, która pograżyła się w głębinie. A głębia na tym miejscu wynosi 3200 m...

Idzie więc telegram iskrowy do biednej wdowy w Trieście, że już nie ujrzy męża i że dzieci straciły żywiciela swego.

Cztery godziny po wypadku znowu alarm. Pasażerów wzywa się do nałożenia pasów ratunkowych. Niektórzy są przerażeni. Apel, kilka słów komendy i wszystko mija spokojnie.

13 stycznia. Przybijamy do portu w Port Said. Za nami już daleko Europa. Miasto, ludzie przypominają wschód. Krzykliwi Arabowie, inny język, obyczaj, religia — to odmienny już świat.

Port Said jest jednym z najruchliwszych portów świata. Pływają tu przeróżne statki pod flagami prawie wszystkich państw posiadających swoją żeglugę. Aż do pustyni ciągną się wzdłuż wybrzeża hale pełne towarów, magazyny, wielkie zbiorniki nafty. Nowa dzielnica miasta ma charakter europejski. Asfaltowane ulice, domy z galeriami, restauracje, hotele, szkoły znajdują się w tej części reprezentacyjnej miasta. Poza nowoczesnym centrum miasto jest niechlujne. Port jest obecnie wielką metropolią handlową, do której zbiegli się, obok solidnych kupców, ludzie nie liczący się z zasadami moralnymi, wiedzeni jedynie nieprzepartą żądzą szybkiego zubożenia się. Więc w mieście panoszy się nieuczciwość, wyzysk, oszustwo i straszna niemoralność. Nadto Port Said jest miastem najostrzejszych i najrozmaitszych kontrastów religijnych, społecznych, rasowych i politycznych.

Kupiec tutejszy sprzedaje wszelkiego rodzaju skóry, maty, kilimy, jedwabie, pióra wieczne, dre-

liczy, żółwie, żywe małpki, kameleony, jedwabne koszule, branzolety ze skarabeuszami. Słowem potrafi sprzedać wszystko czego dusza zapagnie, co tylko oryginalnego jest w tym kraju. Przeważnie jednak najoryginalniejsze pamiątki wykonane zostały w Europie. Kupcy przyjmują wszelką walutę świata i bez zaglądnia do ceduły giełdowej szybko przeliczają, zmieniają, wypłacają.

Na ulicy otoczyło mnie kilku wyrostków, ubranych w długie białe koszule. Zabiegali mi drogę, zaofiarowując mi swoje usługi w zepsutym języku francuskim i angielskim. Nie tylko mi nie pomogli lecz raczej przeszkodzili i rozproszyli mnie, zmuszając do czuwania i pamiętania o napisie w porcie: „Wystrzegać się złodziei“.

Port Said jest siedzibą wikariusza apostolskiego. Właśnie co wybudowano tu piękną katedrę pod wezwaniem Matki Boskiej. Korzystają więc z okazji przejazdu legata i proszą go o poświęcenie. Na uroczystość tę zaproszeni są również wszyscy pielgrzymi.

Jedziemy więc do miasta motorówkami a potem samochodami, użyczonymi nam przez tutejszych katolików. Miasto przybrało wygląd odświętny. Na gmachach publicznych powiewają sztandary papieskie i egipskie z białym półksiężycem i trzema gwiazdami na zielonym tle.

Porządku strzegą nubijscy policjanci na zgrabnych arabskich koniach.

Pod katedrą stoją chłopcy jakiegoś gimnazjum parami, ubrani w strój paziów z czasów Wawrzyńca Medyceusza I.

Poświęcenie odbywa się według przepisanej ceremoniału. W uroczystości biorą także udział dostojnicy egipscy, którzy i w kościele nie zdejmują fezów z głowy.

Widziałem Port Said 10 lat temu. Tak się rozbudowało, takie w nim zaszły zmiany, że trudno je poznać. Dziś to miasto stutysięczne z pięknymi, nowymi ulicami. A i ludzie się zmienili. Egipt od kilku miesięcy otrzymał wolność. Ludziska więc od razu głowy podnieśli do góry.

— Sidi — mówi mój przygodny przewodnik z brudnym fezem na głowie — teraz my panami. Biali mogą przyjeżdżać, ale my tu panami...

Zaopatrujemy się w hełmy tropikalne. Już tu bowiem robi się ciepło, a będzie pono jeszcze cieplej!

Port Said zawdzięcza swoje powstanie, swój rozwój Kanałowi Sueskiemu. Już dawno myślano o połączeniu Morza Śródziemnego z Morzem Czerwonym i Oceanem Indyjskim za pomocą kanału, który by skrócił drogę do Indyj o 30 dni. Był to jednak plan tak olbrzymi, że odkładano go na „lepsze czasy“. Dopiero w roku 1859 francuski inżynier L e s s e p s, uzyskawszy pomoc magnatów pieniężnych, podjął się tak trudnego zadania. Prace trwały 10 lat i pochłonęły wraz z póź-

niejszymi inwestycjami sumę około 3 miliardów naszych złotych polskich.

Kanał jest 162 km długi, 135 m szeroki i 10 m głęboki, tak że i nasz „Conte Rosso“ może swobodnie przejechać.

Jedziemy z przepisanaą szybkością 12 km na godzinę. Chodzi o to, by silne falowanie nie uszkodziło brzegów kanału. Okręt nasz sunie jak widmo. Na szerokich rozlewiskach polują flamingi i żarłoczne pelikany.

Potem znowu po lewej stronie szary piach pustyni. Karawany wielbłądów idą wyciągniętym sznurem. Beduini wymachują spalonymi przez słońce ramionami. Przeływamy gorzkie jezioro **M e n z a l e n**.

Mijamy **E l Q u a n t a r a**. Dotąd dochodzi kolej z Jerozolimy, zbudowana przez Anglików w czasie wojny. Tędy też przechodziła według tradycji św. Rodzina, uciekając do Egiptu. Niedawno tego miejsca wzniesiono skromny kościółek z Matką Boską, opiekunką pustyni, w ołtarzu.

Pamiętka z wojny światowej to zasieki koleczaste, wystające z żółtego piasku oraz wspaniały pomnik z napisem:

1914 D é f e n s e d u C a n a l d e S u e z 1918
— jako upamiętnienie obrony kanału przed atakiem wojsk niemiecko - tureckich.

Mijamy **I s m a l i j e** i jezioro gorzkie **T i m s a h**. Zachodzi słońce afrykańskie. Na niebie gra tęczyowych barw, zmienny pochód światła. Czer-

wona kula ognista ginie na nieboskłonie w fioletowych piaskach pustyni. Jadący brzegami kanału na wielbłądzie Arab rzuca się na ziemię i zwrócony w stronę Mekki odprawia modlitwę wieczorną. Przymykamy powieki. Myśl nasza biegnie do Polski, do jej świątyn progów, a ręce składają się do modlitwy pielgrzymiej.

Morze Czerwone

Nowa baza lotnicza — Kędy lud Izraela przeszedł morze suchą nogą — Mijamy Górę Synai — Gorąco — Bliskie Mekki — Massawa — Angielska strażnica.

Za S u e z e m, strażującym przy ujściu Kanału, rozpoczyna się M o r z e C z e r w o n e.

W miejscowości Geneffa, położonej przy ujściu Kanału do morza Czerwonego, budują potężną bazę lotniczą. Lotnisko zostanie wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, umożliwiające równoczesne lądowanie bądź startowanie pełnej eskadry o sile 40 samolotów. Dokoła lotniska będą rozlokowane liczne baterie artylerii przeciwlotniczej. Koszty budowy tej najpotężniejszej na Bliskim Wschodzie bazy lotniczej pokryje częściowo rząd egipski. Powstanie tej bazy pozostaje w związku z coraz częstszymi wypadkami przelotu ponad Kanałem Sueskim samolotów nieznanego pochodzenia. Zbliżając się do kanału, tajemnicze samoloty wznoszą się na wysokość od 7 do 8 tysięcy metrów, uniemożliwiając w ten sposób rozpoznanie ich przynależności z lądu. Zaniepokojone tym angielskie ministerstwo lotnictwa postano-

2*

wiło narazie wysłać na lotnisko cywilne w Port Said eskadrę samolotów pościgowych, wydając równocześnie rozkaz budowy nowego lotniska w Geneffie, które w razie wojny stanie się największą bazą wypadową brytyjskiej floty powietrznej na Bliskim Wschodzie.

W rozbudowie militarnej potęgi na Morzu Czerwonym silnie rywalizują z Anglikami Włosi, którzy budują port w Assab, jako militarną bazę morską oraz główny port handlowy imperium abisyńskiego. Assab zostanie połączony linią z Dżibuti. Kilka dróg łączy Assab z różnymi punktami Abisynii.

Miejsce przejścia Izraelitów przez Morze Czerwone wskazują na ogół kilkanaście kilometrów na południe od Suez. Ramię morskie jest tutaj około 20 km szerokie. Egipcjanie zajęli miejsce na północy. Na zachód były góry Attaka. Na wschód i południe morze. Wyjście z tej matni stało się niemożliwe.

...A gdy Mojżesz wyciągał ręce na morze, spędził je Pan wiatrem gwałtownym i gorącym, co dał całą noc, i obrócił w suszę, bo rozstała się woda. I weszli synowie Izraelowi przez pośrodek osuszonego morza, bo woda stała jako mur po prawej i po lewej ich stronie...

A Egipcjanie goniąc weszli za nimi i wszystka jazda faraonowa, wozy jego i jezdni przez pośrodek morza... I rzekł Pan do Mojżesza: Wyciągnij rękę twoją na morze, że spłyną z powrotem wody na Egipcjan, na wozy i na jezdnych ich. A gdy wyciągnął Mojżesz rękę ku morzu, wróciło o pierwszym świtaniu na dawne miejsce, a ucie-

kających Egipcjan zaskoczyły wody i pograżył ich Pan wśród fal... (Ks. Wyjścia R. XIV).

14 stycznia rano mijamy potężny masyw górski i wyłaniający się szczyt góry Jebel Musa 2650 m wysoki. Szczyt ten, to biblijna góra Synaj. Tu, w pobliżu tej góry, przygotowywał się Mojżesz do swej misji. Dotąd przyprowadził on później naród wybrany w drodze do Ziemi Obiecanej. Na szczycie tej góry wielki cudotwórca i wódz narodu rozmawiał z Bogiem. Wśród piorunów i błyskawic wręczył mu Pan Bóg tablice dziesięciorga przykazań. Była to chwila, której czekały wieki, a która wiekom przyniosła wielkie przeobrażenie. Oto jak chwilę tę opisuje Tetmajer:

„Albowiem na Synaj, skąd szedł kurz płomieni i dym buchał kłębami — zstępował z niebiosów Pan, wśród błyskawic skrzących i ogniów czerwieni, ryczących gromów i trąb mosiężnych rozgłosów.

I drżała wszystka góra od stóp aż do głowy i drżała wszystka ziemia co przyległa w trwodze jak lwica, gdy zobaczy w pustyni las na wzgórzach Libanu w łunie i podzie...”

Mówi się często o katuszach Morza Czerwonego. Jest w tym coś racji. Bo jeśli teraz w styczniu temperatura dochodzi do 33°, to o ile goręcej być musi w porze letniej.

Ludzie wyzbywają się niepotrzebnej garderoby. Przywdziewają płócienne ubrania tropikalne. Nawet nasi księża biskupi polscy noszą białe sutan-

ny i wyglądają jak prawdziwi afrykańscy misjonarze. Gorąco, więc wentylatory pracują, podróżni skaczą do basenów z orzeźwiajączą wodą morską, piją chłodniki i zajadają lody w najrozmaitszej postaci.

Za to na Morzu Czerwonym zupełnie spokojnie. Więc mimo upałów triumfują ci, którzy na nieco wzburzonym M o r z u Ś r ó d z i e m n y m włączyli się wymizerowani po pokładzie, raz po raz pochylając się poza burtę. Były to skutki choroby morskiej, która porządnie dawała się we znaki.

Po lewej stronie mijamy miasto D ż i d a c h, skąd zaledwie 80 km do M e k k i, świętego miasta muzułmanów. Tu zjeżdżają się pielgrzymi, odbywający pielgrzymkę drogą morską. Przybywa ich tu rocznie około 70 tysięcy. Drogą lądową przychodzi więcej niż 200 tysięcy.

W Dżidach znajduje się legendarny grobowiec Ewy, pramatki ludzkości. Do niej spieszą, wyciągając ręce w błagalnej modlitwie, kobiety maho-metańskie. Jej imię, pełne tajemnic utraconego raj, pełne mistycznego uroku kwiecistych baśni Wschodu, powtarzają w śpiewnym zawołaniu. Wierzą, że to mauzoleum jest naprawdę miejscem ostatecznego spoczynku tej, która dała początek całemu rodzajowi ludzkiemu.

Opowiada nam pewien Francuz, towarzysz podróży, który przebywał w tym mieście, że w czasie przybycia wielkich pielgrzymek panuje tam ścisk nie do opisania. Arabowie, Turcy, Kurdo-

wie, Albańczycy, Egipcjanie, Somalisi, czarni jak heban Senegalczyki, nawet Chińczycy wyruszają stąd do miejsca urodzenia Mahometa. Hadzi — pielgrzymi jadą na osłach, wielbłądach, kobiety w sukniach czarnych z czarną zasłoną na głowie, czarną jak ten święty kamień Kaaby, siedzą w koszach przymocowanych do garbów wielbłądzych. Panuje tam wówczas krzyk i hałas nieznośny. Czuć wyziewy spoconych ciał. Zapach gnijących odpadków miesza się z odurzającą wonią olejków wschodnich. Ujadanie zgłodniałych psów wtóruje żalonym nawoływaniom ślepych żebraków.

Jedna rzecz, która głęboko utkwiała w pamięci naszemu towarzyszowi, to widok tysięcy psów, zdychających z głodu na brzegu morza. Muzułmanie, którym religia zabrania zabijania psów, wyzbywają się ich w ten sposób, że rzucają je na brzeg morski.

Płyniemy wzdłuż brzegów angielskiego Sudanu, a potem włoskiej Erytrei. Tam za wysokimi górami rozegrała się wojna włosko-abisyńska. Połało się tam dużo ludzkiej krwi. Mówią o 60 tys. zabitych.

Spotykamy wojenny transportowiec włoski, wiozący strzelców górskich do Abisynii. Opowiadają nam Włosi, jadący naszym okrętem do Massawy a potem do Addis Abeby, że w Abisynii toczą się ciągle jeszcze krwawe walki. Żołnierzy włoskich znajduje się tam jeszcze pół miliona. Żołnierze, nie

pełniący służby frontowej, budują szosy. Wzajemian za to otrzymują jako dodatek do zwykłego żołdu 8 lirów dziennie.

15 stycznia odprawia się żałobna msza św. za poległych w tej wojnie Włochów i Abisyńczyków, którzy wierną służbę dla ojczyzny przypieczętowali ofiarą własnego życia.

16 stycznia o północy dojeżdżamy do *M a s s a w y*, jedyne go portu Erytrei. Port zaopatrzony w najnowsze urządzenia. Toteż z łatwością mogła tu lądować półmilionowa armia włoska, wyruszająca stąd na podbój Abisynii. Znalazły tu pomieszczenie również i silne eskadry floty morskiej Italii. — Przy wejściu do portu strażują torpedowce. Jaskrawe ich ślepie zdolne ujrzeć każde grożące niebezpieczeństwo.

Podjeżdżają motorówki. Wychodzą z nich oficerowie w białych mundurach z krótkimi rękawami. Salutują po faszystowsku, po czym w salonie załatwiają formalności. Okręt nasz opuszcza około 100 Włochów, udających się do Abisynii. Przyjmujemy za to na pokład killkunastu Hindusów, jadących do *B o m b a j u*. Z powodu spóźnionej pory nie wychodzimy na ląd.

Tegoż dnia pod wieczór opuszczamy wreszcie Morze Czerwone. Przejeżdżamy przez cieśninę *B a b e l M a n d e b* — bramę łoż, znaną kiedyś z niebezpieczeństw zagrażających morskiej żegludze. Cieśnina — ważny punkt strategiczny! Zjawia się więc od razu Anglia. W r. 1857 obsadza

małą skalną wysepkę **P e r i m**. Odtąd angielskie baterie czuwają pilnie, by nikt nie przejeżdżał cieśniną, stanowiącą wrota do Oceanu Indyjskiego.

Wszędobylski Francuz opowiada nam nieco o tej wysepce, która tu odgrywa rolę **G i b r a l t a r u**. Na wysepce nie ma wcale zieleni. Nie ma wody. Woda kosztuje tu prawie tyle, co wino, bo trzeba ją sprowadzać. Znajduje się również ważna stacja węglowa. Brązowi robotnicy arabscy za liche pieniądze dźwigają kosze z węglem wśród straszego upału, dochodzącego do 60° w cieniu. Załoga angielska zmienia się co dwa miesiące, bo trudno tu dłużej wytrzymać. Robotnicy zaś, wykazywani przez szejka Jemenu, pracują tu lata całe, póki nie padną zamęczeni przez nielitościwych dozorców.

I wówczas oczy ich zachodzące już mgłą śmierci, zwracają się w stronę Mekki i rodzinnego Jemenu i tej wioski rodzinnej, ukrytej w zagaju palmowym — a zsiniałe ich usta szepczą: **Allah Rahman, Allah Akbar...**

Na Oceanie Indyjskim

Szlakiem misjonarzy — Polska misjonarka — Mój hinduski przyjaciel — Ku czci Boga Eucharystycznego — Księżycowe wieczory — Dziwy na morzu.

Za **A d e n e m**, silną twierdzą angielską, znikają nam z oczu skaliste wybrzeża. Płyniemy na **O c e a n i e I n d y j s k i m**.

Ocean ten trzeci pod względem wielkości oblewa wschodnie wybrzeża Afryki, południową Azję i archipelag Malajski. Ma trzy wielkie zatoki, a mianowicie Perską i Bengalską oraz Morze Czerwone. Przestrzeń jego obejmuje 75 milionów kilometrów kwadratowych. Jego głębokość zaś wynosi 3 — 7 tysięcy metrów.

Szkoda, że „Conte Rosso“ nie płynie wzdłuż wyspy **S o k o t r y**, znanej z pobytu św. Franciszka Ksawerego. Tutaj wielki misjonarz Dalekiego Wschodu przebywał pewien czas, zanim odpłynął do **G o a**. Jedziemy więc szlakiem misjonarzy. Iluż z nich tędy już jechało. Iluż z nich już nigdy nie powróciło do ojczystych stron! A iluż ich tam jeszcze popłynie, tych szaleńców Bożych, gnanych namiętną żądzą zbawiania ludzkich dusz!

Dziś już nie ma okrętu, na którym by nie znajdowali się misjonarze lub siostry misjonarki. I wśród naszych pasażerów są przedstawiciele tej wielkiej armii misyjnej, którzy udają się na front do Indyj, na Filipiny, do Chin!

Jedzie z nami również jedna polska siostra misjonarka ze zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Maryi. Odkryliśmy ją wczoraj. Zostawiła na leżaku samouczek polsko-angielski. Po tym poznaliśmy, że prócz naszych pielgrzymów jeszcze ktoś mówi po polsku. Siostra ta nazywa się z domu Halina Kowalska i pochodzi z Warmii. Jedzie na Filipiny do pracy misyjnej wraz z innymi siostrami.

Polska ta misjonarka nie może się doczekać kresu podróży. Dusza jej przepojona żądzą ofiar z siebie, mimo że w duszy jej odzywa się tęsknota za Polską, której już nigdy oglądać nie będzie.

Dowodem tych uczuć, to wyjątki wierszyka przez nią napisanego:

...Zdala od ukochanej rodziny,
Od drogiej polskiej krainy
Serce zbolełe, stęknione
Wyrywa się w tę stronę,
Gdzie najpiękniejszych lat
Wiele minęło — jak polny kwiat.
Lecz nic miłości Jezusa
Na świecie nie gasi, nie wzrusza!
W dalekie filipińskie kraje,
Okręt mię niesie przez morskie wyraje,
Polsko! Ojczyzno! Matko święta!....

Zaznajomiłem się z Hindusem dr Ram Kumar Goyal. Wraca on z Paryża, gdzie studiował bakteriologię w Instytucie Pasteura. Poprzednio kończył medycynę w Londynie.

Już przedtem dowiedziałem się, że doktor należy do trzeciej kasty wajszjów. W dzieciństwie palono nad jego głową „święty ogień“, a po śmierci zostanie spalony, gdyż wyznaje braminizm. Po powrocie do domu ożeni się, wybierając sobie na żonę jedną z trzech panien, które mu rodzice przedstawiają do wyboru. Obecnie rozczytuje się w tajemniczej księdze. Sa to Prawa Manu, zawierające przedślubne rady dla nowożeńców. Młodzieniec winien brać niewiastę zdrową, małomówną, nierudą. Żona winna być wesoła, gospodarna i oszczędna.

Pytam się go o wszelkie szczegóły, dotyczące jego ojczyzny. Modre jego oczy zapalają się. Ciemna twarz nabiera wyrazu. Opowiada to głosem namiętnym, to znowu tkliwym, jak szczebiot dziecięcia.

Mówi, że Indie muszą uzyskać bezwzględną wolność, mówi o hańbie, która spotyka 360 milionowy naród, rządzony przez 200 tysięcy Anglików, zamieszkałych w Indiach; trzymany w karbach przez 60 tysięcy żołnierzy angielskich, wyposażonych w nowoczesną broń. Zarzuca Anglikom, że mało uczynili dla Indyj, wyzyskując je, jak tylko się dało. Przytacza słowa lorda ministra Brentforda, który powiedział: „Zdobyliśmy

Indie. aby znaleźć odbyt dla naszych towarów. Zdobyliśmy je mieczem i utrzymamy je siłą miecza“.

Jest on zapalonym zwolennikiem Gandhiego, którego uwielbia. „Całe Indie — mówi — zjednoczyły się we wielkiej duszy Gandhiego, wierzę w to, bo on wierzy, w nim i przez niego Hindusi uważają się za braci“.

Pogoda sprzyja nam nadzwyczajnie. Ocean Indyjski przywdział najcudniejszą szatę, jakby na cześć Boga Eucharystycznego, który razem z nami płynie wśród oceanicznych roztoczy. Szafirowe fale oceanu lśnią jak tafla lustrzana, w której słońce przegląda się jaskrawe, gorące.

Nie przypuszczaliśmy nigdy, że to ogromne zbiornisko wody może być tak ciche i spokojne. Chwilami mamy wrażenie, że jedziemy na jakimś wielkim jeziorze. Ani jednej większej fali na tej olbrzymiej morskiej przestrzeni. Na ogół jednak Ocean Indyjski lubi być niespokojny, zwłaszcza, gdy grzmią zdradliwe tajfuny i mussony.

Ten, który ma moc nad morzem i wiatrami rozkazał, iż panuje uciszenie wielkie. Przypominają się nam słowa psalmisty:

Którzy w poważnym drewnie po morzu żeglują,
A swe potrzeby pławem sprawują,
Ci umieją powiedzieć o Pańskiej możliwości
I cudach Jego na głębokości.

My ze swej strony odwdzięczamy się Bogu utajonemu przez gorące modlitwy i nabożeństwa, od-

prawiane na Jego cześć. Pieśni eucharystyczne, śpiewane po włosku, angielsku, polsku, niemiecku, hiszpańsku, węgiersku lecą na Ocean szeroki. Słowo Boże, głoszone w różnych językach, wychwala Króla Eucharystycznego, zbawienie jedyne skołatane go świata.

Urozmaicenie naszej podróży stanowią ukazujące się raz po raz delfiny oraz ryby latające. Pokazują się te osobliwości morskie dość rzadko, w każdym razie nie tak często, jak to opisują podróżnicy.

Za to piękne mamy księżycowe wieczory. Pod niebem gwiazdzistym, wśród płonących na powierzchni morskiej fosforyzujących światełek, siadamy na dziobie okrętu i gwarzymy sobie do późnej nocy.

Biorą w nich udział również oficerowie statku, którzy opowiadają o swych czy też usłyszanych przeżyciach na morzu. Fantastyczne wprost zdarzenie mieli ich koledzy ze statku pasażerskiego „M e w a“. Statek ten kursuje między Australią a Indiami.

Było to niedawno temu. „M e w a“ płynęła do Australii. W pewnej chwili kapitan czuje się dziwnie nieswojo. Wzywa więc dwóch oficerów statku. Udaje się z nimi do kajuty. Nagle wszyscy trzej stają jak wryci. Nieznany mężczyzna o szerokich rysach z gęstym zarostem siedzi w fotelu kapitańskim. Zrywa się nagle na ich widok z fotelu i wypada przez otwarte drzwi z kajuty. Róż-

poczyna się pogoń za nieznanym intruzem, lecz daremnie. Po nieznanym na statku nie ma ani śladu. Zdenerwowany kapitan wraca do swojej kajuty. I oto na stole znajduje kartkę z rozkazem: sterujcie na północno-wschód.

I znów zdumienie, bo któż mógł napisać tę kartkę. Przy tym rozkaz wydał się dziwnie bezsensowny, ponieważ zalecany kierunek sprzeciwiał się kursowi „M e w y“. Kapitan jakby zniewolony jakimś wewnętrznym rozkazem mimo wszystko zmienia kurs.

Po kilku godzinach „M e w a“ zbliża się do kilku wysepek. Nagle jeden z marynarzy przez lunetę zauważa na skalistym wybrzeżu grupę ludzi. Wymachują rękami, jakby prosili o pomoc. „M e w a“ podjeżdża bliżej. Potem spuszczają łodzie, które docierają do wysepki i nieznanych ludzi przewożą na pokład statku. Byli to rozbitkowie parowca, który rozbił się o skały.

Pomiędzy nimi znajdował się również kapitan tegoż statku. Na jego widok przerazili się oficerowie wraz z kapitanem „M e w y“. Wszak to był ów niezajomy człowiek, którego dziś spotkali w kabynie kapitańskiej.

— Czy pan był dzisiaj na pokładzie „M e w y“? pytają oficerowie.

Tamten kiwa głową, że nie. Wówczas kapitan podsuwa mu kartkę papieru, żeby skreślił na niej własnoręcznie kilka słów. Znowu przerażenie ogarnia wszystkich. Pismo zupełnie podobne do

pisma na karteczce pozostawionej w kabinie. Nikt sobie nie potrafił wytłumaczyć tego wydarzenia.

My jednak znamy tę tajemnicę. Wszak Bóg w swej Wszechmocy może się niekiedy posłużyć środkami niezrozumiałymi dla rozumu ludzkiego, byle tylko ratować ludzi i ich dusze. Toteż klękając wśród odmętów Oceanu Indyjskiego do modlitwy wieczornej, usta nasze śpiewają hymn dziękczynienia:

Wyznawajcie Panu, że dobry jest,
Ze na wieki miłosierdzie Jego...

Bombaj, brama Indii

Powitanie — Zamieszki na zawołanie — Polityka angielska — Hindusi — Życie na ulicy — Orgie aksamitów i atlasów — Hinduska — Spalarnia zwłok — Wieża milczenia — W konsulacie polskim — Bogactwo nababów — Pobożny Joga.

Przyjeżdżamy 20 stycznia do B o m b a j u, skąd niby bramą egzotyczną wiedzie droga w głąb czarodziejskich Indii. Bombaj szczyli się tym, że licząc 1 200 000 mieszkańców, należy do największych miast w angielskim imperium.

Minęło południe. „Conte Rosso“ zbliża się powoli do mola portowego. Na brzegu gromady oczekujących. Mieniają się fiolety dostojników kościelnych. Połwskują w blaskach oślepiającego słońca różnoba zawoje nałożone na głowy. Na dachu dworca morskiego śpiewają krzykliwymi głosikami chłopcy z kolegium oo. Jezuitów pod przewodnictwem brodatego ojca w szarym płaszczu i w tropikalnym hełmie na głowie. Na dole starsi chłopcy w białych mundurach grają hymn papieski.

Rzucono pomosty. W sali muzycznej okrętu, wysłanej wschodnimi dywanami i zamienionej na rodzaj sali tronowej, X. Legat przyjmuje delegacje duchowieństwa oraz urzędowych przedstawicieli miasta.

Przybywa tu również konsul polski p. dr B a n a s i ń s k i wraz z żoną, córeczką i sekretarzem konsulatu p. Hemplem, by powitać polską pielgrzymkę. Córeczka p. konsula wręcza J. E. księciu metropolicie Sapieszce bukiet czerwonych i białych róż. Przyjęcie w konsulacie ma się odbyć wieczorem.

Udajemy się na zwiedzenie miasta. Zaopatrujemy się nasamprzód w tutejsze pieniądze. Otrzymujemy więc r u p i e, a n n y i p a j s y. Jedna rupia, równająca się 2 złotym, dzieli się na 16 ann. Jedna anna zaś liczy 12 pajsów.

Dobrze, że teraz w mieście spokój. Niedawno temu jeszcze dochodziło do ostrych starć z policją i wojskiem. Były to zamieszki spowodowane wystąpieniem narodowców hinduskich przeciwko rządowi angielskim. Wówczas to na ulicach płonęły sterty towarów angielskich, a więzienia zapełniały się zapalonymi przewodnikami ruchu narodowego.

Częściej jeszcze zdarzają się rozruchy na tle religijnym. Mahometanie zabijają pierwszą lepszą z rządu krowę, uważaną za świętość przez Hindusów. To znowu Hindusi wrzucają poczciwą świni-

kę, uważaną za rzecz nieczystą przez mahometan, do meczetu — i walka już gotowa. Następuje pogrom w dzielnicy mahometańskiej lub odwrotnie.

Z powodu wielkich różnic religijnych niemniej z powodu licznych kast (dziedzicznych i niezmiennych klas ludności), odgradzających się wzajemnie, nie ma mowy o zjednoczeniu Indii, liczących przeszło 360 milionów mieszkańców. Anglia, rzeczywista władczyni Indii, zna dobrze słabostki tutejszych ludzi. Wysłała więc jednych przeciwko drugim. 60.000 wojska angielskiego, zaopatrzonego w najnowszą broń wystarcza, by utrzymać w ryzach tyle milionów ludzi.

Obserwujemy policjanta angielskiego, przejeżdżającego na motocyklu z nieodzowną fajką w ustach i szpicrutą w ręce. Wszyscy schodzą mu z drogi. Biada, ktoby się odważył go zaczepić. Za nim stoi Anglia, a kanonierki i torpedowce angielskie w porcie bombajskim są gotowe do wystrzału.

Znajdujemy się w dzielnicy europejskiej, zwanej „Fortem“. Ciekawią nas przede wszystkim ludzie. Przyglądamy się im z prawdziwym zaciekawieniem. Przechodzą obok nas zwiani Hindusi o nogach cienkich jak patyczki. Nogi te prawie całkowicie obnażone, zasłonięte nieco u góry lekką draperią. Na ciele długa koszula, na głowie o włosach kruczych zawój. Oczy wyraziste, zamysłone. Twarz połyskująca wszystkimi odcienia-

3*

mi brązu. Na czole czerwona linia pozioma lub znak w rodzaju litery U. Świadczy on o przynależności osobnika do jednej z kast. Tym znakiem się pieczętuje, nim się szczyli. Kto żadnego znaku nie ma, to parias, sudra niedotykalny.

Sudrzy używani są do robót najbrudniejszych, jak czyszczenia kanałów, ustępów, zamiatania ulic. Sudra nie posiada żadnych praw. Nie wolno mu podchodzić do Hindusów z innych kast. Kiedyś kazano im nawet umieszczać osobne znaki, by szlachetny Hinduś przypadkiem nie zetknął się z nim.

Sudrze nie daje się jałmużny na rękę, tylko z daleka rzuca mu się pajsą. Po odejściu dobrodzieja podnosi jałmużnę, wznosi ręce do nieba i dziękuje bogom za tę łaskę.

„Puranas“ jedna z osiemnastu świętych ksiąg Indii mówi, że za dotknięcie bramina przez sudrę grozi mu po śmierci przemienienie w robaka. Za życia zaś będzie ślepy przez okres lat cztery razy większy niż ilość włosów, znajdujących się na skórze jednej krowy... A co czeka bramina, który zabija sudrę? Jako zadośćuczynienie za ten grzech wystarczy, by bramin odmówił 100 razy modlitwę „Gayatri“...

Mijamy dalej korpulentnych mahometan, przebiegłych Arabów, sprytnych Persów, drobnych Siamczyków, dobrze zbudowanych Syngalezów

z Cejlonu. Europejczyków jak na lekarstwo. Przypada jeden na 120 tutejszych mieszkańców. Każdy z nich to sahib — pan, człowiek uprzywilejowany. Są to kupcy, przedstawiciele firm europejskich lub angielscy urzędnicy.

Na ulicach nadzwyczajny ruch. Ludzie chodzą we wszystkich kierunkach. Wszędzie ich pełno na chodnikach i na jezdni. Toteż samochody suną powoli, nieprzekraczając chyba 10 km na godzinę.

Zycie swe spędzają Bombajczycy na ulicy. Na małych werandkach lub wprost na jezdni załatwiają się wszystkie sprawy. Zwinni dirzi — krawcy, zwinawszy nogi pod siebie, szyją suknie, pasy, szarawary. Fotografują ich. Nie przejmują się tym. Nuca dalej monotonną piosenkę hinduską, a potem uśmiechają się życzliwie. Tu wprost na ulicy rozsiadł się zawodowy golibroda i na oczach wszystkich obsługuje klienta. Dobi — pracze piorą ubogą bieliznę. Domorosły doktor siedzi na poduszce i oczekuje pacjentów. Wkoło niego poustawiane słoiki, flaszeczki z różnymi specyfikami. Nie brak wysuszonych jaszczurów i leczniczych owadów, startych na miazę. Podchodzi pacjent. Palcem wskazuje na obrazku bolącą część ciała, przedstawionego dokładnie w rysunku. Na poczekaniu odbywają się operacje, nacierania cudownymi balsamami. Z fotografią trudniej, bo pan doktor czuje się obrażony.

Ośrodek Postulatorski 37

Towarzystwa Chrystusowego

Składziki maleńkie to orgie kolorów atłasów i aksamitów. Pełno w nich błyszczącej tandety, sprowadzanej często z Europy. Kolorowe cukierki, podejrzane łakocie, sterty pomarańcz, różnych owoców tutejszych i bananów, nęcą przechodnia. Wszystko to dosyć tanie; tańsze niż w Polsce.

Publicznie również pitraszą ulubione potrawy. Czuć zapach tłuszczu ghee, na którym przyprawia się tutaj jedzenie. Na oczach ciekawych smażą się czupati — placki owsiane z czosnkiem, przygotowuje się carry — ryż przyprawiony tłuszczem, korzeniami i pieprzem. Koło kuchni kręcą się zawsze głodne kutta — psy. Wałęsają się szczury.

Zwierzątka te używają sobie tu w najlepsze. Nikt ich nie tępi. Wszak wierzący Hindus nie zabije żadnego zwierzęcia. Wierzy on, że w zwierzęciu każdym znajduje się dusza, która, zanim się połączy z Bogiem, musi przebywać na ziemi, pokutując tak za swoje przewiny. Hindus też nie jada mięsa. Zadowolony się byle czym. Lubi bardzo trzcinę cukrową, korzenie lub roślinę betel, którą zawsze trzyma w ustach, żując ją bezustannie.

Nie ma często własnego domu. Śpi na chodniku, zawinięty w łachman, myje się pod kranem ulicznym lub w basenach parkowych.

Często samochód zmuszony jest zrzęcznie omijać śpiących na jezdni Hindusów. ♡

A kobieta tutejsza? Idzie ulicą, ubrana w ciemne szarawary i czarny stanik z czarną za-

słoną na twarzy. To mahometanka. Sunie tajemniczo jak cień. Przebywa stale w domu. Jeśli wychodzi, to tylko z konieczności. Opowiada pewien misjonarz, że jadąc tramwajem zauważył, jak pewien mahometanin zasłonił gęstą firanką swoje żony i matkę, by je uchronić przed wzrokiem pasażerów.

H i n d u s k a ubiera się w kolorowe sari. Obwiesza się świecidełkami. Nosi srebrne banglesy i zausznice. U nosa zatyka sobie złoty lub srebrny kolczyk w rodzaju perełki. Na czole ma wymalowaną czerwoną linię lub kropkę, jeśli należy do kasty.

Hinduska nie jest towarzyszką męża, lecz niewolnicą tylko. Nie zasiądzie razem z nim do stołu. Nie wymówi jego imienia. Największe jej szczęście, jeżeli ma dzieci i jeżeli umrze za życia męża.

Biada jej jednak, jeżeli męża przeżyje. Nie obowiązuje już wprowadzie prawo **S a t i**, które nakazywało palić żonę razem ze zmarłym mężem.

Opowiadano mi, że jeszcze niedawno wydarzył się w jednej ze wsi w Środkowych Indiach wypadek spalenia żywcem na stosie wdowy wraz ze zwłokami męża. Kobieta ubrana w żółte szaty weszła ze śpiewem na płonący stos, na którym leżały zwłoki męża. Dźwięki cymbałów zagłuszyły krzyk ofiary. Popiół po wygaśnięciu ognia bramini zabrali i rzucili do rzeki. Od r. 1829 władze angielskie tępią zwyczaj palenia kobiet. Dziś

Ośrodek Postulatorski 39

Towarzystwa Chrystusowego

takie wypadki spalenia wdowy należą do rzadkości.

Lecz mimo wszystko biedna ona bardzo i teraz. Zdejmują z niej wszelkie ozdoby, golą jej głowę — wszystko jedno, choćby miała 10 lat. Rozpoczyna się jej niedola. Powtórnie wyjść za mąż nie wolno. Zarabiać musi sama na siebie. Widziałem te biedne istoty, jak kamienie tłukły za parę ann. Inne dźwigały na głowach cegły, piasek, wapno do budowy.

Mimo ciężkiej roboty śpiewały monotonną wschodnią melodię.

Inne znowu szły za bullock-cart — wozami zaprzęzonymi we woły i zbierały nawóz do koszów na głowie — i potem placki z niego ugniały na sprzedaż jako paliwo. Wdów takich młodych poniżej 20 lat jest przeszło milion... Lecz oto w chrześcijaństwie tym niewolnicom XX wieku świta zbawczy blask!

Jesteśmy w pięknym kościele pod wezwaniem św. Imienia Jezus. Na ołtarzu dużo kwiatów. Zwieszają się liliowe grona glicynii, prostują swe kielichy białe magnolie i inne — orgia tropikalnej roślinności.

Przed ołtarzem Najświętszego Serca Bożego klęczy Hinduska. Brązowymi usty szepcze młodlitwę za modlitwą z sercem pełnym ekstazy. Obok niej małejki Hindusik składa rączki do modlitwy. To pewnie jej synek. Na twarzy Hinduśki maluje się dziwny pokój. Wszak znalazła te-

raz prawdziwego Boga, co ją do serca przytuli i pociechę zsyła w ciężkiej niedoli.

Wstaje potem rozpromieniona, a przechodząc obok nas, rzuca nam pozdrowienie — Salam sahib...

Przypatrywaliśmy się tutejszym ludziom jak żyją — idziemy oglądać, co się z nimi dzieje po śmierci.

Jesteśmy na cmentarzu mahometańskim. Groby jak u nas. Jeden przy drugim. Głową zwróceni w stronę Mekki. Właśnie niosą nieboszczyka w plecionce. Zwłoki zawinięte w płótno spuszczaają do grobu. Przynieśli ze sobą owoce i placki. Czy je umarłemu rzucają do grobu, czy też uczcą pośmiertną dla siebie wyprawia, nie zdołałem się dowiedzieć.

Obok, miejsce spoczynku pośmiertnego dla Hindusów. Spalarnia ciał, urządzona prymitywnie. Dwukołowe wozy zwożą ciągle drzewo. Dużo go potrzeba, bo procent śmiertelności Hindusów o wiele większy niż u nas. Na dziurkowanej blasze kładzie się ciało zmarłego. Pod blachą zapala się ogień. Wkoło rozchodzi się swąd smażonego ciała. Spalarnia znajduje się prawie w środku miasta. Nikogo to nie razi!

Gdy upłynie miesiąc od spalania nieboszczyka wówczas krewni składają ofiarę z klusek ryżo-

wych. Teraz zmarły przestaje być widmem i zaliczają go do przodków pitri.

W końcu zwiedzamy słynne wieże milczenia. To cmentarz Parsów, wyznawców Zoroastri.

Według ich wierzeń sprawcą śmierci jest Aryman. Dlatego zmarli są jego poddanyimi. Ponieważ ziemia i ogień są stworzone przez Ormiada, więc ciała zmarłych nie mogą się z nimi stykać i nie mogą być ani grzebane, ani spalone. Idą więc na pożarcie drapieżnym sępom.

Parsowie odróżniają się od Hindusów rysami twarzy i kolorem skóry. Przywędrowali kiedyś z dalekiej Persji. Mówią odrębnym językiem — g u d ż u r a d i. Należą do najbogatszych ludzi Bombaju.

Umiera Pars. Zjawiają się n a s r s a l a r s — tragarze i niosą ciało na noszach do wież milczenia. Za nimi kroczą przyjaciele zmarłego w białych szatach na znak żałoby. Przyszli do wspinałego tropikalnego ogrodu na wzgórzu Malabar Hills. Przyłączają się do nich stróże wież milczenia, ludzie ubrani w dziwne szaty, noszący długie brodziska. Brodacze niosą nagie ciało na szczyt wieży. Wieże są bez dachu. Poziom górnej powierzchni nachyla się ku środkowi, gdzie umieszczona jest głęboka studnia. Brodacze składają ciało i znikają czym prędzej. W tej chwili słyhać trzepot skrzydeł. Nadlatują sępy ogromne, nigdy niesyte...

W dwóch godzinach zwłoki już są zżarte. Pozostałe kości bieleją w gorącym słońcu południa. Po jakimś czasie zjawiają się znowu brodacze i spychają kości do studni. Tutaj zmieszają się z innymi, zwietrzeją i zamienią się w proch...

Wieczorem wiozła nas nowoczesna limuzyna do konsulatu. Biała liberia szofera mieniła się niklowanymi guzikami, na których świeciły się polskie orzełki. W wietrze trzepotała chorągiewka biało-czerwona z Orłem Białym. Konsulat mieści się na wzgórzu Malabarskim w pięknej, przestronnej willi, otoczonej gajem palmowym. Wewnątrz wszystko przypomina ojczyznę drogą. Kotary z samodziałów na drzwiach, pasiaki łowickie, kilimy zakopiańskie, misy majolikowe, barwne dzbanuszki — wszystko takie piękne, kochane, bo polskie.

Przyjęcie wydane było na cześć naszych księży biskupów. Więc zjawili się przedstawiciele korpusu dyplomatycznego ze swym dziekanem, konsulem belgijskim na czele. Obecni byli także tutejsi Polacy. Nie dużo ich wprawdzie w Bombaju — około 14 — ale sprawują się dobrze. Chwali ich X. Lehert, salezjanin Polak, pochodzący z Warmii, który od 14 lat już przebywa w Indiach.

W czasie wieszki, podanej na polskich porcelanowych talerzach z polskimi orzełkami, przemówił serdecznie p. konsul, wyrażając swą ra-

dość, że może powitać tak zasłużonych przedstawicieli polskiego episkopatu w tych dalekich stronach.

Książę Metropolita Sapieha, dziękując za przyjęcie, podkreślił szczególnie, że teraz po odzyskaniu własnej państwowości przyjemniej i łatwiej podróżować pod skrzydłami opiekuńczymi Orła Białego.

Pan konsul uprzyjemnił nam wieczór pokazem narodowych tańców hinduskich, wykonanych przez znanego bombajskiego tancerza, przy akompaniamencie smętnej muzyki tutejszej. Pokazał nam też film, nakręcony przez panią konsulową, podczas polowania na lamparty.

Dużośmy jeszcze gawędzili i słuchali miłych opowiadań gospodarzy i ich przyjaciół.

Utkwiły mi żywo w pamięci opowiadania o tułtejszych kontrastach społecznych. Dziesiątki tysięcy umierają z głodu, a obok nich wschodni nababowie posiadają fortuny, niespotykane nawet w Europie.

Taki Nizama Hajderabadu posiada majątek oceniany przynajmniej na 10 miliardów zł polskich. Ciekawe też jest życie tego bogacza indyjskiego. Wstaje on codziennie przed wschodem słońca, by odprawić przepisane modły poranne. Budzą go fanfary czterech nadwornych trębaczy, ustawionych przy jego łóżu. Nizam codziennie zażywa kąpeli w silnie uperfumowanej wodzie. Zamiast mydła używa sproszkowanej kory pewnego drze-

wa. Stoły, krzesła, łóżka i lektyki znajdujące się w jego pałacu są szczerozłote. Mówi się też o armacie i piramidzie kul z tegoż kruszcu, które na przybyszach wywierają wielkie wrażenie a które znajdują się w jego rezydencji.

Zaciekawia nas również opowiadanie p. Bankrowta, majora brytyjskich wojsk kolonialnych, o życiu tutejszych „jogów“.

Podczas jednej z wycieczek myśliwskich na kraju dżungli przy źródle spotyka major pobożnego jogę. Zwraca mu więc uwagę, że miejsce przez niego obrane jest bardzo niebezpieczne. Tutaj bowiem w nocy przychodzą tygrysy gasić swe pragnienie. Joga zatopiony w swych rozmyślaniach nie zwraca uwagi na te przestrogi i pozostaje na swoim miejscu. Major tymczasem chroni się w bezpieczne miejsce, by odczekać przyjscia drapieżnika. Nad ranem budzi majora głośne ujadanie psów. Bierze on do ręki lornetkę. Przy źródle widzi tygrysa, który zbliża się do jogi na jakieś dwa kroki. Joga zachował się jak najspokojniej, trwając nadal przy medytacji.

Przeciężny śmiertelnik byłby chyba rozszarpany przez głodną bestię. Joga widocznie posiadał siłę utajoną, która poskromiła drapieżnika.

Zrobiło się późno. Lokaje, ubrani w pasowe pasy i czerwone przepaski na białych turbanach z mieniącymi się orzełkami, odprowadzają nas do samochodów. Pan konsul i jego najbliżsi raz jeszcze ściskają nam dłonie. Nad nami gwiazdziste

niebo, przystrojone w obce gwiazdozbiory. Pióropusze palm w ogrodzie konsulatu porusza lekki wietrzyk, idący od Oceanu Indyjskiego. Tam na dole egzotyczny Bombaj, brama do tajemniczych Indli, mrugający tysiącami świateł. A w sercach naszych szczera radość i bezgraniczna wdzięczność dla Boga, że nam pozwala oglądać swe cuda i dziwy...

Indie współczesne

Walka Hindusów z Anglią — Sprzymierzeńcy brytyjscy —
Działalność misyjna — Jej trudności — Polscy misjonarze.

Oddawna już toczy się walka Hindusów z Anglią, władczynią Indii. Hindusi nie przebijają w środkach. Tu i owdzie wywołują otwarte bunty i prowadzą jawną kampanię nieposłuszeństwa cywilnego.

Anglicy tymczasem szukają sprzymierzeńców wśród ludności miejscowej. Są to te grupy ludzi, którym zależy na tym, żeby Anglia nadal panowała w Indiach. Należą do nich przede wszystkim bogaci maharadzowie, pariasi w liczbie 60 milionów oraz muzułmani, liczący 80 milionów.

Książętom dobrze jest z Anglią, ponieważ opierają swoją władzę o bagnety angielskie. Anglia gwarantuje im wszystkie prawa i obecny stan posiadania. Wycofanie się Anglii z Indii oznaczałoby utratę ich władzy i przywilejów.

I pariasi są zadowoleni z Anglików. Znajdują oni bowiem u nich poparcie w swej walce z braminami, których często nienawidzą.

Muzulmani zaś obawiają się, że w razie wycofania się Anglii będą oni sponiewierani przez większość i stracą swe stanowisko uprzywilejowane.

Sprzymierzeńcem Anglii jest również zacofanie ludzi pod względem gospodarczym i kulturalnym. Poza tym brak środków komunikacyjnych w tym olbrzymim kraju, pokrywającym 4,6 milionów km kw. utrudnia wspólną akcję polityczną przeciw Anglii. Obliczono, że do przeszło 5000 wsi nie docierają koleje lub drogi publiczne.

Nie wiadomo jak sprawa dalej się potoczy. Anglia w każdym razie długo jeszcze będzie panować w Indiach. Każdy zdrowo myślący mieszkaniec Indii zdaje sobie sprawę z tego, że przedwczesne ustąpienie wojsk i administracji angielskiej wyda kraj na pastwę walk wewnętrznych i wzajemnej rzezi.

Jak wygląda w Indiach działalność misyjna?

Rzeczowych informacji udziela nam w tym względzie w czasie naszego pobytu w Bombaju X. Lehert, salezjanin polski. Podkreśla, że praca misyjna w Indiach idzie powoli, ale mimo wszystko są nadzieje rozpowszechnienia nauki Chrystusowej.

W tej chwili liczy się 6 300 000 chrześcijan, w tym 3 000 000 katolików. Jeszcze 50 lat temu liczono 1 500 000 katolików. Więc postęp wielki.

Sympatyczny misjonarz podkreśla, że główną przeszkodą w pracy misyjnej są kasty. Istnieje dzisiaj około 2000 kast a między każdą kastą przepaść nieprzebyta. Hindus zrósł się ze swoją kastą do tego stopnia, że raczej wolałby umrzeć, aniżeli być z niej wykluczony. Nawet rodzice poszczególnych kast żądają osobnych miejsc dla swoich dzieci w szkołach. Otóż przez przyjęcie chrześcijaństwa Hindus traci swoją kastę i uważany jest przez swoich ziomków za człowieka bez czci, którego z daleka się omija.

Łatwiej jeszcze o nawrócenie kast najniższych, poniewieranych przez kasty wyższe. Wśród tych kast religia katolicka znajduje nawet dużo zwolenników. W r. 1930 odbył się Kongres niższych kast. Wówczas to hindus Romszandara wysłał odbitkę swego przemówienia, wygłoszonego na Kongresie, do „Jego Świątobliwości, Ojca wszystkich ubogich“. Podkreśla on w swoim przemówieniu, że pomocy dla nieszczęśliwych nie należy się spodziewać ani od Gandhiego ani od Anglii.

„Czego nam potrzeba, to wytrawnej pracy misjonarzy — zakonników“.

Wielką rolę w pracy misjonarskiej odgrywa szkolnictwo, które Kościołowi najwięcej przysparza konwertytów. W tym celu kładzie się wielki nacisk na prywatne seminaria nauczycielskie, które przygotowują nauczycieli do szkół katolickich.

Przez Tajemniczy Wschód. 4

Przepięknie rozkwita w Indiach życie zakonne. Różne Zgromadzenia są pionierami cywilizacji i oświaty. Na czoło wysuwają się oo. Jezuici, posiadający wspaniałe szkoły, zwłaszcza w Bombaju i Kalkucie. Synowie św. Ignacego dbają głównie o duchowieństwo tubylcze, kierując seminariami duchownymi.

Mówiąc o misjonarzach w Indiach nie można pominąć misjonarzy polskich. Szkoda, że nie ma czasu na odwiedzenie tych polskich placówek misyjnych. Jak chętnie odwiedzilibyśmy polskich Salezjanów na dalekiej północy X. Leona Piaseckiego lub na południu X. Władysława Klimczyka.

Dotarł do nich w swej podróży słynny podróżnik polski Ferdynand Goetel. Pisze on w swojej książce „P o d r ó ż d o I n d i i” szczególnie serdecznie o bohaterskich wysiłkach X. Piaseckiego, o jego misji w Gauhati nad Bramaputrą:

„Żywiłem X. Leona jest dżungla Assamu i rozciąga się jego olbrzymia parafia, zamieszkała przez plemiona pierwotne, zwane w Indiach krótko *jungle people* oraz przez najemny proletariats plantacji, określony niemniej lapidarnie: *tea kuli*. Puszczę tę przemierza raz po raz, sam jeden, z roku na rok coraz bardziej schorowany i wyczerpany wysiłkiem... wędruje setki mil koleją, wodą i lądem, w płomienne wiosny, duszne lata; znów płomienne jesienie i dojmujące zi-

my, wciąż bez zastępcy i pomocnika — bo powiadają, że X. Leona nie da się zastąpić“.

Z równym też podziwem pisze o dziełach rzutkiego misjonarza — o bursie szkolnej, warsztatach stolarstwa, maszynoznawstwa i drukarstwa.

X. Klimczyk pracuje w Ranipet, w okręgu Arco i „duch jego rewolucyjny i czynny przeniknął już samo miasteczko i z misji uczynił ośrodek życia twórczy i zaradczy“.

„Patrzałem na wielu tubylców, którzy przesunęli się przez misje Assamu i Ranipet i zawsze zauważyłem jakiś błysk zdumienia, z jakim obserwowali misjonarza. I nic dziwnego. Od kapłanów swych uczyli się, iż celem człowieka jest udoskonalenie samego siebie — od Anglików przyjęli zasadę własnego interesu, uzgodnionego w najlepszym razie z interesem innych. Misjonarz, pracujący dla wszystkich, prócz samego siebie, musiał ich zadziwić jako zjawisko nowe i nieznane. Nie nazwali go też po swojemu sadhu (tj. pokutnikiem) ani sahibem — lecz tylko „padre“ — bo tak się po włosku nazywa w Indiach każdy człowiek w misjonarskiej szacie“.

„Być może, iż nie w każdej placówce panują takie stosunki, jak w Gauhati czy Ranipecie. Księżom polskim... przypadła czarna robota misyjna w najcięższych warunkach bytu, a dola ich jest w pierwszej mierze podobną do doli tych naszych pierwszych pionierów kolonizacji, którzy wyrzu-

4*

ceni w głąb puszczy Ameryki Południowej gołymi rękami przygotowywali dziewiczy kraj pod zwycięski pochód cywilizacji.

Tym bardziej wzruszyć nas musi ich postawa duchowa, odporność, upór, wiara i gorące, synowskie poczucie przynależności do ojczystego kraju“.

Mahatma Gandhi

X. Dr Krzesiński opowiada — Pierwsze spotkanie z Mahatmą — Szlachetny naród indyjski — Na temat religii — We Wardha — Mahatma interesuje się Polską.

Pisząc o Indiach, trudno nie wspomnieć o Gandhim. Jest on dzisiaj jedną z najpopularniejszych postaci świata. Hindusi zaś uwielbiają go jako wodza narodu. Nazywają go powszechnie „Mahatmą“ tj. wielkim duchem. Najbliżsi zaś zowią go „Bapu“ czyli ojcem. Podczas naszej podróży nie zetknęliśmy się niestety z Gandhim. Wszak nie jest to rzeczą łatwą. Udało się to jednak X. prof. Dr Krzesińskiemu, który w ten oto sposób dzieli się z nami swymi wrażeniami.

Pierwszy raz widziałem się z Gandhim w czasie Indyjskiego Kongresu Narodowego w Faizpur, w którym dzięki uprzejmości prezydenta tego Kongresu, Pandita Nehru, wziąłem udział. Kiedy zgłosiłem się do jego namiotu, sekretarz jego oświadczył mi, że Gandhi

już wie o moim pobycie w Indiach i że mnie już od szeregu dni oczekuje.

To powiedziawszy, znikł za grubą kotarą namiotu, a po krótkiej chwili pojawił się z powrotem i z miną rozradowaną poprosił mię do wejścia. Wszedłem do środka i zacząłem się rozglądać. Cała sala, zasłana matami, wypełniona była ludźmi, którzy siedzieli na sposób indyjski, wpatrując się raz we mnie, to znowu w Gandhiego, który siedział na dywaniku, zwrócony do nich, mając przed sobą niski stolik, pokryty różnymi papierami. Kiedy zbliżyłem się do Gandhiego, ten powstał, przywitał mię dobrotliwym uśmiechem i, wyciągnąwszy szeroką, suchą dłoń, uściśnął mię po europejsku.

Gandhi, wskazując mi dywanik, zapytał, jakby niedowierzająco:

— Czy może X. Profesor siedzieć na ziemi według naszego zwyczaju indyjskiego? Wiem bowiem, że taki sposób siedzenia Europejczyków męczy.

— Mahatmo, bawię już przez 5 miesięcy w Indiach, a przedtem bawiłem w Japonii. Miałem też dość czasu, by się nieco przyzwyczaić do takiego siedzenia. Miło mi w gronie dobrych ludzi w ten właśnie sposób siedzieć.

To mówiąc, usiadłem tuż obok Gandhiego i, po odnalezieniu punktu równowagi dla swych członków, rzekłem:

— Sądzę, że nie potrzebuję pytać Mahatmę o zdrowie, widzę bowiem, że świetnie wygląda. Wprawdzie nie miałem przedtem sposobności znać go bezpośrednio, ale oglądałem często w różnych pismach jego podobiznę i wyznać muszę, że żadna z fotografii nie przedstawiała go tak korzystnie, aby mogła wyrażać obecny stan jego zdrowia. Niezmiernie cieszę się z tego.

— Ma profesor słuszność. Rzeczywiście zdrowie moje jest obecnie bardzo dobre.

Po czym, przechyliwszy się ku mnie, dodał jakby w zaufaniu:

— Zdradzę księdzu sekret. Dawniej moja osobowość była rozdzielona: gdzie indziej było ciało, a w innym miejscu znajdowała się moja dusza. Ciałem przebywałem po miastach, zajmując się polityką, a dusza moja przebywała stale na wsi. Obecnie zaś i dusza i ciało na jednym są miejscu.

Chciał on w ten sposób wyrazić, jak bardzo zawsze kochał wieś, dla której podniesienia poświęca obecnie cały swój czas i energię życiową. To, co obecnie Gandhi czyni dla wsi i dla klas upośledzonych, przewyższa swą doniosłością wszystko to, co dotyczyło jego szerokiej działalności w zakresie polityki narodowej.

— Odbiegłem już dość daleko od sześćdziesiątki — ciągnął dalej Gandhi — i wyznam szczerze, że mimo to czuję się świeżo i mam w sobie wielki zasób sił.

— Cieszę się — wtrąciłem — z pańskiego zdrowia z tego głównie powodu, że przy dobrym zdrowiu może pan wiele dobrego zrobić dla swojej ojczyzny. Pracy, jak widzę, jest bardzo wiele. Nędza milionów ludzi, podział na kasty, wciskający się w szeregi młodzieży uniwersyteckiej materializm wraz z komunizmem — to wszystko musi powiększać pańskie troski i skłaniać go do szukania środków zaradczych. Idzie przecież o to, by wielki, szlachetny naród indyjski nie cofał się w swoim kulturalnym rozwoju, lecz by postępował naprzód.

— Utrafił profesor w sedno naszej bolączki — rzekł Gandhi. — Rzeczywiście nędzy mamy wiele, materializm wśród młodych coraz bardziej się szerzy. Musimy się bronić.

— Obrona — ciągnąłem — będzie skuteczniejsza, jeżeli złączymy swe siły i wspólnie materializm zwalczając będziemy, wszak jest on niebezpieczeństwem zarówno dla kultury chrześcijańskiej, jak i dla kultury hinduskiej. Sądzę Mahatmo, iż wobec grozy położenia czas pomyśleć o stworzeniu takich warunków, które by ułatwiły zjednoczenie duchowe.

— Zjednoczenie! — odrzekł Gandhi — a czy wy zechcecie z nami złączyć się ideowo, kiedy istnieją między nami znaczne różnice.

— Dla narodu tak zdolnego i kulturalnego, jak naród indyjski — odrzekłem — nie jest to rzeczą trudną. Zajmując się filozofią indyjską, zauwa-

żyłem, że wasi wybitni filozofowie w poglądach swoich metafizycznych i światopoglądowych bardzo się zbliżają do filozofów chrześcijańskich. Trzeba najpierw wydobyć te wszystkie wartości duchowe, które mamy wspólne, a potem naród tak nastawiać duchowo, by się nie zasklepił w zdobytych już wartościach, lecz by dążył bezustannie do dalszego postępu i zbliżał się do pełnej prawdy. Prócz tego ważną jest rzeczą stworzyć atmosferę sympatii i miłości, która przyczynić się może do uniesienia przeszkód, do wyzwolenia ludzi z nieodpowiednich nastawień i do postępu duchowego, do przyjęcia wyższych duchowych wartości.

— Czyż mamy się wyzbyć religii naszych ojców? — zapytał Gandhi.

— Nie, Mahatmo! Nie idzie tu o usuwanie tego co jest cenne i wartościowe w religii i w ogóle w kulturze indyjskiej. Idzie o udoskonalenie jej, o wzbogacenie wyższymi wartościami i o wprowadzenia narodu na drogę, po której dojść może do tak wielkiego rozwoju duchowego, iż prześcignąć może narody europejskie.

— O, tak, ważną jest rzeczą w tych sprawach duchowych wzajemnie się rozumieć — odparł Gandhi.

Rozmawiałem czas jeszcze jakiś na ten temat z Gandhim, po czym przeprosiłem go, iż muszę już odejść, aby nie narażać obecnych ludzi na długie czekanie.

Wtedy wspomniał mi Gandhi, że za kilka dni będzie w swojej siedzibie koło Wardhy, dając do zrozumienia, iż chętnie by mnie tam u siebie widział i dyskusję dalszą prowadził.

Przyobiecałem mu, że w oznaczonym terminie tam się stawię.

Po kilku dniach znalazłem się w Wardha. Wyszedł na moje spotkanie sekretarz Gandhiego i zawiózł mię samochodem do jego siedziby.

Po serdecznym powitaniu, sam Gandhi nawiązał do poprzedniej naszej dyskusji i przeszedł wprost w dziedzinę religii.

— Moim zdaniem — mówił Gandhi — każda religia jest prawdziwa i w każdej religii człowiek zbawić się może, jeżeli tylko zgodnie z jej zasadami żyje. Wczoraj wyjechała stąd pewna Polka z Warszawy, która przed kilku dniami przyjęła religię hinduską. Odradzałem jej tego, tłumacząc jej, zgodnie z moim stanowiskiem, iż religia katolicka jest dobrą i nie ma potrzeby jej zmieniać, trzeba tylko uzgodnić z nią swe życie. Ale, niestety, nie posłuchała mej rady.

— Mahatmo — wyjaśniałem — jeden jest Bóg i jedna jest tylko prawda. Stąd jedna tylko religia jest prawdziwa.

Rozmawialiśmy długo na temat jedności religii i podawałem Gandhiemu różne racje, dla których powinienby się zdecydować przyjąć religię chrześcijańską. W odniesieniu

do różnych rozumowań przyznawał słuszność, lecz w końcu rzekł:

— Jednak, mimo wszystko, sumienie mi mówi, że nie muszę zmieniać swojej religii.

Ponadto Gandhi zainteresował się Polską i przed moim odjazdem oświadczył, że gdyby bawił kiedyś jeszcze w Europie, chętnie przybyłby z odwiedzinami do Polski.

Ze swej strony zapewniłem go, że osobiście czynić będę wszystko, co jest możliwe, dla dobra duchowego Indyj i że starać się będą do pracy ofiarnej dla tak wielkiego i pięknego kraju zachęcać swych ziomków.

W czasie rozmów i później po ich ukończeniu miałem wrażenie, że mam przed sobą jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakich, nie bez pewnego wpływu chrystianizmu, wydała kultura hinduska.

Cejlon, rubin rzucony z niebiosów

Sri Lanka — Colombo — Syngalezi i Tamuli — Rikszę
— Wśród pióropuszy palm — Nad brzegiem Oceanu —
Negombo — Dagoba — Pola ryżowe — Słonie — Kandy
— Maligawa — Dzieło arcybiskupa Zaleskiego.

Opuszczamy Bombaj, jedziemy wzdłuż Hindostanu, który majaczy we mgle. Jedzie z nami teraz trochę Hindusów. Hindusi noszą kolczyki w nozdrzach. Dołączyło się też 2 kleryków z Seminarium w Kandy. Noszą białe sutanny. Wracają z wakacji zimowych, które trwały aż trzy miesiące. Mijamy Goę, która w XVI wieku liczyła 200 tys. mieszkańców, uchodząc za najpiękniejsze miasto na Dalekim Wschodzie. Upał zwiększa się z dnia na dzień. Wszak już 9 stopni geograficznych dzieli nas tylko od równika. Stewardi zabierają nam z kabin kołdry, zostawiając same prześcieradła.

Mijamy przylądek Komorin. Brzegiem zatoki Manarskiej „Conte Rosso“ dociera do stolicy Colombo na Cejlonie.

To siódmy z rzędu port na świecie. To punkt centralny postoju okrętów. Stąd równie daleko do Chin czy Australii, do Suezu czy Madagaskaru.

Mówiono mi zawsze, że prócz B r a z y l i i, tej krainy palm, piniarów i wiekuistej wiosny, jest jeszcze jeden zakątek na kuli ziemskiej, nie mniej czarowny i tajemniczy. Tym zakątkiem to C e j l o n, urocza perła Oceanu Indyjskiego. Poeci buddyjscy opiewają Cejlon jako klejnot oprawiony na czole Indyj i rubin rzucony z niebiosów. Cejlończycy zaś nazywają swoją ojczyznę S r i L a n k a — świętą, jaśniejącą.

Cejlon połączony jest za pomocą łańcucha skalnego tzw. m o s t u A d a m o w e g o z Indiami. Wyspa ma 360 km długości i 190 km szerokości. Mieszka na niej 5 300 000 mieszkańców, w tym 370 tys. katolików. Politycznie i gospodarczo zależna jest od Anglii.

Colombo, stare osiedle Singalezów, było w rękach Portugalczyków, a potem Holandii aż wreszcie w r. 1796 dostało się Anglikom.

W Colombo honorowym wicekonsulem polskim jest p. v a n S a n d e n, Holender. Jest on nieco onieśmielony dostojnym towarzystwem naszych księży biskupów. Krępuje się tym, że zna tylko język holenderski i angielski. Jest jednak szczerze zadowolony z przybycia pielgrzymki. Mniej przejęta od wicekonsula jest dziewczynka, która wręcza księciu Metropolicie Sapieżę bukiet czerwonych i białych róż. Wicekonsul tutejszy ma tę

zasługę, że zapoznaje z towarem polskim rynek cejloński. Sprzedano tu już sporo ebuwia polskiego, galanterii i bekonów. W Colombo mieszka jeszcze Polak p. Reszkowski, który prowadzi tu restaurację. Ożeniony jest z Japonką. Niestety, nie spotkaliśmy go, bo wyjechał polować na krokodyle...

Przewodnikiem i prawdziwym przyjacielem pielgrzymki stał się o. Mańka, Oblat, który przybył umyślnie z odległej Jaffny, żeby zająć się głównie księżmi biskupami. Jemu zawdzięczamy, że w krótkim czasie zobaczyliśmy to, co najpiękniejsze i najwięcej charakterystyczne dla życia miejscowego.

Nasamprzód krótka przechadzka po Colombo, cejlońskiej stolicy. Nawet dzielnica krajowców, Pella jest dosyć czysta. Ludzie życzliwi, aniżeli w Bombaju.

Mieszkańcy tutejsi to głównie Syngalezi i Tamuli. Syngalezi należą do pnia jafetowego ludzkości. W 1 wieku przed Chr. wtargnęli Syngalezi na Cejlon. Prowadził ich król Wijajaja, któremu przypisywano pochodzenie od lwa. Zwycięzwszy pierwotnych mieszkańców wyspy Weddasów, nazwał siebie i swoich poddanych: sinhala — zabójcami lwa. Poznać można Syngalezów po smukłej budowie ciała. Oczy czarne, piękne i mądre. Włosy czarne, smarowane olejem kokosowym, spadają falisto na plecy. Często splecione są w zwykły węzeł. Niektórzy mają na głowie

grzebień w kształcie półksiężyca. Z daleka wyglądają jak kobiety, zwłaszcza jeżeli noszą długą spódnicę. Syngalezki obwieszane są klejnotami od stóp do głowy.

Syngalezi są przeważnie wyznawcami Buddy, twórcy religii znieczulonego pokoju po śmierci. W ostatnim czasie zaznacza się ich żywa działalność na polu religijnym. Budują własne szkoły i świątynie, a i w parlamencie tutejszym mają wybitnych przedstawicieli.

Tamuli, ciemniejsi niż Syngalezi, pochodzą od Drawidów. Ubierają się krótko, nieraz tylko w przepaskę koło bioder. Są bardzo wytrzymali. Oni to głównie w tym tropikalnym upale budowali wspaniałe asfaltowane szosy, karczowali dżungle.

Tamulka tak samo pracuje jak jej mąż. Dzwonią biżuterie srebrne czy złote z kamieni prawdziwych lub fałszywych, a ona haruje z swym mężem przy kamieniach czy w błocie na plantacji ryżowej. Tamuli wyznają przeważnie hinduizm.

Chrześcijaństwo przyjmują, zdaje się, łatwiej niż Syngalezi. Jedni i drudzy, nawróciwszy się, zachowują często własne jeszcze praktyki. Z lubością dotykają się figur świętych lub też olejem z lampki namazują sobie twarz i włosy.

Widziałem tutejszych ludzi na nabożeństwie popołudniowym w katedrze. Katedra była zapełniona. Wszyscy byli skupieni i modlili się pobożnie. W skupieniu zwłaszcza odmawiali różaniec.

Na ulicy nie możemy się napatrzeć „rikszom“, ciągnionym przez wytrzymałych Tamulów. Jest to osobliwość, z którą się na Dalekim Wschodzie często spotykać będziemy. Dziś „riksza“ robi na nas przykre wrażenie. Do lekkiego powozu o dwu wysokich kołach zaprzężony jest człowiek, nagi do pasa lub całkowicie nagi, z lekką zasłonką na biodrach. Dokoła głowy przepaska z brudnej szmaty. Biegnie sobie taki nagusek, trzymając rękoma dyszelki, dzwoniąc raz po raz, by dodać sobie otuchy. Biegnie miarowo, małymi krokami. Nogi śmigają po rozpalonym bruku czy asfalcie, a pot się leje strumieniami.

Na rogach ulic nie możemy się opędzić od natarczywych właścicieli rikszy. Nikt z nas nie skorzystał z takiej jazdy. Doprawdy przykro byłoby patrzeć na człowieka zaprzęzonego do wózka zamiast konika. Nie chodziłoby przecież o pół rupii, czyli 1 zł za kurs.

W dniu przyjazdu do Colombo urządzamy wycieczkę do N e g o m b o. Jedziemy drogą chyba jedną z najpiękniejszych na świecie. Przy drodze wioska przy wiosce, tonąca w jednej zwartej zieleni. Jak okiem sięgnąć wszędzie palmy z zwieszającymi się kitami. Tu znowu mangi o rozłożystych konarach z liśćmi ozdobnymi. Tam drzewa chlebowe o liściach mocno zębiastych, dyszą świeżością i zielenią. Wysokopiennie banany tulą się do drogi, jakby częstując swymi żółtymi owocami.

Ananasy, stłoczone nisko przy ziemi, wyglądające z daleka jak draceny — nęcą swym zapachem.

Najważniejsze i najpotężniejsze tu drzewa to palmy. Palma dostarcza tutejszemu człowiekowi materiału na wyżywienie, sprzęty domowe, na ubranie i pogrzeb. Z jej liści robi się dachy, płoty. Z nich wyplata się koszyki, kapelusze. Soku palmowego używają jako karupani, środka odżywczego dla płuc i kiszek. Z soku tego również wytwarzają toddy — wino palmowe wzmacniające. Przez destylację uzyskuje się arak, który, niestety, niszczy i tutaj tyle ognisk rodzinnych. Z soku palmowego wytwarza się jeszcze syrop i jaggery — cukier brunatny. Wreszcie w owocu palmy znajdują się dwa lub trzy ogromne orzechy.

Większy jeszcze pożytek daje palma kokosowa, która wydaje owoc 12 razy rocznie. W twardej skorupie znajduje się kopro, masa mięsa o smaku orzechowym. Zawiera ona olej płynny, którego używają do fabrykacji roślinnego masła, świec i mydła. Kilka drzew kokosowych wyżywić może całą rodzinę.

Po drodze wступujemy do kościoła katolickiego. Kościół otoczony jest ze wszystkich stron kolumnadą, nakrytą dachem. W ścianach bocznych są wielkie otwory, w celu dostarczenia jak największej ilości powietrza. Posadzka kamienna. Spotykamy 2 półczarnych księży — proboszcza i wikarego. Śmieją się serdecznie i zapraszają do świątyni.

Przez Tajemniczy Wschód. 5

Razem z nami idzie tłum roześmiany, zadowolony. W kościele wszyscy klękają, składają ręce i modlą się. Jak ich jednak wiara św. przeobraziła! Ci ludzie innej rasy innego języka — tacy nam bliscy! Połączył nas Chrystus, zjednoczenie ludzkich serc.

Na pożegnanie otaczają nasz samechód. Oczy im się palą. Klaszczą w ręce. O S u a m i — pobłogosław nas! — wołają.

Zajeżdżamy do N e g o m b o. Znajduje się tu piękny kościół katolicki w stylu renesansowym. Ponad ołtarzem głównym wznosi się figura, przedstawiająca koronację Najśw. Maryi Panny w niebie. Negombo, to wieś rybacka nad brzegiem Oceanu Indyjskiego. Cała schowana w gaju palm kokosowych.

Idziemy przez wioskę. Za nami chmara dzicci katolickich i pogańskich. Katolickie poznajemy po medalikach, które noszą na szyi. Podziwiam śmiałość tych dzieci. Garnie się do mnie taki czteroletni Cejłończyk, nagi — jak go Pan Bóg stworzył, szczerzy ząbki, klaszcze w rączki, a gdy go fotografuję, to staje na baczność, jak się patrzy.

Wnętrze chaty rybackiej ubogie. Na ziemi leżą kokosowe maty, służące jako posłania. Obok kuchenka, w koło garnki gliniane i skrzynia na odzież. Oto cały sprzęt domowy. Ocean musi tu obfitować w ryby. Widzimy bowiem wielkie ilości ryb i to ogromnych, o dziwnych nieraz kształtach.

Podziwiamy łodzie tutejsze, długie, wężutkie. Długie drewno połączone prętami z łodzią chroni ją od zatonięcia.

Nad oceanem sterty koralu, świeżo wydobytych. Muskularni Tamuli rozbijają korale młotami. Nadjeżdżają oryginalne wozy na wysokich kołach, nakryte budą z łątów bambusu i plecionką liści palmowych. Wozy zaprzężone we woły. Na Cejlonie nie spotkaliśmy ani jednego konia! Korale ładują na wozy. I ciągnie sznur tych wozów w stronę łądu. Póhnaży woźnice pokrzykują: mak — mah! I zrzucają korale na drogi niby u nas żwir.

Pod koniec wykąpaliliśmy się w Oceanie. Woda ciepła. Ogromne fale przewalają się rytmicznie. Ocean zielonkawy czasami załamuje się w przestrzenie najcudowniejszego szmaragdowego koloru. Szumi tajemniczo wielkim oddechem nad żółtą wstęgą piachu cejlońskiego Negombo. I zanurzalibyśmy się w orzeźwiających falach oceanu jeszcze dłużej, gdyby nie obawa przed rekinami...

Opowiadał mi mój przyjaciel, że dzisiaj z rekinami ludzie dają sobie radę. P. Wallace, amerykańczyk, zdobył nawet sobie rozgłos pogromcy rekinów. Odważny młodzieniec rzuca się do wody i wbija sztylet w paszczę rekina. Dotychczas Wallace wychodził zawsze zwycięsko z tej walki, choć nie bez poważnych uszkodzeń ciała. Pewnego razu wielki rekin wgniół młodzieńcowi część czaszki. Mimo to wydobył się jeszcze na powierzchnię, gdzie chirurg uratował mu życie. Innym razem wyszedł

5*

z walki z pogruchotanymi kośćmi, wypływając z największym wysiłkiem woli jednocześnie z olbrzymim cielskiem rekina.

Nazajutrz wycieczka do Kandy. Owe 130 km drogi asfaltowaną szosą przez zielonolistny gaj palm kokosowych to jedna wspianiała baśń. Nad głowami skrzypią nam bambusy kolosalnych rozmiarów. Wyrastają z ziemi potężne snopy prętów jasno - żółtych. I łopoczą potężne te snopy, kołysane we wietrze całą gamą westchnień i urywanych skrzypów. Pałają się wielkie drzewa, płonące czerwienią swego kwiecica. Kwitną drzewa wszystkimi kolorami tęczy.

Przy drodze domki blisko siebie. Każdy zatopiony w zielonej toni bananów lub niskopiennych palm.

Opodal rzeka Kelani toczy swe wody srebrnobiałe. Brzegi porośnięte płataniną smukłych palm i gęstym podszyciem zieloności i kwiatów.

W koronach drzew śpiewają ptaki. Wydają dźwięki rozmaitej skali i mocy. To jakby ciągłe nawoływania i odpowiedzi tej cejlońskiej ptasiej kapeli.

Po drodze spotykamy ciągle ludzi. Z ciekawością przypatrujemy się mnichom buddyjskim — bhikkhu. Noszą oni szaty gorącego żółtego koloru. Mają głowę ogoloną i nieruchome oblicze. Idą zatopieni w rozmyślaniu o „czterech prawdach największych“ i „ośmiu ścieżkach szlachetnej, niechybnej drogi“. W ręce trzymają wachlarz, który

ma ich chronić od spojrzeń niewieścich. Lekkim pochyleniem głowy odpowiadają na głęboki s a l a m przechodniów.

Wstępujemy na moment na podwórzec buddyjskiej pagody. Obok wznosi się ciężka d a g o b a z kopułą. Każda dagoba szczyli się posiadaniem jakiejś relikwii Buddy. Spotkaliśmy tam manicha bhikhu, starszego już jegomościa, który się uśmiechał zyczliwie. Obok niego dwaj chłopcy z wygolonymi głowami, ubrani również w żółte szaty. Modlili się nieruchomi. Byli to zapewne jego uczniowie.

Jedziemy wśród pól r y ż o w y c h. Są właśnie zniwa. Ludzie uwijają się po ryżowiskach zalanych wodą. Ścinają dojrzałe kłosa i wynoszą na suche burty, gdzie wyschną w słońcu. Gotowe już snopy zwożą blisko domów. Woły drepczą po snopach — i młocka skończona.

Siejba zaś odbywa się w ten sposób, że ziarenka rzuca się wprost do wody, gdzie od razu kiełkują. W stronach tych zbiór odbywa się trzy razy na rok. Ryż jest głównym pokarmem ludzi tutejszych. Gotowany na wodzie podaje się go na sypko. Do ryżu należy sos, który podany w rozmaitej postaci, stanowi prawdziwą okrasę cejlońskiej kuchni.

Po drodze zatrzymujemy się, by przypatrzeć się wielkiemu słoniowi, kąpiącemu się w stawie. Nasi księża biskupi, jadący samochodem przed nami, również się zatrzymują. Trzeba uwiecznić pierw-

szego spotkanego słonia cejlońskiego. Syngalez, pilnujący słonia, od razu podchodzi do nas i żąda „odszkodowania“. Powtarza pieszczotliwie: t i p, t i p. Otrzymawszy kilka centów tutejszych, klepie się zadowolony po brzuchu.

Za chwilę znowu przystajemy gwoli innych jeszcze słoni. Przy odgłosie bębnów tam-tam, słonie kroczą w tanecznych podrygach. Dozorca wyprawia z nimi różne sztuczki. Jeden z naszych księży towarzyszy chciał być sfotografowany na słoniu. Cały sęk w tym, że za mało zapłacił dozorczy. Dozorca więc dał rozkaz słoniowi, by nieco tylko przykucnął. Towarzysz nasz więc wdrapuje się w sutannie i hełmie tropikalnym na grzbiet słonia — cały zroszony potem. Wdrapawszy się do połowy, a trzymając się kurczowo olbrzymiego cielska, woła zziąjany: Fotografujcie, fotografujcie na pamiętkę...

Wstępujemy również do słynnej przetwórnicy herbaty cejlońskiej. Za pomocą maszyn odbywa się tu suszenie, zwijanie, fermentacja i prażenie herbaty. Obok widać plantację krzewów herbacianych. Herbata nie może rósć w nizinnych stronach. Dlatego krzewy spotyka się bliżej gór. Cięcia utrzymują krzewy na wysokości trzech stóp, zmuszając je do wydania obfitszych listków. Zbiera się co 8 dni kilka listków wierzchołkowych z każdego pnia.

Listki po zerwaniu skrapia się wodą. Następnie przez całą dobę fermentują, a potem suszy się je

w piecu. Im krócej się suszą, tym mają bardziej zielony kolor. Przed kilkunastu laty zwijano listki nogami. Ostatnio zakazano tego. Służą obecnie ku temu maszyny w kształcie talerzy.

Po drodze odwiedziliśmy również słynny ogród botaniczny w *Paradeni*. Cieszy się on sławą najpiękniejszego ogrodu botanicznego na świecie. Tylko *Buitenzorg* na Jawie może z nim pójść w zawody. Założono go przeszło 100 lat temu. Kiedy bowiem Anglicy odebrali te piękne strony władcom Syngalezów, założyli ten wspaśniały, ogromny ogród.

Są w nim nagromadzone wszystkie drzewa i kwiaty tropikalne. Ogromne skupiska zieleni w zachwyty wprowadzają widza. Idziemy aleją wysokopiennych palm. Wydaje nam się, że to jakaś przecudna nawa gotycka. Obok rosną pandeany i bambusy. Z wody wyłania się papyrus i lotos. Mieniają się kwiaty wszystkimi kolorami tęczy. A nad kwiatami połyskują w słońcu różnobarwne motyle. Wibrują skrzydełkami maćpuchne koliberki.

Opowiadają nam, że w tym ogrodzie wyhodowano kiedyś nasiona drzewa gumowego tzw. *Hevea brasiliensis*.

Nasiona te wykradł z Brazylii botanik angielski *Henryk Wickham*. A było to tak:

Przed 60 laty guma była monopolem Brazylii. Przynosiła ona temu państwu ogromne zyski, bo za kg. surowca płacono aż 60 franków. By złamać ten monopol postanowili Anglicy stworzyć plantację drzewa gumowego w swoich azjatyckich koloniach.

Trudno jednak było postarać się o większą ilość nasion z tego drzewa. Wszak Brazylija strzegła zazdrośnie swego skarbu. Misję zdobycia za wszelką cenę nasion powierzono Henrykowi Wickhamowi, który w Brazylii posiadał rozległe plantacje. Misję tę powierzono mu w tajemnicy.

Wickham zaczął działać. Wyruszył on na indyjskich łodziach nad rzekę T a p a j o z de Itajtuba. Od razu zabrał się z swoimi ludźmi do zbierania nasion drzew gumowych. Kiedy zebrano około 70.000 nasion, wyruszone łodziami pod osłoną nocy w drogę powrotną.

W umówionym miejscu oczekiwał ich statek angielski „Amazonka“. Po załadowaniu nasion do ukrytych miejsc parowca, ruszono w stronę portu P a r a.

Władze brazylijskie poddały okręt surowej rewizji. Wickham czekał z bijącym sercem na jej wynik. Jeśli odnajdą nasiona, grozi mu konfiskata majątku i dożywotne więzienie. Tajemniczych worków jednak nie znaleziono. „Amazonka“ popłynęła już prosto do Londynu. Nasiona wysiano w cieplarniach. Wzeszło ich przeszło 2.000. A kiedy podrosły, zapakowano cały ładunek i prze-

wieziono na Cejlon do tego właśnie ogrodu w Paradenii.

Stąd rozesłano wyrosłe już drzewka po wszystkich angielskich koloniach azjatyckich. Produkcja gumy zaczęła się wzmacniać. W roku 16 wydobyto już 700.000 ton. Wskutek tego ceny na gumę zaczęły gwałtownie spadać.

Brazylia natomiast przeżyła wskutek tego swój największy krach gospodarczy. Miasta i wioski, które utrzymywały się ze sprzedaży gumy, opustoszały zupełnie. Zachwiał się budżet państwa. A to wszystko spowodował niewątpliwie złodziejski czyn Wickhama.

Kandy położone w górach, to miasteczko jak z bajki. Drzewa rosnące na stokach wyglądają jak płonące bukiety. Palmy królewskie, delikatne, wonne kwiaty, czar roślinności. Kandy to stolica cejlońskiego buddyzmu. Od dawnych czasów Kandy było stolicą władców Cejlonu. Z początku XVII w. miasto zdobyli Anglicy. Dzisiaj rezyduje tutaj gubernator angielski.

Kandy jest jak gdyby Mekką buddystów. Znajduje się tu powszechnie przez nich czczona relikwia Maligawa, czyli ząb Buddy. Jest pewnym, że ząb ten w XVI w. został przez Portugalczyków zabrany, spalony i wrzucony do morza. Mimo to utrzymują buddyści, że cenna ta relikwia nadal znajduje się w Kandy. Toteż po dziś

Ośrodek Postulatorski 73

Towarzystwa Chrystusowego

dzień pobożni buddyści z Indii, Chin, Japonii, Siamu i z odległych wysp archipelagu pielgrzymują do Kandy. Składają ofiary i modlą się tu gorąco, w sławnej i pięknej zresztą pagodzie.

Zwłaszcza w sierpniu napływ pielgrzymów jest niezmiernie wielki. Wystawia się bowiem relikwie na widok publiczny.

W czasie tych uroczystości odbywają się publiczne modły, odbywane wśród okazałych ceremonii. Odbywa się procesja z zębem. Słoń przybrany w złociste czapraki w asyście 40 innych słoni obnosi relikwie dokoła prastarej pagody. Przez cały rok zaś ząb znajduje się w trzech złotych skrzynkach, umieszczonych w artystycznej większej skrzyni, ozdobionej złotem i drogimi kamieniami. Chcąc dotrzeć do wnętrza, trzeba otworzyć trzy niezmiernie skomplikowane zamki, za pomocą trzech rozmaitych kluczy. Pierwszy klucz przechowuje arcybonza świątyni, drugi jego zastępca a trzeci spoczywa w żelaznej szafie gubernatora angielskiego.

Ten niepozorny klucz to tajemnica władania Anglii nad Cejlonem. On utrzymuje porządek i ład lepiej, niżby to uczyniły wyborowe pułki angielskiego imperium.

Przez zębią bramkę wchodzimy do pagody. W stawie po prawej stronie widać pływające żółwie. Przy drugiej bramie żebracy z miseczkami skomlą o jałmużnę. Rzucamy im do miseczek trochę drobnej monety. Kłaniają się nisko pełni

wdzięczności. Półnaczy pielgrzymi niosą na talerzykach kwiaty plumiery, lotosu i oleandra. Rzucają je potem u stóp Buddy i nieruchomi wpatrują się w posąg.

Zazwyczaj odbywają się tu często nabożeństwa. Gdyśmy weszli, nabożeństwo już było skończone. Kilku drapichrustów zbliża się do nas, by za pieniądze pokazać pagodę. Nie korzystamy jednak z tych usług.

W pagodzie jest dużo większych i mniejszych posągów Buddy. Są one wykonane z różnych szlachetnych metali, z kości słoniowej, z kryształu lub marmuru. To są wota pobożnych pielgrzymów. Na ścianach i na stropie są wymalowane sceny z życia Buddy. Gdzie indziej są przedstawione straszne męczarnie, które czekają tych co nauki tej odstąpili. Przedstawione są męczarnie wiarołomców, bluźnierców, rozpustników. Jakieś potworne duchy ćwiartują ich ciała. Złe żony pozerają drapieżne ptaki. Tych, którzy się znęcali nad zwierzętami, rozszarpują niedźwiedzie.

Przy pagodzie znajduje się szkoła, rodzaj seminarium dla przyszłych bonzów buddyjskich.

Jeden z uczniów uderza w bęben, inny gra na flecie. W oddali odzywa się jakiś niesamowity instrument, którego dźwięk drży w powietrzu. Wdajemy się w rozmowę ze starszym bonzą prawdopodobnie ich wychowawcą. Jest bardzo uprzejmy i chętnie opowiada nam o życiu wychowanków.

Wstają oni o godz. piątej. Po umyciu się i sprzą-
nięciu cel, rozpoczyna się półgodzinne nabożeń-
stwo. Potem wychowankowie za pomocą patycz-
ka myją sobie zęby. Następuje krótka ceremonia.
W tym czasie odbywa się składanie kwia-
tów u stóp posągu Buddy. O godz. siódmej śnia-
danie. Potem nauka. O godz. dziesiątej wycho-
wankowie wyruszają do miasta po jałmużnę. Wier-
ni składają im do miski ryż i owoce. Około po-
łudnia odbywa się przepisana kąpiel. Po ofiaro-
waniu Buddzie uzbieranej jałmużny, uderzają
w gongi. Po czym spożywają obiad, składający
się z darów w dniu tym otrzymanych. Nie wolno
jadać mięsa, ani jaj, ani ryb. Po obiedzie nauka
i praca ręczna. O godz. szóstej przechadzka. W go-
dzinę później gong zwołuje wszystkich na modlit-
wę i ponowne ofiarowanie kwiatów Buddzie. Po
posiłku wieczornym odbywa się dłuższe rozmyśla-
nie. O godz. jedenastej udają się wszyscy na spo-
czynek.

Dziękujemy bonzie za te objaśnienia. Przykła-
da rękę do czoła i śmieje się serdecznie.

Udajemy się teraz do miasta. Chodzimy cał-
kiem swobodnie. Nikt nas nie zaczepia. Nikt nam
nie rzuci w twarz: sudu iakek enada — biały dia-
beł idzie.

To już zasługa tutejszych misjonarzy, zwłaszcza
oo. Oblatów, którzy zdrowie i życie narażają dla
dobra mieszkańców tej przecudnej wyspy.

Odwiedzamy jeszcze papieskie seminarium, położone w górach blisko Kandy. Seminarium to założył przeszło 40 lat temu X. arcyb. Władysław Zaleski, ówczesny delegat apostolski dla Indii.

Znamy wszyscy dzieje tego wielkiego misjonarza polskiego. Urodził się we Wielonie na Litwie. Po ukończeniu studiów w kraju przenosi się młody teolog do Rzymu. Tu zapoznaje się z Kardynałem Ledóchowskim, który powierza mu różne prace przy swoim boku. W r. 1884 zaczyna się jego działalność misyjna. Otrzymuje sakrę biskupią jako arcybiskup Teb i Delegaturę Apostolską dla Indii. Udaje się więc X. arcybiskup do tego odległego kraju, w którym miał spędzić całe 30 lat. Przejechał ten olbrzymi kraj, równy prawie pół Europie w każdym kierunku wszędy i wzdłuż. Jego zasługą jest ufundowanie 8 metropolii i 27 biskupstw.

Legat Zaleski dba również o szkolnictwo kościelne. Zakłada kilkanaście seminariów duchownych. I tu właśnie w Kandy organizuje Uniwersytet Katolicki i buduje kościół, który jest równocześnie katedrą.

Wraca do Rzymu w r. 1915. Nie miał sił do dalszej pracy. Zabójczy klimat indyjski wyczerpał go zupełnie. Do ojczyzny nigdy nie wrócił. Mawiał, że nikt go w kraju nie zna, a przy tym sił mu brak. Do skromnego domku w Rzymie zaglądali jednak często Hindusi kapłani, którzy pragnęli złożyć uszanowanie swemu kochanemu Le-

gatowi. Wszak kochali bardzo tego wielkiego Polaka ci wszyscy, którzy byli jego wychowankami.

Jedziemy pięknymi alejami do Seminarium. Samochód zatrzymuje się przed gmachem. Wychodzą do nas profesorowie i klerycy w białych su-tannach, przepasanych czerwonym pasem. Idziemy do kościoła. Króluje w nim obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, umieszczony przez zmarłego arcybiskupa. Pokazują nam też pamiątki po nim. Przepiękny jest ogród seminaryjski z widokiem na dolinę rzeki Mahaveligangi i na góry Unasgiria. Siadamy na murawie i zadumani patrzymy w przedną dal.

Dumni jesteśmy z tego, że nasz wielki rodak nad dalekim tym krajem roztoczył urok polskiego imienia. Cieszymy się, że ci brunatni alumni modlą się do Ostrobramskiej Pani. Ona tarczą im będzie w chwilach burz, które niejednokrotnie jeszcze zbiorą się nad tą „perłą Oceanu Indyjskiego“.

— O Cejlonie! ileż krwi męczeńskiej się poleje na twojej pięknej ziemi! — Te słowa, które wyrzekł kiedyś św. Franciszek Ksawery, jadąc mimo tej wyspy, sprawdziły się niejednokrotnie i sprawdzić się mogą jeszcze w przyszłości.

Na szańcach misyjnych jednak trwają i trwać będą misyjni rycerze Chrystusa, wsłuchani w słodkie słowa Mistrza:

„Oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata...”

Lwigród Singapore

Sumatra — Polowanie — Małeńka Au — Polskie nabożeństwo na Oceanie — Procesja eucharystyczna — Miasto Lwigród.

Za nami Ceylon, najpiękniejsza wyspa świata, „rubin rzucony z niebiosów“. Jakiś czas płyniemy na wodach zatoki Bengalskiej, a potem wjeżdżamy do cieśniny między półwyspem Malajskim a Sumatrą, należącą od dawna do Holandii. Sumatra, Borneo, Jawa i Celebes tworzą tzw. Indie holenderskie. Kolonie te są 55 razy większe od Holandii. Mieszka tam przeszło 60 milionów ludności tubylczej, przeważnie Malajów.

Jedziemy wzdłuż brzegów Sumatry. Od strony wybrzeża witają nas gaje palmowe. W dali błękitnieją szczyty górskie, dochodzące do 2400 m wysokości. O bogactwach Sumatry opowiada nam pewien Francuz, który ją zwiedzał: są tam węgiel, złoto, rosną wszelkie gatunki najszlachetniejszych drzew. Mówi nam o doskonałych drogach, zbudowanych przez Holendrów. Szpitale oraz mieszkania robotnicze są niekiedy piękniejsze niż

w Europie. Wszystko to zbudowano w dobrych czasach.

Dziś i Sumatrze kryzys daje się we znaki. Gnie trzcina cukrowa, bo nie ma zbytu. Sumatrze zagraża komunizm i Japonia.

Komunizm z powodu bezrobocia i kryzysu. Japonia zaś wyciąga rękę po całe Indie holenderskie.

Tubylcy zdają się sprzyjać Japończykom, uważając ich za swoich wybawicieli. Imponuje biednym tubylcom niska cena towarów japońskich. Metr japońskiej materii bawełnianej kosztuje 25 gr, holenderskiej zaś 90 gr. Rower pochodzenia japońskiego można kupić za 9 zł. Toteż policja pilnie tępi wszelkie odruchy, zwłaszcza partii narodowej, która za pomocą ulotek w języku malajskim stara się podburzać ludność przeciwko białym.

Holandia zaś ze swej strony fortyfikuje na gwałt Sumatry i inne pobliskie kolonie. Od kilku tygodni wysyłane są na Daleki Wschód kontrtorpedowce, łodzie podwodne, kanonierki i samoloty, zakupione w Stanach Zjednoczonych.

Pułkownik van Oyen, dowódca floty powietrznej w Indiach holenderskich, oświadczył ostatnio, iż Holandia dołoży wszelkich starań, by kolonie zaopatrzyć w nowoczesną broń. 30 olbrzymich bombardowców „Glenn Martin“, ostatnie słowo techniki amerykańskiej, wysłano dla wzmocnienia sił zbrojnych Holandii na Dalekim Wschodzie.

I flotę powiększono ostatnio o kilkanaście bojowych jednostek.

Nie ulega wątpliwości, iż zbrojenia Holandii odbywają się w ścisłym porozumieniu z Anglią, która tutaj również na gwałt się zbroi i to wyraźnie przeciw Japonii.

Wydawało mi się zawsze, że w tych puszczech egzotycznych aż się roi od dzikich zwierząt i że każdy tam może polować, ile mu się podoba. Poczeka mnie ten sam Francuz, który polował na półwyspie Malajskim na płaskowyżu Peraku w okolicy Ede Pahang, że to rzecz całkiem skomplikowana i kosztowna.

Nasamprzód musiał się postarać o pozwolenie głównego komisarza policji z Singapore, płacąc osobny datek za każdą broń, a nawet za naboje. Poza tym było potrzebne pozwolenie komisarza okręgowego, który za kartę myśliwską ważną na 6 miesięcy, policzył sobie 200 dolarów. Karta ta upoważnia go do ubicia tylko 4 sztuk grubej zwierzyny. Później musiał wynająć kilku tubylców, obeznanych z terenem, którzy równocześnie pełnili urząd kucharza, tragarzy itd. Oczywiście, że nie obyło się bez przygód, o których nam opowiadał chętnie w ciepłe, tropikalne wieczory.

Życie płynie na „Conte Rosso“ spokojnie i radośnie. Największą naszą pociechą to 14 miesięczna Chincezka Au Yau.

Przez Tajemniczy Wschód. 6

Kochane to stworzonko, o skośnych oczętach i żółtej twarżycze. Ma dziwny, czy nie chiński zwyczaj, że we dnie śpi, a w nocy płacze. Ponieważ maleńka Au mieszka ze swymi rodzicami w kabinie obok nas, więc poznaliśmy ją dostatecznie. Płacze, krzyczy, jęczy, drze się ze wszystkich sił, jakby chciała się zamienić w jeden głośny protest przeciw ingerencji Japończyków w swej ojczyźnie. Serenada maćpuchnej Au rozpoczyna się o godzinie 10 wieczorem, a kończy się nad ranem. Największe natężenie o godz. 1 w nocy.

Robi się ruch w naszej kabinie, 3 m szerokiej i 2 i pół m długiej. W górnym łóżku nade mną przewraca się jęklonie z boku na bok X. R., profesor z Warszawy. Obok odzywa się niecierpliwie nasz senior pielgrzymki X. K., również z stolicy.

Co robić?

Ubieram się w płaszcz i wędruję na pokład. Z zachwytem wpatruję się w obce gwiazdozbiory. Na południowym nieboskłonie błyszczy Krzyż Południa, drogi towarzysz w czasie mej włóczęgi brazylijskiej. Jasna poświata księżycy brylantową smugą kładzie się na oceanicznej toni. Jakaś dziwna cisza rozlewa się dookoła.

Zdaje mi się, że na tym wielkim morzu płynę sam ze swoim Bogiem w wieczność, nieskończoność...

Kochana, małeńka Au, ojca dumo i matki chlubo, co masz rączki pulchne i skośne oczęta, jakżeśmy ci wdzięczni za twoje serenady!

Dziwnie się złożyło, że w koło nas we wszystkich kabinach mieszkają sami Chińczycy. Są to kupcy, a przede wszystkim studenci, którzy wracają ze studiów ukończonych w Rzymie lub Paryżu. Jedna rzecz nas u nich uderza: niechęć do białych. Gorzej, gdy mowa o misjonarzach, pracujących tak ofiarnie w Chinach. Według nich, to wysłannicy obcych państw, którzy pracują na szkodę Chin. Oni sami w nic nie wierzą.

26 stycznia odprawia się polskie nabożeństwo. Poprzedniego dnia wieczorem wyćwiczyliśmy kilka pieśni polskich. Mszę św. odprawił J. E. X. metropolita Sapieha. Na nabożeństwo przybyli także pielgrzymi innych narodowości oraz kilku księży biskupów. Śpiewaliśmy z całą czcią, ramię przy ramieniu. Śpiewał biskup polski i kapłan i robotnik, śpiewali z taką mocą, że ściany kapliczki drżały od tej serdecznej wichury głosów.

„Twoja cześć chwała“, „Boże coś Polskę“ wyrywało się z mocą wielką, jakby serdeczne rozekłanie z piersi naszych. Pod koniec X. biskup Kubina, strażnik Jasnej Góry, zaintonował „Gwiazdo śliczna, wspaniała“...

Pieśń tę podchwyciliśmy społem. A ona wirowała, a potem przez otwarte okna buchnęła i nad Oceanem się unosząc, wzwyż płynęła — przed nie-

bieski tron Najświętszej Panienki... Kazanie podniosło wygłosił X. Metropolita.

27 stycznia. Głościki zapowiadają we wszystkich językach procesję eucharystyczną. Zgromadzili się wszyscy odświeczeni. Na przednim pokładzie ustawili się nawet Chińczycy, Malajowie, oraz prawosławny biskup misyjny Wiktor z Pekinu w oczekiwaniu uroczystości.

Mignął na przedzie krzyż niesiony przez kapucyna z Kanady. Ruszyły szeregi wiernych, kapłanów, biskupów. W oddali ukazał się baldachim, podtrzymywany przez marynarzy w odświętnych mundurach. Pod baldachimem w złocistej monstrancji zajaśniała Hostia bielusińska, Bóg utajony. Kardynał-Legat niesie skarb najdroższy. Procesja okrąża pokłady. Nastaje uroczysta chwila. Na pomoście komendanckim zatrzymuje się baldachim. Donośnie brzmi fanfara. Chrystus błogosławi morzom i lądom, wszystkim stronom świata. Chwila, jakich mało w życiu. Oczy przymykają się na ten świat szary i mizerny. W duszach grają niebiańskie melodie. Zachodzi właśnie słońce i niebo rozpala się jak rubiny. Z dusz naszych i z morza i z rozpalonego niebogłosu płynie dziękczynne „Te Deum laudamus“.

Przyjeżdżamy do Singapuru.

Na molo czekają na nas gromady ludzi, i zwykłych portowych nabieraczy. Do wody wskakują zwinni malajowie, nurkując za monetami.

Popisuje się we wodzie starszy już malajczyk nazwiskiem **M i n g g u**, najslynniejszy nurek i polawiacz monet na Dalekim Wschodzie. Zapala on cygaro, wkłada jego tłący kawałek do ust i skacze do wody za wrzuconymi monetami. Poza tym popisuje się innymi sztukami zwinnością akrobata, za co zyskuje huczne oklaski pasażerów i załogi.

Rok później spotkało **Minggu** nieszczęście. Kiedy nurek w pogoni za monetą zanurzył się w morze, puścił się za nim w pogoń rekin. Widzowie zdrętwieli. Za chwilę woda zaczerwieniła się na powierzchni. **Minggu** zdołał jeszcze wypłynąć na wierzch i wołać o ratunek. Towarzysze rzucili się na pomoc i wyciągnęli go z wody. Lecz rany zadane przez rekina były tak wielkie, że **Minggu** zmarł wkrótce z powodu znacznego upływu krwi.

I tutaj, półtora stopnia od równika, znajdują się placówki polskie. **P. wicekonsul Nowolecki** wita nas owacyjnie. Róże i irysy, wręczone **ks. Metropolicie** przez **p. wicekonsulową**, wędrują od razu na ołtarz naszej kapliczki.

Singapore oznacza w języku tutejszym **Lwigród**. Istnieje jako miasto dopiero 100 lat. Wielki kolonizator angielski **Th o m a s S t a m f o r d R a f f l e s**, zrozumiał znaczenie strategiczne tego miejsca.

Gdy w roku 1819 wylądował on na wybrzeżu **Singapore**, była tam pustka. Gęste zarośla mangrowe schodziły aż do morza. Tu i tam widniała

gliniana chata tubylców malajskich. Prymitywne łodzie „kanoe“ uwijały się po zarosłym rozlewisku.

Raffles zorientował się od razu w sytuacji. Zrozumiał, że ta zatoka może stać się potężnym punktem oparcia dla floty brytyjskiej. Tędy bowiem idzie droga do Chin, Japonii, Australii i kolonii holenderskich. Przez bramę tę przejeżdżać muszą wszystkie okręty, idące na Daleki Wschód.

Podjął on przeto od razu kroki do zdobycia tej ziemi i włączenia jej w posiadanie korony angielskiej.

Nie dziw więc, że uczczono tego kolonizatora pięknym pomnikiem „Raffles Monument“. Ze spiżu ulana jego postać, zwrócona jest w stronę zatoki. Stoi jakby na straży tego sławnego portu świata.

Anglia też od dawna uczyniła Singapur największą fortecą na Dalekim Wschodzie. Jest to Gibraltar azjatycki, bez którego wpływy i potęga Azji nie dałyby się utrzymać.

W Singapurze od 17 lat pracują nad rozbudową fortecy i portu wojennego. Dokonano tu gigantycznej wprost pracy. Miliony metrów sześciennych ziemi przekopano celem niwelacji. Na pagórkach wyrąbano całe zagajniki drzew gumowych. Wydrenowano mokradła. Wylano 40.000 litrów specjalnego płynu dla wyniszczenia moskitów na bagnach.

Zbudowano nowe doki, które mogą przyjąć do naprawy nawet olbrzymie okręty 45.000 tonowe.

Jeden z tych doków liczy 350 m długości. Podziemne magazyny paliwa zawierają 1.300.000 ton zapasów. Mogą zatem dostarczyć całej flocie paliwa na przeciąg 6 miesięcy. Największe trudności inżynierskie nastręczały konstrukcję na bagnach. Wbito tam 4000 pali, niekiedy na głębokość 40 m. Toteż nie bez słuszności uważa się Singapur za jeden z największych wyczynów inżynierskich Anglii.

Garnizon Singapur wynosi około 20.000 ludzi. Potężne działa forteczne dobrze zamaskowane niosą podobno na 35 km. Wzgórza Changi, ciągnące się na północ od właściwego miasta, naszpikowane są bateriami dział i fortami.

Nie dziw przeto, iż Singapur jest kością w gardle dla Japończyków. 60% wszystkich transportów japońskich przechodzić musi przez Singapur. Anglia może każdej chwili zatamować handel japoński i zamknąć dowóz surowców do Japonii. Dlatego też Japonia stara się wszystkimi siłami zmniejszyć niebezpieczeństwo, zagrażające jej z tej strony. Najlepsi szpiegowie japońscy wysyłani są do Singapur. Do prac fortyfikacyjnych wślizgnęły się setki szpiegów japońskich, pracujących jako zwyczajni kulisi.

Znana jest wszystkim tzw. pływająca dzielnicą miasta. Na nędznych dżonkach mieszkają tam tysiące ludzi. Nikt ich nie rejestruje. Otóż tu głównie koncentruje się szpiegostwo japońskie. Czasem kogoś schwycą, jak niedawno temu boga-

tego właściciela kopalni Nishimure, który w chwili ujęcia otruł się strychniną. W miejsce jednego jednak, przyjdzie stu innych.

By uniezależnić się od Singapore, Japonia projektuje budowę kanału w największym miejscu półwyspu Malajskiego, który ma niecałe 42 km szerokości. Czy do tego dojdzie, czy Anglia na to się zgodzi, należy odczekać. W każdym razie Anglia czuwa. Czuwa nad zapleczem, czuwa i nad miastem, które posiada dwa razy tyle policji tajnej, co Warszawa.

Singapore jest miastem bardzo bogatym. Cyna i kauczuk uczyniły je w ciągu stu lat zamożnym miastem półmilionowym. W koło miasta ciągną się plantacje drzew kauczukowych. Wiezie nas tam szofer W a n n a, Malajczyk wesóły, roześmiany. Pokazuje nam nacięcia na drzewach, z których spływa sok, jak mleko, do małych garnuszków, przymocowanych do pni. Oprowadza nas po fabryce. Widzimy sok stężały, wygniatany, prasowany w maszynach. W suszarniach wreszcie oglądamy gotowe białe płyty kauczukowe, zawieszane jak firany.

Zajeżdżamy przed wille dwóch chińskich aferyzistów. Aw Boon Hav i Aw Boon Far. Są to fabrykanci balsamu tygrysięgo (Tiger balm). Od dawna już wiadano w Chinach, że lekarstwo zrobione z kości tygrysa jest wyśmienitym środkiem leczniczym. Trudno jednak było o dostateczną ilość kości tygrysięch, boć przecież tygrys to nie

kot, którego można chwycić na poczekaniu. Lecz panowie Aw Boon wykombinowali sobie od razu, że tu wielką rolę odgrywa autosugestia. Przeto zaczęli wyrabiać balsam nie z kości, lecz ze smalcu, dodając trochę mentolu. I tak skombinowany balsam tygrysi okazał się również pomocnym na wszelkie dolegliwości. W ten sposób fabrykanci dorobili się olbrzymiej fortuny.

Zwiedzamy willę. Urządzona jest z ogromnym przepychem. Są tu nagromadzone dzieła sztuki chińskiej i malajskiej. Brak jednak wyraźnego gustu w ich rozmieszczeniu.

Wiezie nas Wanna do ogrodu botanicznego, do pałacu Tyesall. Jedziemy obok fortyfikacyj, okolonych drutem kolczastym. Przestrzega nas, byśmy pochowali aparaty fotograficzne, bo nas zaaresztują. Wstępujemy do katedry pod wezwaniem Dobrego Pasterza i do innych kościołów katolickich. Pracują tu misjonarze z Seminarium Misyj Zagranicznych z Paryża.

O. Maury, proboszcz katedry, przyjmuje nas serdecznie, zwłaszcza X. biskupa Kubinę, który się przyłączył do naszej wycieczki. Dobrotliwie wkłada każdemu do szklanki z wodą kawały lodu dla ochłody, bo naprawdę gorąco w tym Singaporem, gdzie przeciętna temperatura roczna wynosi 32° C.

Opowiadał nasz gospodarz coś nie coś o życiu katolickim w mieście. Na 600.000 ludności, katolików jest 25.000. Istnieją dobrze urządzone za-

kłady katolickie, szpitale i szkoły prowadzone przez zakonników. Można by rozwinąć większą działalność misyjną. Cóż, kiedy władze angielskie zakazują takiej propagandy.

Wanna zawozi nas do pogańskich domów modlitwy, które oglądamy z ciekawością. Wielkie wrażenie wywarły na nas chińskie świątynie Hokkien, Teochin, Khék. Przed boginią szczęścia kajali się ludzie. Widzieliśmy dużo kobiet. Przychodzi Chinka z małym chłopczykiem. Klęka przed posążkiem, bije pokłony. Chłopczykowi składa również ręce i coś tłumaczy. Potem zapala pachnące zioła na cześć bogini. Inni zapalają drukowane papierki. Inni rzucają petardy, które pękają z trzaskiem. Podziwiamy skupienie, malujące się na twarzach tych ludzi, którzy Boga szukają i na razie go nie znajdują. Żniwo zaiste wielkie...

29 stycznia w nocy opuszczamy Singapore. „Conte Rosso“ bierze kurs na Filipiny. Za 3 dni już staniemy w Manili, jako szczęśliwi uczestnicy XXXIII Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego.

Filipiny - Kraj 7000 wysp

Miasto uniwersytetów — Rodak, tułacz — W głąb kraju.
Powitanie Legata — Nieco historii — Stosunki religijne —

„Wszystkie narody przyjdą i pokłonią się przed Tobą, Panie...”

Te słowa psalmisty urzeczywistniają się na kongresach eucharystycznych. Zjeżdżają się przedstawiciele nieomal wszystkich narodów świata na wspaniałe manifestacje religijne.

Płoną serca miłością dla Serca Bożego. W Eucharystii znajdują siłę i pokrzepienie w czasach, kiedy cały świat drży w posadach.

Dwa lata temu **Buenos Aires**, piękna stolica Argentyny, była miejscem międzynarodowego kongresu eucharystycznego. Nad Srebrną Rzeką milion głów chyliło się wówczas przed Najświętszym Sakramentem. Naród argentyński wraz ze swym prezydentem **Justo Bogu** utajonemu składał święte ślubowanie.

Jako miejsce **XXXIII Kongresu** wybrano **Daleki Wschód — Manilę**, stolicę Filipin. Filipiny, to jedyny kraj katolicki na Dalekim Wschodzie, liczący na 14 milionów mieszkańców 11 m i-

Ośrodek Postulatorski 91

Towarzystwa Chrystusowego

li o n ó w katolików. Chodziło więc o to, by ten kraj, otoczony ze wszystkich stron pogaństwem, wzmocnić we wierze.

Legatem swoim na Kongres, Ojciec św. mianował kardynała **D o u g h e r t y**, arcybiskupa Filadelfii w Ameryce Północnej, który w swoim czasie był biskupem na Filipinach.

Bogu dziękuję za to, że jadąc do Polaków w Szanghaju i Mandżurii, mogłem równocześnie uczestniczyć w uroczystościach kongresowych.

„Conte Rosso“ zatrzymuje się w przystani marnilskiej. Huczą syreny wszystkich statków zakotwiczonych w porcie. Otaczają nas motorówki przybrane odświętnie. Na pokład wkraczają członkowie Komitetu Kongresowego z **X. biskupem Finnemanem** na czele.

Po powitaniu Legat wraz z świtą opuszcza pokład i osobnym statkiem udaje się na ląd. Na brzegu wzdłuż całej drogi do katedry, organizacje bractwa, tłumy. Katedra wypełniona duchowieństwem. Gdy Legat wśród głośnych owacyj wkracza do świątyni, chór filipińskich kleryków, przybranych w czerwone pasy, śpiewa potężne „**T u e s P e t r u s**“. Śpiewem tym katolickie Filipiny witają zastępcę Namiestnika Chrystusowego.

Do rozpoczęcia Kongresu mamy dwa dni czasu. Dlatego rozglądamy się po mieście, bliższej i dalszej okolicy tego egzotycznego kraju.

Wyspy Filipińskie odkryto dopiero 400 lat temu. W dniu 16 marca 1521 słynny żeglarz Magella n postawił jako pierwszy Europejczyk swoją stopę na tym nieznanym dotychczas lądzie. Wyspy nazwano później na cześć Filipa II — Filipińskimi. Już w najbliższą Wielkanoc u stóp krzyża w Limosana na wyspie Mindanao kapelan Magellana, augustianin, odprawił w obecności naczelników szczepów miejscowych pierwszą Mszę św.

Fakt ten znamionuje dla Filipin nową erę nie tylko pod względem politycznym, ale i religijnym. Od tej chwili towarzyszący Magellanowi augustianin rozpoczęli pracę nad nawróceniem kraju. Akcja misyjna poszła nadspodziewanie pomyślnie. Niebawem naczelnicy krajowi przyjęli chrzest św. a z nimi poważna część poddanych. Niestety, nieoczekiwana śmierć Magellana w walce z nienawróconymi jeszcze plemionami powoduje wyjazd zakonników i przerwę w dziele nawracania na lat kilkadziesiąt.

Ślady pierwszych kroków misyjnych Magellana i towarzyszących mu kapłanów silnie jednak utkwily w pamięci tubylców. Kiedy bowiem w roku 1564 przybył w te strony z towarzyszami augustianin Andrzej de Urdaneta znalazł dla pracy misyjnej grunt dobrze przygotowany. Toteż w już następnym roku na wyspie Cebu zakłada kościół i klasztor. Zachęcony tym powodzeniem o. de Urdaneta udaje się następnie na

północ. W r. 1571 na wyspie Luzon powołuje do życia pierwszą placówkę misyjną w dzisiejszej Manili.

W ślad za augustianami poczęli przybywać franciszkanie, dominikanie i jezuita. Akcja nawracania Filipińczyków posuwa się szybkim tempem. Już w r. 1579 powstaje w Manili biskupstwo. Niebawem biskupstwo to papież Klemens VIII podnosi do godności metropolii z trzema święto utworzonymi sufraganiami w Nueva Segovia, Nueva Carceres i Cebu.

Trzeba przyznać bezstronnie, że misjonarze hiszpańscy dokonali w tym czasie pięknego dzieła cywilizacyjnego. Dali tym ludom wyspiarskim wysoki poziom kultury. Uczyli ich rolnictwa i rzemiosła. Zakładali dla nich rozliczne uczelnie.

Szcześliwy rozwój kraju pod opieką Hiszpanii zatrzymał się w połowie XIX w. Urządzono szereg krwawych powstań, które zachwiały rządami Hiszpanów. W r. 1898 wskutek zatargu z Hiszpanią, amerykańskie wojska zajmują Manilę. Cały zaś archipelag przechodzi pod panowanie Stanów Zjednoczonych.

Powoli Filipiny dojrzewają do samodzielności. W r. 1935 wchodzi w życie nowa konstytucja, dająca już prawie całkowitą wolność krajowi. Ostateczne zaś uwolnienie od Stanów Zjednoczonych ma nastąpić w r. 1945.

Pod względem religijnym stosunki kraju przedstawiają się nie nadzwyczajnie. Cały kraj, podzie-

lony na 12 diecezji i 2 prefektury, jest na ogół katolicki. Katolicyzm ten jednak jest niesłuchanie powierzchowny. Powodem tego uśpienia religijnego to rozkwit w ostatnim stuleciu materializmu i bezbożnictwa. Powodem tego są również, jak nam mówiono, bezreligijne szkoły, zaprowadzone przez amerykańców. Wytworzył się ogromny brak powołań. Wszak na 10 000 wiernych przypada zaledwie jeden kapłan i to przeważnie Europejczyk. Zaniedbano bowiem wychowania kleru tubylczego.

Ostatnio są jednak poczynione wysiłki, by podnieść poziom religijny kraju. Dużo się czyni w dziedzinie dobroczynności, szkolnictwa i Akcji Katolickiej. Zasluga to głównie zgromadzeń zakonnych, a zwłaszcza Werbistów, między którymi pracuje też kilku księży Polaków. Da Bóg a obecny Kongres rozbudzi drzemającą jeszcze religijność Filipińczyków.

Przechadzamy się po stolicy. Nie przypuszczałem nigdy, żeby Manila była tak pięknym miastem. W dzielnicy „Intra Muros“ znajdują się wszystkie stare kościoły — kościół Recoletos z ładnym organem, kościół św. Augustyna, piękny gotycki kościół San Domingo — w tym kościele podziwiamy podłogę z miejscowych drzew „narra“ i „molave“. Piękna i bogata w rzeźby jest katedra. Wchodzi się do niej przez arabeskowy portal, ozdo-

biony posągami Apostołów i Ewangelistów. Wewnątrz nadzwyczajna proporcja naw i bocznych kaplic.

Niktby nie uwierzył, że w Manili znajduje się aż 7 uniwersytetów i to z pokaźną liczbą studentów. Rządowy „University of the Phillipines“ miewa z górą 10 000 studentów. Zwiedzamy Katolicki Uniwersytet św. Tomasza. Uczęszcza do niego 3 600 studentów. Jest to największy uniwersytet katolicki na Dalekim Wschodzie. Uniwersytet mieści się w nowym wspaniałym gmachu. Podziwiamy nowoczesne urządzenia, sale wykładowe, biblioteki. Posiada on prawa rządowe, mimo że jest prywatny i prowadzony przez Dominikanów.

W dzielnicy „Intra Muros“ są wąskie uliczki i typowe domy hiszpańskie. Chwilami ma się wrażenie, że jest się w Madrycie czy Barcelonie.

W nowej części miasta są asfaltowane jezdnie, wspaniałe pałace i ogromne kamienice. Tu się znajdują banki i domy towarowe. Tu znajduje się również i giełda.

Pokazuje nam ją nasz rodak p. Sielski, który w niej ma stałe zajęcie. Jemu to głównie zawdzięczamy, że w krótkim czasie możemy poznać wszystkie zakątki tej pięknej stolicy. Obwozi on nas własnym samochodem, do którego przyczepił wielki sztandar o barwach polskich. P. Sielski to ciekawy człowiek o bujnej przeszłości. Był oficerem w armii rosyjskiej. Przeniósł się potem do

formacji polskich na Sybirze. Mieszkał jakiś czas w Charbinie, na Sachalinie, w Japonii. W czasie trzęsienia ziemi stracił tam jedyne go syna.

Nie posiada się z radości, że może nam służyć. Mówi, że szalenie tęskni za Polską, którą zresztą mało zna. Tak mu dobrze z nami. Chce się z nami nacieszyć, narozmawiać przez te kilka dni. Wszak potem znowu zacznie się dla niego szare życie giełdowe w tej stolicy filipińskiej. Jest prawie sam, bo niedawno temu umarła mu żona. A jedyna córka wychodzi wkrótce za Hiszpana.

Jest tu jeszcze kilku Polaków, ale są oni rozproszeni po wyspach. W samej Manili mieszka Polak, który jest tu majorem wojsk amerykańskich. Jest jeszcze jedna Polka, którą odwiedzamy. I ona przeszła dziwne koleje. Obecnie dogorywa na gruźlicę w szpitalu.

P. Sielski zawozi nas również do dzielnicy malajskiej. Znajduje się ona po prawej stronie rzeki P a s s i g, która przepływa przez miasto. Ubogie domki — n i p p a, byki — c a r r a b a o w zaprzęgu, łodzie rybackie z podpórkami na kanałach dzielnicy Binondo — oto główne wrażenie.

Języka nie rozumie się tu zupełnie. Słyszcy się tu malajskie dialekty: tagalog, ilocano, ibanag i inne. Kilka tych dialektów musi sobie przyswoić tutejszy misjonarz. Inaczej nie dałby sobie rady. A są to języki nie łatwe. P. Sielski zaczyna pierwszego z rzędu jegomościa po tagalogańsku:

Przez Tajemniczy Wschód. 7

Magandang arao, po! — Dzień dobry panu!

Paano ba cayó? — Jak się pan ma?

**Maraming salamant! Mabuti po! — Dziękuję,
dobrze, panie!**

Jedziemy 300 km w głąb kraju a właściwie na wyspę Luzon, największej z 7000 wysp i wysepek filipińskich. Udajemy się pociągiem do **B a g i o**, żeby tam odwiedzić stację misyjną holenderskich Ojców Niepokalanego Serca Maryi, położoną w złotodajnych górach na wysokości 2 tys. m.

Po obu stronach toru ciągną się ryżowiska. Ryż już zebrany. Tu i tam widać jeszcze prymitywną młóckę. Za to odbywa się zbiór trzciny cukrowej, która w tym roku udała się nadzwyczajnie.

Pociąg pędzi poprzez odwieczne bory. I znowu przez żyzne doliny. Śmiesznie wyglądają jeźdźcy na bykach - carrabao. Obok jednej ze stacji spotykamy pochód pogrzebowy. Orkiestra wygrywa marsza żałobnego. Za nią wiozą karawan z fioletową trumną.

Na stacji Damortis siadamy do autobusu, który nas zawozi do Bagio. Autobus pędzi ciągle w górę po asfaltowanej szosie. Dudni po żelaznych mostach, zawieszonych na zrębach skalnych. Bierze niebezpieczne wiraże i wspina się coraz wyżej. Odczuwamy miły chłód po upałach w dolinie. Wreszcie docieramy do **B a g i o**, które stało

się letnią stolicą kraju. Mieszkańcy Manili urządzili sobie tu piękne miejsce wypoczynku.

Na miejscu wespół z misjonarzami oglądamy dwie piękne świątynie, obsługiwane przez zakonników, oraz jedną stację misyjną. Oni też apostołują wśród pierwotnych mieszkańców wyspy tzw. **N e g r y t ó w**. Apostolstwo jest nader trudne, ponieważ negrycy żyją do dziś jeszcze pół dziko, a ich ulubionym zajęciem jest ścinanie głów sąsiadom.

Wracamy — w środę 3 lutego. Jest godzina 5 rano, a więc 10 wieczorem w Polsce, bo mamy tu aż 7 godzin różnicy w czasie. Mimo wczesnej godziny całe **B a g i o** zaalarmowane. Na głównym placu istne obozowisko wojenne. Słychać głośne nawoływania w narzeczu **T a g a l l o**. Mieszkańcy **Bagio** i okolicy jadą na Kongres. Tu i tam rozlega się niby zawołanie wojenne, Hymn Kongresowy, ćwiczony przez długie tygodnie na wszystkich wypach.

Dwanaście autobusów wiezie pielgrzymów 50 km do najbliższej stacji kolejowej **D a m o r t i s**. Stąd już koleją wprost do Manili.

Jedziemy razem z pielgrzymami. Śpiewają po drodze, to znowu modlą się na głos, mimo zmęczenia i upału, dochodzącego do 34°. Posilają się zapasami, zebranymi z domu. Zapasów tych całe góry, bo mają starczyć na czas pobytu w **Manili**. Są tam i żywe kury, które będą zabite dopiero w czasie Kongresu. Częstują nas nasi filipińscy

towarzysze podróży owocami oraz plackiem z mąki ryżowej. Nie możemy się niestety z nimi porozumieć, bo nie znamy języka. Któryś inteligentniejszy z nich mówi po hiszpańsku i angielsku. Nadziwić się nie może, żeśmy aż z dalekiej Europy zawitali do jego ojczyzny.

Wreszcie dojeżdżamy do Manili. Spieszymy szybko na okręt, w którym mieszkamy w czasie pobytu w Manili. Za chwilę udajemy się na plac Lunetta, by wziąć udział w uroczystościach Kongresowych.

Kongres - Wszechświatowy wylew miłości

Otwarcie Kongresu — W blasku reflektorów — Pierwsze generalne zgromadzenie — Nocna Komunia św. mężczyzn — Sekcja polska — Dzień dzieci — Procesja wzdłuż Pacyfiku — Ojciec chrześcijaństwa przemawia.

Zdążamy w stronę wspaniałego parku *Luneta*, położonego nad brzegiem Oceanu. Wita nas godło Kongresu w kształcie trzech wysokich kolumn z kopułą i krzyżem na wierzchu. Ma to być symbol jedności trzech głównych plemion filipińskich *Ilokanów*, *Tapalógów*, *Visoya* — z których dopiero chrześcijaństwo utworzyło jeden naród.

Ciśniemy się wśród tłumów, ubranych przeważnie na biało, w stronę ołtarza. Chwyta nas za serce widok tych setek tysięcy wiernych, którzy z całego świata z głęboką wiarą podążyli na Kongres. Z bijącym sercem oczekują wszyscy otwarcia tego wszechświatowego wylewu miłości dla Chrystusa Eucharystycznego.

Słońce spuszcza się coraz niżej. Wreszcie czerwień zachodzącego słońca muska wysmukłe kolumny i wielki ołtarz Lunetty.

Nadchodzi Legat wśród burzy oklasków rozentuzjasmowanych Filipińczyków i przedstawicieli 50 narodów. Płyną strofy „Veni Creator“. X. prałat Boehm odczytuje bullę papieską.

„...Przez obecny Kongres sprawdzają się słowa Pisma św.: „Będzie mieszkał od morza do morza“. Kongres manilski jest bardzo na czasie w chwili, gdy świat drży z obawy i niepewności. Ludzie i świat od Boga wyszli, nie więc dobrego nie mogą działać bez Boga, bez Jezusa Chrystusa, od którego zawsze pochodzi wszelkie dobro i wszelka radość. Źródłem i początkiem tego wszystkiego jest św. Eucharystia, przez którą ludzie stają się uczestnikami natury Boskiej. Kongres obecny odbywa się w obliczu Pacyfiku, Oceanu Spokojnego. Niech to będzie szczęśliwą wróżbą i niech Chrystus Pan, Księżę Pokoju, natchnie uczestników uroczystości w Manili duchem zgody i wzajemnej miłości“.

Potem zabiera głos Kardynał Legat. Podkreśla ścisły związek między pracami misyj a św. Eucharystią. Odkupienie ludzkości odbywa się przez ofiarę Mszy św. Przepowiednia Malachiasza zapowiada, że Ofiara składaną będzie wszędzie od Wschodu do Zachodu. Do nawracania świata wybrano nie aniołów lecz ludzi. Jezus w św. Eucha-

rystii jest ich ucieczką i pociechą i pomaga przezwycięzać trudności...

Pod koniec X. biskup Caruano, nuncjusz apostolski z Kuby, udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

Wieczorem wygląda Manila jak miasto z bajki. Wszędzie prześliczne dekoracje świetlne — w kształcie kielicha, monstrancji lub bukietu kwiatów. Fantastyczne dekoracje z kolorowych lampek elektrycznych wiją się po palmach i drzewach ognistych, łączą latarnie uliczne z balkonami domów. Gmachy państwowe oraz ważniejsze budynki zalane kaskadami światła. Idziemy zmieszani z tłumem różnojęzycznym wśród tych potoków sztucznego światła. Wstępujemy razem z nim do kościołów, w których przez całą noc wystawiono Najśw. Sakrament. Razem z nim się korzemy i modlimy z sercem pełnym ekstazy, pełni duszy wierzącej:

O wiesz najlepiej, Ty Wszystkowiedzący,
Ze Cię nie kocham tylko dla przyszłej nagrody,
Nie za obiecane w Królestwie Twym gody,
Nie dla palm, harf, cudów i dziwów....
Ja Ciebie kocham, że był nieszczęśliwy,
Ze przebolełeś to wszystko, co boli...

Czwartek, 4 lutego był dniem niewiast. Mszę św. odprawił na placu Lunetta X. biskup T o n g, wikariusz apostolski z Indochin. Przemawiał ruchliwy arcybiskup Reyes z Cébu, wskazując na mi-

się apostolską niewiasty w dzisiejszych czasach. Potem 80 tysięcy niewiast przyjęło Komunię św. Zdarzały się wzruszające sceny. Na placu chrzono panią Shizu Osa wa, wykształconą Japonkę. Przyjechała do Manili z ciekawości. Uroczystości kongresowe zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Łaska Boża uczyniła resztę.

Poznała pani Osawa Chrystusa i ukochała Go całą duszą.

— Jakie szczęście posiadać Chrystusa! — powtarzała wszystkim. — Będę apostołką Chrystusa w mojej japońskiej ojczyźnie....

W ciągu dnia obradowały sekcje na tematy eucharystyczne.

Wieczorem gromadzimy się znowu na placu Lu-netta. Odbywa się pierwsze generalne zgromadzenie uczestników Kongresu. Obszerne tereny parku przepełnione wiernymi, którzy tym razem zgromadzili się grupami krajowymi, każda pod swoją flagą narodową. Do zebrania przyłączają się również biskupi i księża, którzy umyślnie wcześniej zakończyli swe obrady w katedrze.

Wykład o eucharystii jako źródle ofiary i poświęcenia przenosi nas na szerokie pole misyjne. Wykład ten ma tu szczególniejsze znaczenie. Wszak wśród zebranych 80 biskupów przeważają biskupi misyjni. Kapłani tu obecni, brodaci, w różnych mundurach zakonnych, o twarzach wychudłych i spalonych, to przeważnie czynni oficerowie

z frontu misyjnego, którzy życie swe złożyli w ofierze dla nawrócenia niewiernych.

Płomienne kazanie wygłasza po hiszpańsku niski wzrostem, lecz wielki duchem, filipiński biskup z Lingayen dr G u e r r e r o. Poznaliśmy go przedwczoraj. Gdy się dowiedział, że w Potulicach przygotowujemy misjonarzy dla wychodztwa i Rosji zawołał z temperamentem tutejszych ludzi:

— Na Boga, przyslijcie misjonarzy na Filipiny! Mam 70 parafij w swej diecezji a tylko 40 księży.

Przemawiają jeszcze przedstawiciele różnych narodów. W imieniu Polski zabiera głos książę metropolita S a p i e h a. Wita go burza oklasków. Rozpoczyna od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Mówi o Polsce dawniejszej, będącej przedmurzem chrześcijaństwa i o Polsce dzisiejszej, która stać się może bramą, przez którą ludy Wschodu wejdą do Kościoła Bożego.

Obrady kończą się nabożeństwem, które odprawi biskup L a b r a d o r, wikariusz apostolski z Chin.

Późnym wieczorem czekały nas jeszcze głębsze wrażenia. O północy miała się odbyć Komunia św. mężczyzn.

Już od godziny 10. płynęła fala mężczyzn w stronę placu kongresowego. Szli młodziki, wyrostki manilskie, wieśniacy z Mindanao i górale z Bagio — niektóre twarze półdzikie jeszcze. 250 000 męż-

czynn załało plac. Rozpoczął się szturm do miłosierdzia Bożego. Księża słuchali spowiedzi św. na murawach, na schodkach trybun, gdzie się tylko dało. Niektórzy po 20, 30 latach kajali się znowu przed Bogiem. Widziałem głośne wybuchy żalu i serdeczne rozmodlenie, malujące się na oliwkowych twarzach mieszkańców tutejszych. Plac kongresowy zamienił się na uzdrawiającą sadzawkę Betsaidę.

O północy arcybiskup z San Francisco ma odprawić Mszę św. pontyfikalną. Snopy rakiet, rozświetlające ciemne niebo milionami iskier, wieszczą zbliżanie się uroczystej chwili. Ze wszystkich stron płyną jeszcze niezliczone rzesze ludzi wszelkich stanów i ras, świeccy i zakonni, mężczyźni i kobiety, biali i kolorowi. Trybuny parku są już wypełnione, wciąż jednak płyną nowe tłumy. Klękają na trawnikach przed ołtarzem. W blasku reflektorów poważnie króluje nad nimi ołtarz kongresowy, osłonięty od wiatrów szklanymi ściankami. Chwila ciszy. Przed ołtarz wstępuje celebrans w otoczeniu kleru. Nagle wybucha potężny śpiew z ust tysięcy zebranych dla uczczenia św. Eucharystii. Milknie tylko wtedy, gdy odzywające się dzwonki zwiastują moment Ofiarowania, albo trębacze chwilę uroczystą Podniesienia. Wszyscy, jak jeden mąż, padają kornie na kolana...

Milknie śpiew, gdy kaznodzieja wchodzi na katedrę, by głosić słowo Boże. Słów tych słuchają wszyscy w budującym skupieniu.

Dusze wzlatywały ku Bogu. Święte postanowienia rodziły się w tę pamiętną noc. W roziskrzony otok niebieski buchnęła pieśń bojowa z dziesiątków tysięcy gardzieli: *Christus vincit, Christus regnat...* Chrystus zwycięża, Chrystus króluje...

5 lutego obradują sekcje poszczególnych narodowości. W dniu tym obraduje również sekcja polska. O godz. 9 zebraliśmy się w kościółku oo. Dominikanów San Juan de Lateran. Mszę św. odprawił X. biskup *P r z e ź d z i e c k i*. W czasie Mszy św. śpiewaliśmy pieśni polskie wraz z kilkoma Polakami, mieszkającymi w Manili. Po nabożeństwie toczyły się obrady. Wykłady okolicznościowe wygłosili X. biskup *K u b i n a* i X. biskup *P r z e ź d z i e c k i*. Pod koniec zebrania X. *K o ł o d z i e j*, misjonarz polski na Filipinach, wezwał obecnych i Polskę całą do większego jeszcze poparcia misyj katolickich zwłaszcza na Dalekim Wschodzie.

6 lutego odbył się dzień dzieci. Deszcz padał całą noc. Nad ranem jednak chmury rozeszły się i wschodzące słońce pełnym blaskiem oblało park Lunetta, rozkwitły białymi sukienkami, w które na tę uroczystość przystrojono dzieci. Już o godzinie 6 rano napływały dziesiątki tysięcy dzieci na plac kongresowy. Twarzyczki białe, ciemne, oliwkowe aż do zupełnie czarnych. Na

twarzyczkach skupienie. Idą dwudziestkami pod przewodem swych opiekunek, ubranych w jednolity strój starohiszpański. Śpiewają hymn kongresowy:

Hace ya cuatro centrurias,
que esta tierra filipina
se nutre de la doctrina
de Christo, divina luz.

Śpiewają o swej ojczyźnie filipińskiej, która od czterech wieków karmi się nauką Chrystusa, Jego Boską światłością.

Z szczególną siłą powtarzają refren hymnu:

Venid pueblos del Oriente,
Nationes todas vnid...

zapraszając wszystkie narody Wschodu, by poszły za Chrystusem. Płyńie ten hymn lekko rozkołysany, po czym coraz żywołowiej pod sam tron Chrystusa Eucharystycznego. Przemawia do nich X. biskup F o r d, wikariusz apostolski z Chin. Mówi powoli, dobitnie o tej wielkiej miłości, którą Chrystus kocha dzieci.

Potem Komunia święta 85 tysięcy dzieci. Przyjmują Jezusa nawet maleństwa sześćioletnie.

W czasie rozdawania Komunii św. taka oto wzruszająca scena. Z grupy dzieci filipińskich wysuwa się jakiś chłopiec, który na kolanach podąża ku ołtarzowi. Okazuje się, że jest to V i d a l V e r g a z a, który przed sześciu laty w następstwie zapalenia gardła stracił mowę. Lekarze nic mu po-

móc nie mogli. Przed rokiem chłopiec ten dowiedział się o przygotowywaniu Kongresu w Manili. Uczynił wówczas ślub, że jeśli wróci mu mowa, na kolanach uda się przed ołtarz w czasie Komunii św. i najgłośniej ze wszystkich śpiewać będzie hymn kongresowy. Minęło kilka tygodni od uczynienia ślubu. Vidal Vergaza nagle uzyskuje mowę. Dzisiaj pragnie wykonać co ślubował. „Jest to dziełem Boga — powtarza rozrzewniony — Jemu chcę więc służyć zawsze“.

Kłęczę wśród dzieci. Rączkami zakrywają twarzyczki i modlą się gorąco, bardzo gorąco, półgłosem. Wzruszenie ogarnia wszystkich. Zda się nam, że to aniołki Pańskie z nieba zstąpiły na ziemię. Serca biją radośnie. Otucha napełnia serca obecnych. Toć te dzieci lepsze zwiastują jutro. A wspólnie z nami raduje się przyroda. Szeleszczą szerokie wachlarze palm, rozkwitają pod gorącym turkusem niebios magnolie, pachną jaśminy i kwiaty ipe...

Antonio Avecilla, obywatel tutejszy, kłęczący obok, płacze ze wzruszenia.

— Ojczy, mówi, przecież tu niebo zstąpiło na ziemię.

Zakończeniem uroczystości kongresowych była procesja eucharystyczna w niedzielę, 7 lutego. Był to triumf nad triumfami. Rozpoczęła się na wielkim dziedzińcu kolegium de la Salle i szła

prawie ciągle brzegiem oceanu, awenidą Deveya, kończąc się na placu Lunetta.

Procesja przechodzi przez 14 bram triumfalnych, reprezentujących 2 archidiecezje, 10 diecezji i 2 prefektury apostolskie Wysp Filipińskich. W procesji bierze udział ponad milion uczestników. Pochód otwiera konno gen. Basilio Valdes, szef sztabu generalnego. Za nim postępują reprezentacyjne bataliony wszystkich rodzajów broni. Idą delegacje poszczególnych narodów, każda pod swym sztandarem narodowym. Idą długie szeregi księży, zakonników, biskupi...

Olbrzymia monstrancja umieszczona była na wspaniałym wozie, umyślnie na ten cel zbudowanym. Za monstrancją klęczy Kardynał - Legat. Nad rydwanem rozpięto baldachim z czystego białego jedwabiu. Kapłani w dalmatykach posuwają na zmianę ten ruchomy tron Boga eucharystycznego.

A otaczają go najwybitniejsi katolicy filipińscy, niosąc kosztowne starożytne inkrustowane złotem i srebrem tarcze dawnych kolonizatorów hiszpańskich.

Słońce już zaszło. Niebo pali się jak rubiny. Zapalają się setki tysięcy światełek wzdłuż drogi. Amerykańskie okręty wojenne rzucają białe smugi reflektorów ku niebu. Po obu stronach drogi szpaler tworzą młodzi studenci w galowych mundurach. Za nimi tłum. Po bokach ulicy, na drzewach, na balkonach i dachach pełno ludzkiego mro-

wia. Głośniki, umieszczone na latarniach wzdłuż całego pochodu, podają słowa komendy, to znowu pieśni, śpiewane równocześnie na całej przestrzeni.

A Chrystus kroczy wśród tej półmilionowej rzeszy. Kroczy dobrze czyniąc i błogosławiąc rozśpiewany lud. Zginają się kolana, obnażają się głowy, usta szepczą słowa uwielbienia. A ocean uderza falę za falą o brzeg i brylantowe rzuca bryzgi do stóp swego Pana.

Kończy się procesja. Hostia Przenajświętsza rozbłysła na Ołtarzu na placu kongresowym. Legat intonuje *Tantum ergo*. Potem podnosi monstrancję i Chrystus błogosławi tłumowi, miastu, Filipinom i całemu Wschodowi, jak gdyby go chciał przygarnąć do swego Serca Bożego.

Jest godzina 9. Słyszać głos megafonów. Łączymy się ze stacją watykańską. Za dwie minuty przemówi Ojciec św. Nastaje cisza. Tłum zamarł w milczeniu. Wszyscy padają na kolana. Za chwilę słyszać wyraźnie słowa Ojca św. Mówi powoli, drżącym od wzruszenia głosem.

„...Radzi jesteśmy teraz żywym głosem zwrócić się do was w słowach ojcowskich. Przede wszystkim składamy wam najżywsze powinszowania za przepiękny triumf, jakiście zgotowali Jezusowi Chrystusowi, Królowi Wszechświata, ukrytemu pod szatą św. Eucharystii, łącząc wspaniały splendor blasku zewnętrznego z żarem wewnętrznym pobożności.

Triumf ten pochodzi z dusz rozpalonych miłością dla Boskiego Zbawiciela. Nie chcemy go przeto uważać za przemijający i kruchy, lecz za taki, który ku cnocie powiedzie życie każdego z was i stanie się wartościowym czynnikiem rosnącego postępu moralnego.

Wśród obfitych owoców zbawiennych, których po tym Kongresie Eucharystycznym oczekujemy i o które błagamy Boga, szczególnie wieścimy te, do których zmierza główny cel, obrany przez Kongres, mianowicie, by coraz bardziej wzrastała gorliwość dla misyj i by powstawała coraz częściej pożyteczna inicjatywa na rzecz tych misyj, jako skutek co raz podnioślejszego nabożeństwa dla Najśw. Sakramentu i powszechnego w Nim uczestnictwa. Z tego źródła spływa zaiste światłość na umysły, gorącość serc, nadprzyrodzona obfitość prac i trudów.

Gdy w naszych czasach, niestety, wielu zaślepionych zwodniczymi błędami, pociąganych rozkoszami i występkami w walce między sobą przez wzajemną nienawiść i niezgodę, oddalającą się od Jezusa Chrystusa, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem, i nieszczęśni kroczą do własnej zguby, wy, czcigodni bracia i ukochani synowie, zbliżcie się w największym zapale do Zbawiciela, zewrzyjcie się przy Nim w najsilniejszych węzłach i złożcie Mu należną daninę miłości i zadośćuczynienia. Wytyńcie wszystkie siły, aby bracia zbłąkani i ci

wszyscy, co pozostają w mrokach i cieniu śmierci, uzyskali przez Niego światło, prawdę i żywot.

Oby wszyscy poznali, czcili i postępowali za Tym, który sam jeden tylko ma Słowa Żywota Wiecznego, aby wreszcie ustał ten powszechny niepokój społeczny a dusze zbratane w sprawiedliwości i miłości sprowadziły wkrótce znękanemu rodzajowi ludzkiemu pokój Chrystusowy.

Oto, czcigodni bracia i umiłowani synowie, są życzenia, które My, nie tylko obecni w pewnym stopniu wśród was w osobie Naszego Legata, ale także złączeni z Wami miłością ojcowską, która pokonywa i przechodzi najdalsze i największe przestrzenie, w błagalnej modlitwie polecamy Najświętszemu Sercu Jezusa Chrystusa.

Niech błogosławieństwo Boga Wszechmogącego Ojca — tu głos Ojca św. się załamuje, słyhać głębokie westchnienie — Syna, Ducha św. spłynie na was i pozostanie z wami na zawsze...”

Amen — lud odpowiada. A potem wszyscy wstają z klęczek — z ust półmilionowego tłumu wydobywa się gorący, pełen entuzjazmu okrzyk, na jaki tylko ludzie Wschodu zdobyć się potrafią:

— Niech żyje Pius XI! Niech żyje Ojciec święty!

Kongres skończony. Był to naprawdę wszechświatowy wylew miłości dla Boskiej Eucharystii. Był to triumf nad triumfy Chrystusa na dalekich Filipinach.

Szanghaj, stolica nad żółtym morzem

Lo Pa Hong — Śpiew kulisów — W urzędzie celnym —
Parcele — Nowy Rok — Zikawei — Poselski szofer i pier-
wszy służący — Szanghajska Gdynia — Polacy w Szang-
haju — Polskie nabożeństwo.

Opuszczamy Manilę i egzotyczne Filipiny. „Con-
te Rosso“ kołysze się na wodach Pacyfiku. Po-
woli upał tropikalny ustępuje. Twarze nasze mu-
ska chłodzący wiatr północy.

Płyniemy wzdłuż wyspy F o r m o z y, którą
w swoim czasie Japończycy zabrali Chińczykom.
Z tej racji rozmowy nasze schodzą na tory poli-
tyczne.

Wiadomo, że Tajemniczy Wschód jest jeszcze
więcej podminowany od Europy. Wszyscy przy-
gotowują się do walnej rozprawy. Wszak Japonia
rzuciła hasło: „A z j a d l a A z j a t ó w“. Powoli
też wypiera mocarstwa anglosaskie ze sfery ich
dotychczasowych wpływów. Wszędzie też torpe-
duje prestiż białych mocarstw.

Im więcej zaś Japonia ufna w swoją potęgę militarną prze naprzód, tym więcej zbroją się mocarstwa białe. Coraz też częściej słyhać tu o wojnie. Już na Filipinach byliśmy świadkami istnej gorączki zbrojeń. Nawet w czasie obrad kongresowych widzieliśmy studentów ćwiczących przy karabinie maszynowym. Na ulicach wszędzie też było widać młodzież w mundurach wojskowych. Generalissimus filipiński **D o u g l a s M a c A r t h u r** opracował program, który rok rocznie daje przygotowanie wojskowe 45 000 Filipińczykom.

Stany Zjednoczone dostarczają broni. Wybrzeża Filipin pokryte zostały betonowymi fortyfikacjami. Tam, gdzie do niedawna używano dzied i łuków, znalazły się stalowe haubice. W górze zaś szybują najnowocześniejsze samoloty bombardowe.

Wydaje nam się, że na wypadek wojny Japonia ulec musi bezsprzecznie potędze morskiej Ameryki. Wszak jej flota jest jeszcze raz tak silna jak japońska.

Tłumaczy nam jednak kapitan okrętu, że sprawa przedstawia się wręcz odmiennie. Flota japońska, choć słabsza, ożywiona jest jednak duchem wyjątkowego patriotyzmu i poświęcenia. Przy tym działać może w pobliżu swych podstaw operacyjnych.

Krażownicy amerykańskie natomiast musiałyby przebyć najprzód 2 100 mil morskich, aby dotrzeć do **W y s p H a w a j s k i c h**. Uzupełniwszy tam paliwo, miałyby przed sobą dalsze 2 450 mil,

8*

by dotrzeć do Japonii. Starczyłoby jeszcze paliwa na jedną bitwę morską. A potem cała flota byłaby zdana na łaskę losu.

Amerykanie mogliby wprawdzie stworzyć wielką bazę wypadową na wyspach filipińskich i tam ulokować silną flotę. Nie chcą atoli оголаć olbrzymiej linii kontynentu amerykańskiego. Wie o tym dobrze generalicja amerykańska i wpływa uspokajająco na zamiary zbyt popędliwych polityków.

W każdym razie Amerykanie nie są tak naiwni, żeby się wplątać w ryzykowną awanturę na Pacyfiku.

W razie zaś konfliktu — uśmiecha się sympatyczny kapitan — skończy się na wymianie not i — na ostrych artykułach w prasie...

Po trzech dniach wjeżdżamy do rzeki Wangpoo. „Conte Rosso“ sunie powoli w górę rzeki, zdążając do Szanghaju. Pasażerowie wybierają na pokład. Ramiona, palce, aparaty fotograficzne i oczy zwracają ku brzegom Wangpoo, niosącego dużo żółtej, mętnej wody.

Ziemia, którą z daleka oglądamy, to Chiny. Na pierwszy rzut oka krajobraz podobny do polskiego, daleka równina. Domki często pobielone, kryte słomą lub żółtawą dachówką.

Na zagonach, podobnych do polskich, zieleni się

ryż, wyglądający z daleka jak żyto lub polska pszenica na wiosnę.

Na polach widać wysokie kopce i białe maleńkie domeczki. Dużo ich, bardzo dużo. Nie wiem, co one oznaczają.

Stojący obok mnie przemysłowiec chiński p. L o P a H o n g, wracający razem z nami z kongresu w Manili, tłumaczy, że są to groby. Chińczyk czci swoich przodków. Dlatego chowa ich blisko domu na własnej ziemi. Nieraz ma tylko zagon mały. Dla wzniesienia kopca grobowego poświęci nawet część zagonu. W niektórych prowincjach jedną szóstą część ziemi uprawnej pokrywają kopce-mogiły.

Lo Pa Hong, który kilka miesięcy później zginął wskutek zamachu bombowego, dużo nam opowiada o Chinach współczesnych.

— W ciągu ostatnich pięciu lat tyle u nas zaszło zmian na korzyść, że przeciętnemu Europejczykowi, karmionemu ciągłą sensacją o chińskich stosunkach, trudno byłoby zrozumieć Chiny z roku 1937 — dodaje na zakończenie miły nasz towarzysz podróży.

Lo Pa Hong budował nas swoją pobożnością. W kaplicy okrętowej służył nieraz do 3 Mszy św. i to z wielkim przejęciem. W Szanghaju, jak się później dowiedziałem, nazywają go chińskim św. Wincentym à Paulo.

Swą działalność apostolską rozpoczął Lo Pa Hong przed dwudziesty laty od akcji charytatyw-

nej. Na krańcach Szanghaju istniał wówczas stary cmentarz chiński, który stał się ulubionym miejscem podrzucania dzieci przez nędzarzy chińskich z dzielnicy C z a p e i. Ktoś zbudował tam szopę, gdzie pozostawiono podrzucone niemowlęta. Jeśli więc dzieci te umierały, ginęły przynajmniej pod dachem.

Na szopę tę zwrócił uwagę Lo Pa Hong. Zburzył ją, a na jej miejsce postawił wielki przytułek, gdzie siostry Wincentki opiekowały się podrzutkami, a także wszelką nędzą szanghajską. W r. 1915 było tam na utrzymaniu 160 ubogich. W dziesięć lat później szpital ten mieścił w swych murach blisko 3 i pół tysiąca mężczyzn i kobiet z najuboższych warstw.

Dziś jest to szpital największy i najslawniejszy w całych Chinach. Dienne zaś koszty utrzymania w sumie 30 000 franków, pokrywał Lo Pa Hong, niemal wyłącznie z własnej szkatuły.

Niebawem stanął w pobliżu, również jego kosztem, drugi szpital przeznaczony dla chorych zakaźnych, głównie na tyfus, dżumę i cholerę. Trzeci podobny szpital pod wezwaniem Najśw. Serca Jezusowego wznosił Lo Pa Hong w pobliskim J a n g - T s e - P o. Jednocześnie myślał o zabezpieczeniu przyszłości dzieciom wychowanym w przytułkach przez siebie założonych.

Obliczają, że w ciągu swego żywota nawrócił on bezpośrednio lub przez wpływ założonych przez siebie instytucji z górą 300 000 Chińczyków.

Umarł jak męczennik, jest to, zdaje się pierwszy męczennik Akcji Katolickiej. Zabili go Chińcy, podejrzewając o stosunki z władzami japońskimi. W istocie zaś zabiegał on u tych władz japońskich o oszczędzanie lepianek najuboższej ludności chińskiej.

Stajemy na **B r o a d w a y u**, tuż przy porcie wojennym, w którym strażują pancerniki i torpedowce obcych państw. Kulisi wynoszą nasze walizy do budynku celnego. Przepychają się przez tych, którzy niosąc ciężkie paki, idą chwiejnym krokiem.

Hałas nie do opisanania. Oto, co nas uderza na pierwsze, gdy stawiamy swe kroki na ziemi chińskiej. Ten przeraźliwy krzyk czy śpiew kulisów — niewolników.

Na bambusowych drągach niosą po dwóch paki czy skrzynie. Dyszą ciężko. Zgięci w kabłąk śpiwają.

Pierwszy zaczyna **l e i - l a , h o i - l a**, drugi wtóruje **h o i - l a , h a n g - l a**. I tak przez cały dzień. Nadjeżdżają coraz to inne okręty. Kulisi znikają w ciemnych czeluściach okrętu, ukazują się na powierzchni obładowani pakami, które wnoszą do składnic-**g o d o w n ó w**. Nie skrzypią żurawie, nie warczą motory, bo w Chinach tańszym od maszyny jest człowiek, kulis, żywiący się byle czym, mieszkający byle gdzie, pod mostem czy pod schodami domu.

Z litością patrzymy na tych biednych ludzi. Zdaje się nam, że jakaś wielka skarga wydobywa się z ust tych biedaków, kiedy na bambusowych drągach dźwigając ciężary, śpiewają żałośnie:

lei - la, hoi - la hoi - la, hang - la...

Chiński urzędnik celny ma dobre serce. Prze-gląda jedną walizkę nie bardzo skrupulatnie. Od-stępuje z uśmiechem od dalszego bagażu. Po czym robi chińskie znaki na wykazie i walizkach. Do-stają się potem w ręce bagażowego, przystojnego Rosjanina. Dowiaduję się od niego, że służył kiedyś jako młodziutki oficer w armii carskiej. Rosjan liczą tu w Szanghaju na przeszło 30 tysięcy. Wielu z nich podupadło moralnie. Toteż nienad-zwyczajną mają tu reputację.

Naszym dalszym losem zajmują się przedstawiciele polskiej placówki dyplomatycznej, którzy stawi-li się na powitanie z ministrem pełnomocnym R. P. p. Barthlem de Weydenthal na czele. Od-wożą oni nas do gościnnych oo. Franciszkanów.

Dwie godziny później, po wizycie w poselstwie polskim przy ulicy Pichon, rozpoczynamy zwiedza-nie trzy i półmilionowego S z a n g h a j u, najbo-gatszego miasta na Dalekim Wschodzie. W ciągu 100 lat wyrosła tu nad brzegiem Wangpoo wielka metropolia handlowa Chin. Podobna ona zresztą kubek w kubek do innych wielkich miast. Niebo-

tyki, hotele, wystawy sklepowe, ulice jak w Paryżu lub Berlinie. Zwłaszcza Broadway i Nanking Road robią naprawdę imponujące wrażenie.

Jedno jednak uderza. Rozmaitość stróżów bezpieczeństwa. Tu pilnuje policjant, tam znowu wysoki brodaty Hindus z zawojem na głowie, jeszcze dalej szczupły Anamita w mundurze francuskim. Trzeba bowiem wiedzieć, że obce mocarstwa, korzystając ze słabości Chin, rozparcelowały Szanghaj między sobą. Jest więc osobna koncesja francuska, w której gubernatorem jest każdorazowy konsul generalny Francji. Jest jeszcze Settlement Międzynarodowy, podzielony między Anglików, Amerykanów, Portugalczyków i Japończyków.

Obszar samej koncesji francuskiej wynosi tyle co 16 dzielnic Paryża. Koncesja ta jest pierwszorzędnie zorganizowana. Warto przytoczyć, że mieści się w niej największy stadion sportowy na całym świecie. Posiada ona przeszło 40 publicznych kortów tenisowych, 3 baseny pływackie. Wille urządzone są z wielkim przepychem. W jednej z takich will mieści się poselstwo polskie.

Avenue Joffre przedziela koncesję francuską od Settlementu Międzynarodowego. Tu przeważa żywioł anglosaski. Tu wre największy ruch handlowy. Wzdłuż wybrzeży Wangpoo ciągną się banki jeden za drugim. Tu znajduje się również giełda ogromnie ruchliwa. Ludzie

tu zarabiają i tracą z dnia na dzień fortuny. Policjantami są Chińczycy i Hindusi. Ci ostatni noszą nawet karabiny.

Prócz tego istnieje jeszcze miasto chińskie, ruchliwe, pełne zgiełku ulicznego, swoistego brudu i skomlących żebraków.

Nieskończona sieć ulic. Przy domach wywieszono ruchome szyldy, huśtające się jedne nad drugimi. Są one wielkie, zapisane ogromnymi chińskimi znakami. Gdy wiatr wieje, ruchome szyldy odbijają się hałaśliwie jeden o drugiego. Na progach domów ludzie, niby żółte przykucnięte mumie. Nie poznać czy to milionerzy czy żebracy. Nie wyróżniają się na zewnątrz.

Pierwszym znakiem dobrobytu Chińczyka — to parasol. Drugim — długie paznokcie.

Ongiś tylko mandaryni mieli prawo do parasoli. Dzisiaj każdy Chińczyk posiada parasol mniej lub więcej ozdobny.

Długie paznokcie świadczą u człowieka zamożnego o tym, że nie potrzebuje pracować. Dochodzą niekiedy do 15 cm. Nakłada się wówczas na nie srebrne lub złote ochroniacze.

Zgiełk uliczny przechodzi tym razem ludzkie pojęcie. Chińczycy obchodzą właśnie swój Nowy Rok. Do nieba odleciał bóg ogniska domowego **D z a o W a n**, by zdać sprawę z ludzkich postępów. Wraca jednak zaraz z nieba i tym samym rozpoczyna się nowy rok. Święta trwają cały tydzień. Składy pozamykane. Ludziska bawią się

i wiwatują na umór. Nawet biedni kulisi zdobywają się na kawałek baraniny i tradycyjne ciastka ryżowe. I najbiedniejsi kupują bomby i petardy dla odpędzania złych duchów. W mieście słychać bezustannie trzask wybuchu petard i ślepych bomb. Z sykiem lecą rakiety wysoko w powietrze i pękają z trzaskiem. I tak przez cały dzień i noc. Zamykamy dobrze okna celi klasztornej, by móc zasnąć spokojnie.

Po wizycie u X. biskupa Haouissé, wikariusza apostołskiego Szanghaju, zwiedzamy słynne Zi-ka-we-i, dzielnicę oo. Jezuitów. Są tu zakłady wychowawcze, nowoczesne warsztaty rzemieślnicze. Wychowankowie, to przeważnie porzucone dzieci. Dzieci te, skazane na śmierć niechybną, zbierają siostry zakonne i wychowują. Dziewczęta, kiedy wyrosną, uczą się gospodarstwa domowego w zakładzie sióstr. Chłopców oddają do zakładów oo. Jezuitów.

Z powodu nowego roku nie ma zajęć. Na podwórzu harmider. Chłopcy w długich niebieskich kapotach uganiają po podwórzu. Zoczywszy naszych księży biskupów, zbliżają się do nich. Strzelają rakiety, pękają bomby. Huk ogłuszający. To wszystko na cześć polskich gości.

Pokazują nam również słynne obserwatorium meteorologiczne, dobrze znane na Dalekim Wschodzie. Oprawdają nas oo. Legay i Lebreton, uczeni wielkiej sławy. Ciekawią nas karty z wykresami tajfunów. Za pomocą aparatu

tów i własnych obliczeń określa się dokładnie drogę niszczycielskich wichrów morskich. Codziennie z Zikawei wychodzą komunikaty radiotelegraficzne do wszystkich okrętów na morzu, z podaniem kierunku tajfunu. Okręty, znajdujące się w zagrożonej strefie, zmieniają od razu kierunek, by nie ulec katastrofie. Ileż przez to uniknięto nieszczęść! Na ścianach obserwatorium oglądamy liczne fotografie okrętów wojennych i handlowych z podpisami oficerów załogi, jako wyraz wdzięczności dla ofiarnych Ojców za nadsyłane komunikaty.

Niemniejszy podziw wzbudził w nas wielki uniwersytet **A u r o r a**, kierowany również przez oo. Jezuitów. Uniwersytet ten, mający również świetnie postawiony fakultet medycyny, należy do najlepszych w Chinach. Księża biskupi oraz my wszyscy nie mogliśmy się nadziwić ogromowi pracy, włożonej przez Towarzystwo Jezusowe dla sprawy Kościoła w Państwie Niebieskim.

Chiński list otrzymał książę Metropolita **S a p i e h a**. List wypełniony od początku do końca pięknymi znakami chińskimi. Co ten list zawiera? Głowią się wszyscy społecznie. Panowie z poselstwa również nie mogą dać rady.

Ależ od czego poselski szofer. **H o - S a - S z i n g** tłumaczy uroczyście, że prezydent miasta zaprasza na uroczyste przyjęcie. Szofer poselski z bia-

łym orzełkiem na czapce jest to człowiek, który odgaduje ludzkie myśli. Odgaduje w mig nasze zamiary. Zawsze uśmiechnięty, nawet wtedy, kiedy z niesłychaną szybkością przewija się między tysiącami aut, które zapychają awenidę Joffre, ulicę węzłową.

Dorównuje mu tylko W a n g - S i - S a n, pierwszy służący poselstwa. Powtarza on dumnie, że jego zadaniem jest dbać o honor Polski w Chinach.

Na 3 maja jedzie minister R. P. do stolicy Nankinu, żeby tam wydać przyjęcie dla rządu chińskiego. Jedzie z nim również Wang - Si - San. W Nankinie patrzy minister ze zdumieniem, jak Wang wychodzi z wagonu I klasy.

— Jak to, to ty też pierwszą klasą?

— Tak, panie ministrze, muszę dbać o honor Polski.

Zwiedzamy jeszcze nowe dzielnice Szanghaju. Ho-Sa-Szing wiezie nas przez C z a p e i, zburzoną częściowo podczas walk chińsko-japońskich, daleko za miasto. Tu dokoła pomnika S u n - Y a t - S e n'a wznoszą się wspaniałe nowe budowle w stylu chińskim z wygiętym dachem.

W przepięknym ratuszu przyjmuje nas zastępca prezydenta Wu - Teh - Ching'a. Potem pod przewodnictwem jednego z urzędników zwiedzamy nowe gmachy zbudowane tu w ostatnich 4 latach. Szanghajska Gdynia!

Nikt z nas nie przypuszczał, że te miejsca, na których się w tej chwili znajdujemy, zamienią się wnet w pogorzeliska i ruiny. Tędy bowiem przeszedł najstraszniejszy huragan walk o Szanghaj. Szanghajska Gdynia wybudowana z takim nakładem pieniędzy została dosłownie zmieciona z powierzchni. Dziś tam pośród ruin sterczą samotne poczerńiałe kominy. Wśród ruin wałęsa się sfora wygłodniałych psów, wyjąc beznadziejnie. Widać wszędzie porozrzucane resztki mebli i obrazów. Wszędzie śmiertelna cisza. Chińska Gdynia zasłuzyla sobie jednak na miano chińskiego Verdunu.

Przy wejściu do muzeum miejskiego chiński żołnierz przed księżmi biskupami prezentuje broń. Oczy mądre. Twarz inteligentna. Na żołnierzu nowiutki mundur polowy. Na piersiach gwiazda kuomintangu, godło chińskiej partii rządzącej. Ten żołnierz na warcie to jeden z walecznej 56 dywizji szanghajskiej, która na polach Wusunga stawiała bohaterski opór przewadze Japończyków.

Ten sam duch zresztą znamionował walecznych obrońców Szanghaju w pół roku później. Były to chwile straszne. Ku zdumieniu wszystkich Chińczycy, mający dotychczas jako żołnierze złą reputację, przeciwstawili najeźdźcy opór zaciekły i zdecydowany. Spokojny wieśniak, arystokratyczny mandaryn, bogaty kupiec, pieszczący swoje jedwabie i kosztowne kamienie, uczony rozmyślający nad prawdami Ta - Hio... przeszkałcili się nagle w pierwszorzędnych żołnierzy. Walczyli i umie-

rali z prawdziwym bohaterstwem. Toteż japońskie komunikaty wojenne podkreślały kilkakrotnie: Chińczycy biją się odważnie.

Przy każdym pułku stworzono nawet osobne formacje, nazwane: „Zastępem ludzi, którzy nie boją się śmierci“. Z tych zastępów rekrutowali się bohaterzy, którzy obwiązani bombami, z balkonów rzucali się na maszerujące wojska japońskie. Z nich też wyszedł słynny bohater chiński **Ch u - K u e n - C h a n**. Chodziło o usunięcie na rzece przeszkody zbudowanej przez Japończyków. **Chu-Kuen-Chan** zgłosił się na ochotnika. Przywiązują mu na głowie skrzyneczkę drewnianą, która zawiera 2¹/₂ kg dynamitu. Odważny żołnierz płynie w stronę przeszkody. Wykrywają go jednak reflektory japońskie. Odzywa się warkot karabinów maszynowych. **Chu-Kuen-Chan** dopływa mimo wszystko do przeszkody, która kilka minut później z piekielnym hukiem wylatuje w powietrze.

Przyznać należy, że w Szanghaju przyjmowano nas ze staropolską gościnnością. W poselstwie odbywały się kilkakrotne przyjęcia na cześć polskich pielgrzymów. Należy się serdeczne podziękowanie p. Posłowi za opiekę i za okazaną nam gościnnosć.

Niemniej jednak serdecznie zajął się nami p. dr **Krysiński**, konsul generalny **R. P.** Sprawił on nam miłą niespodziankę, zapraszając polskich bi-

skupów i księży oraz francuskich misjonarzy z X. biskupem Haouissé na czele na obiad do wielkiej jadłodajni chińskiej przy Nanking Road.

Jest rzeczą niewłaściwą mówić o jedzeniu. Ponieważ chodzi tu jednak o pewne szczegóły charakterystyczne, więc i o tym obiedzie kilka słów.

Przed jadłodajnią głębokimi ukłonami wita nas sam gospodarz. Prowadzą nas na piętro. Idziemy szeregiem ganków i sal. Zatrzymujemy się wreszcie w dużej sali, z której wielkie okna wychodzą na ruchliwą ulicę. Na ścianach starożytne makaty. Dyskretne oświetlenie robi wrażenie wytworne. Siadamy za stołem na niskich wyściełanych kanapkach.

Podają każdemu do ręki dwa długie gładkie patyczki — ku - en, którymi wyławia się potrawy z wspólnej miski. Łyżek ani widelców się nie używa. Jesteśmy trochę zakłopotani, jak sobie mamy radę z pałeczkami. Poszło to jednak dość dobrze.

Jako pierwszą potrawę przynoszą smażone w cukrze owoce i małe ciasteczka. Następują pletwy rekina z młoda kapusta. Zdziwienie maluje się na naszych twarzach. P. Konsul tłumaczy, że to ulubiona potrawa chińska. Kolejno stawiają na stole ragout z wieloryba oraz jajka, pokrojone na ćwiartki. Jajka te są czarne ze starości o bursztynowym odcieniu. Mają smak węgorza. Następnie przynoszą kaczkę — zaa z dziwnymi jarzynami — t s a y, oraz rybę w sosie — t s i n-

y u. Podają również małe prosiątko z bambusami powykrawanymi w małeńkie rybki, ptaszki i gwiazdki. Goście popijają z maćpuchnych filiżaneczek gorące wino ryżowe — t s i n. Służący w białych sukniach z niesłychaną zwinnością uwijają się w koło nas. Co chwilę powtarzają słowa — k a m b e t j. do dna. Na stole piętrzą się niezliczone małe półmiski. Idą dalsze dania: jajka gołębie z selerą i cebulą, ziarna soji z cebulą i szynką, surowa ryba w sosie winnym. Jesteśmy już dawno nasyчени i odkładamy pałeczki — a p. Krysiński śmieje się i mówi, że to dopiero połowa uczty chińskiej. Przyniosą jeszcze 15 dań, bo wystawny obiad chiński liczy 30 dań.

Jako szesnaste danie podano słynne gniazda jaskółcze. Są to właściwie śliny jaskółek morskich, którymi ptaki te lepia swoje gniazda. Wygląda to jak żelatyna. Jest to najdroższa potrawa. Wnoszą udką gołębie i ciasteczka marcepanowe — m a n - t s e, słodczyce — k o n - t s u, oblane sosem migdałowym — t s o - m i, jeszcze stawiają dania, które trudno określić. W końcu słodkie zupy i gorzką herbatę — t s a o smaku ziółek leczniczych.

Zapachy idące od potraw, stukanie patyczków, brzęk porcelany, bezustanne śmiechy zlewają się w zawrotną symfonię, która oszołamia. Oryginalny ten obiad a zwłaszcza opowiadanie p. Konsula i o. Jacquinot wywołały wśród nas nadzwyczajny humor i pozostaną nam długo w pamięci.

Polaków w Szanghaju jest przeszło 800. Są to lekarze, kupcy, pracownicy i ludzie bez zajęcia, których tu nad Żółte Morze zapędził los. Spotykamy się z nimi kilkakrotnie. Dowiadujemy się od nich dużo ciekawych rzeczy o blaskach i nędzach Polonii tutejszej. Największy ból, że nie ma księdza Polaka. Spowiadają się po rosyjsku, francusku lub w ogóle się nie spowiadają, bo nie znają języka. I tak płyną im lata w wiecznej tęsknocie za Polską i w nędzy duchowej.

Księża biskupi przyrzekają im, że wstawią się za nimi u X. Prymasa, który jest opiekunem duchowym wszystkich Polaków zagranicą. Radość więc z tego wielka, że przyjdzie do nich polski kapłan, co będzie im duszpasterzem, przyjacielem i doradcą zarazem.

W niedzielę, 14 lutego odprawiło się polskie nabożeństwo w kościele Chrystusa Króla przy ul. Burgas. Celebrował książe metropolita Sapieha w asyście X. kan. Kuczyńskiego z Warszawy i X. rektora Czartoryskiego z Krakowa. Kazanie podniósł wygłosił X. biskup Przeździecki. Mówił o tym, jak to dziwnym zbiegiem okoliczności po raz pierwszy polscy biskupi zjechali do Chin. Nawoływał do jedności i miłości wzajemnej.

— Spraw, Chryste, tak kończył kaznodzieja, by tu zebrani bracia nasi byli zawsze Twoimi wyznawcami. Błogosław ich sprawom i przedsięwzięciom. Błogosław im, sierotom na obcej ziemi... Amen.

I płacz szedł wielki po kościele. Łzawiły oczy tych biedaków, co po świecie poniewierać się muszą — w pogoni za chlebem.

„Matko, nie opuszczaj nas“ buchnęło z setek piersi polskich na zakończenie. Była to pieśń i modlitwa ufności do Tej, która i na dalekiej chińskiej ziemi jest Opiekunką ludu polskiego.

Minęło południe. W Polsce jeszcze brzask dzienny nie rozproszył ciemności nocy. Chrystusowcy w Potulicach rozpoczynają swe modlitwy poranne. Modlą się za wychodźców polskich. Modlą się i za szanghajskie polskie sieroty.

...Zachowaj ich w wierze ojców i prowadź do przystani prawdy i zbawienia. Królowo Wychodztwa Polskiego, wszyscy święci, błogosławieni i Polski patronowie, przyczynicie się za nami i za braćmi naszymi...

2000 kilometrów przez kraj żółtego smoka

Pożegnanie — W pociągu chińskim — Na roli — W stolicy
Chin — Petuolo — Na plebanii — Pomnik ojca narodu —
Świątynia bohaterów — Ku czci wodza — Jang-tse-Kiang
— W dalszą drogę.

Dnia 15 lutego „Conte Rosso“ opuszczał port szanghajski. Żegnamy serdecznie księży biskupów i wszystkich naszych towarzyszy podróży, udających się w drogę powrotną do Europy. Serpentyń papierowe, łączące statek z molo portowym, zrywają się jedna za drugą....

Jeszcze widać powiewające białe chustki, ręce wznoszące się do ostatniego pożegnania. Potem znika wszystko. Zdala już tylko widoczny okręt — świątynia, zalany blaskiem słońca, płynący w górę rzeki Wangpoo ku Morzu Żółtemu.

Wraz z X. Chodniewiczem, nowym proboszczem charbińskim, słuchamy spowiedzi św. wielkanocnej naszych rodaków szanghajskich. Stykamy się po raz ostatni z kolonią polską.

— P o z d r ó w c i e o d n a s P o l s k ę ! — rzucają nam na pożegnanie.

W słoneczny poranek 17 lutego stajemy na dworcu North - Station. Policja kolejowa w czarnych mundurach z białymi przepaskami na czapkach pilnuje porządku. Obok strażują żołnierze chińscy ubrani w mundury koloru khaki. Są przepasani szerokim pasem skórzanym, pełnym naboii. W rękę karabiny z najeżonym bagnetem.

Kilka miesięcy później dworzec ten, jako Alkazar chiński, przeszedł do legend wojen chińskich. Dworca bronił słynny batalion śmierci. Dworzec zbombardowali Japończycy. Tysiące pocisków rzucono bezustannie. Przypuszczano szturm za szturmem. Batalion trzymał się po bohatersku. Wycofał się na wyraźny rozkaz Chang-Kai-Szeka. Żołnierze wycofywali się ze łzami w oczach. Wszak pragnęli tu zginąć w obronie Ojczyzny.

Siadamy do pociągu pospiesznego, idącego w stronę stolicy państwa, N a n k i n u. W wagonie, prócz jednej twarzy europejskiej, sami Chińczycy. Wyposażenie wagonu skromne, lecz wygodne. Ławki z siedzeniem wyplatany trzcina są zwrócone do siebie. Każda duża ławka ma małą półeczkę, służącą za stół.

Żółty konduktor w czapce czerwonej dał sygnał. Maszynista gwizdnął przeciągle. Ruszamy.

Mijamy przemysłowe okolice S z a n g h a j u. Potem wioski znikają na horyzoncie jedna za drugą. Domki w nich ubożuchne, gliniane bez okien. Ludzie się kręcą koło domów, lub siedzą w kucki

z papierosem w ustach. Obchodzą jeszcze święta **N o w e g o R o k u**, trwające na wsi dwa tygodnie. Wszak to najuroczystsze święta chińskie w ciągu roku. Więc trzeba się nacieszyć. Widać z okna wagonu wesołe procesje uliczne i Chińczyków poubieranych w stroje teatralne. Zresztą i odpoczynku przyda się trochę. Już niedługo trzeba będzie wyjść na pole i krzątać się koło warzyw i ryżu.

Rolnik w Chinach pracuje ciężko. Uprawa odbywa się prawie wszędzie na sposób ogrodowy — ręcznie i bez pomocy zwierząt. Przy tym wobec bezustannej suszy trzeba pola nawadniać za pomocą kanałów lub przez zwykłe podlewanie.

Ciasno jest chińskiemu rolnikowi. Wszak Chiny liczą 450 m i l i o n ó w m i e s z k a ń c ó w. To też rolnik posiada tu przeciętnie pół hektara ziemi. Z tego musi utrzymać siebie i liczną zwykle rodzinę. Ziemia jest urodzajna. Na wierzchu znajduje się gruba warstwa żółtej glinki tak zwanego **I e s s u**, nawianego z gór.

W wagonie robi się gwarно. Chińczycy przeczytali gazety poranne a teraz opowiadają sobie głośno, gestykułując przy tym żywo. Gryzą suszone nasiona arbuzów. Inni popijają brązową herbatę chińską z szklanych imbryków. Kosztuje to tylko 10 c e n t ó w czyli naszych 16 groszy.

W Chinach monetą obiegową jest **d o l a r c h i ń s k i**, dzielący się na 100 centów. Wartość jednego dolara wynosi 1,60 zł. Herbata ta starczy na całą

drogę. Na dnie imbryka są liście herbaty. Po wagnie uwija się młody Chińczyk z miedzianym kociołkiem i dolewa do imbryków wrzątku. Wodę gotują w końcu wagonu.

Kręcą się chłopcy w białych czapkach koło nas. Sprzedają ciastka lukrowane, owoce i cukry. Jadą z nami żołnierze i policjanci kolejowi jako eskorta pociągu. Jedni i drudzy są bardzo uprzejmi.

Wreszcie zajeżdżamy do Nankinu, obecnej stolicy Chin. Stolicą był dawniej Pekin, leżący w Chinach północnych i to na najdalszym ich krańcu. Przy tym Pekin nie był ani miastem handlowym, tym mniej przemysłowym. Było to istne skupisko mandarynów, nie zawsze dbających o dobro państwa.

Chinczycy nazywają Nankin — King-Ning co znaczy cisza rzeki. Nazwę tłumaczyć można samym położeniem miasta, które leży nad rzeką Jang-tse-Kiang, płynącą w tym miejscu spokojnym nurtem.

Główna zasługa przeniesienia stolicy do Nankinu przypadła Sun-Yat-Sen'owi, odnowicielowi Chin powojennych. Sam nawrócony chrześcijanin nauczał naród swój pracować i poświęcać się dla ojczyzny. Toteż słusznie nazywają go ojcem narodu. Po śmierci zaś postawiono mu w Nankinie pomnik - grobowiec tak wspaniały, jakiego może nie ma na świecie.

Na dworcu nankińskim zgiełk i zamieszanie. Rzuca się na nas czereda tragarzy z cechu najna-trętniejszych.

— Ł o - k e i - s o n ! — wołają bezustannie.

Tragarze ci jednak są bardzo uczciwi. Sami przyznają się, że należy im się 10 centów od każdego pakunku. Zapłaconą zaś sumę kwitują na osobnym formularzu. Wiele dworców w Europie mogłoby się wzorować na takim urządzeniu.

Sami nie wiemy, dokąd się udać. Wtem, jakby z nieba zesłany, zjawia się jakiś Chińczyk uśmiechnięty i powiada nam łamaną angielszczyzną, że nas oczekuje. Powtarza ciągle:

— C a t h o l i c M i s s i o n . . .

Mówimy mu, że to chyba pomyłka, bośmy tu nikogo nie zawiadamiali o naszym przyjeździe. On zaś upiera się dobrotliwie, że mamy jechać z nim.

Pocziwy P e t u o l u — tak się bowiem nazywa nasz przygodny opiekun, takie dobre robi wrażenie, że postanawiamy jechać w jego towarzystwie.

Wtem zatrzymują nas chińscy żandarmi. Zaczynają rewidować bagaż w poszukiwaniu za bronią. Wszak czasy krytyczne a ludzie nie wszyscy pewni. Dowiedzieliśmy się później, że na każdym większym dworcu możemy się spodziewać rewizji.

— Ładne widoki — myślimy sobie w duchu. Ciepłe promienie wiośnianego słońca i roześmiany P e t u o l u każą nam wnet zapomnieć o niemiłej przygodzie.

Jedziemy ulicami milionowej stolicy. Pochłania nas w pierw stare miasto. Jedziemy powoli, bo ulice zapchane tłumem. Tuż przy ulicy pisarze pędzelkiem piszą listy dla swych klientów. Golarze mydłą puszką, osadzonym na drewnianym trzonku i gołą... na stojązkę dorosłych Chińczyków. Snycerze rzeźbią figurki i ustniki do fajek. Cukiernicy ugniatają cukier w rozmaite kształty. Parasolnicy polerują pręty bambusowe. Wszystko na ulicy prawie, pod gołym niebem!

Wjeżdżamy w nową część miasta. Szerokie asfaltowane awenidy, sygnaty świetlne.

Wszędzie widać nadzwyczajny wprost rozwój. Nankin chce dorównać na gwałt Szanghajowi. Pragnie się stać najbardziej nowoczesnym miastem na Dalekim Wschodzie. Powstały nowoczesne piękne place, pieścące oko zielenią trawników i klombami pięknych kwiatów.

Nowoczesne gmachy łączą nowoczesność urządzeń z chińskim stylem, z charakterystycznymi wygiętymi dachami. Powstaje stąd piękna harmonijna całość. Wnętrza gmachów, zwłaszcza ministerstw, urządzone są z europejskim komfortem. Po salach i gankach nankińskich pałaców rządowych kroczą mężowie w powłóczystych jedwabnych oponczach. Jest to służba, która przepisowo nosi strój chiński.

Urzednicy natomiast noszą europejskie garnitury. Zmienili więc swój wygląd, ale tylko zewnętrzny, bo w duszy czują się jeszcze więcej Chińczy-

kami, anizeli przed kilku laty, kiedy nosili staro-
chińskie stroje jedwabne.

Stajemy przed kościołem katolickim, obsługiwa-
nym przez księży Chińczyków. Przedstawiamy się
X. Tsangowi, miejscowemu proboszczowi, któ-
ry na pierwsze jest nieco zaambarasowany naszym
przybyciem. Wita nas jednak serdecznie i zapra-
sza na plebanię.

Wyjaśnia się też od razu, czemu Petuolu zajął
się nami na dworcu. Tydzień temu bowiem, po
przybyciu pielgrzymów kongresowych do Szang-
haju, otrzymał on polecenie udania się na dworzec,
by tam zaopiekować się księżmi, którzy by zawita-
li do Nankinu. Petuolu gorliwy chrześcijanin, speł-
nił to polecenie jak najdokładniej. Przed nadej-
ściem każdego pociągu pospiesznego już był na
dworcu. Lecz zawsze daremnie. I tak przez cały
tydzień dzień i noc. Teraz dopiero zrozumieliśmy,
czemu Petuolu był tak szczęśliwy i czemu się trzy-
mał kurczowo, nie chcąc nas wypuścić ze swoich
rąk.

X. Tsang i jego pomocnicy księży **Li** i **Tsanga** po-
dejdują nas z chińską gościnnością. Stawiają mi-
seczki z rozmaitymi potrawami tutejszymi. Obok
kładą pałeczki do jedzenia.

Dowiadujemy się od nich, że w całym Nankinie
jest tylko tysiąc katolików. Praca misyjna napo-
tyka na duże trudności.

Ze swej strony wypytyują nas o Europę, no i o
Polskę, o której mało co wiedzą. Ponieważ byli

ciekawi, jak brzmi język polski, jeden z nas zadeklamował im początek „P a n a T a d e u s z a“.

Skutek był wcale nieoczekiwany. Śmiali się serdecznie, bardzo serdecznie.

— Przepraszam księży — mówi dobrotliwie X. T s a n g — lecz dla nas to brzmi niesłychanie śmiesznie.

Pokazują nam potem kościółek, jedyny w stolicy. Chwalą się, że w tym kościółku odprawiają się też nabożeństwa, zamówione przez posła naszego w S z a n g h a j u z okazji polskich uroczystości narodowych.

C h u opowiada nam coś nie coś o wspaniałej przeszłości tej stolicy. Do r. 1405 była ona rezydencją cesarzy. Świadczyła o uczoneści dawniejszych Chin. Tu przechowywano najbogatsze księgozbiory. Wznosiły się też tu arcydzieła budownictwa chińskiego, dziś niestety już zniszczone. Chlubą Nankinu była wieża wysokości 200 stóp, wykonana z porcelany.

Ślady historii Nankinu sięgają 3000 lat wstecz. Już za czasów rzymskich Nankin był starym miastem chińskim. W IV wieku słynęło to miasto z tego, że jeden z cesarzy pobudował sobie pałac o 3 500 pokojach — „pałac nieśmiertelnej radości“. Z końcem XIV w. zaśląnął Nankin na nowo.

Było to za panowania pierwszego cesarza Minga. Cesarz ten był pochodzenia chińskiego. Wy-

pędziwszy Mongołów, został wynagrodzony cesarstwem. On to rozbudował mury miasta, doprowadzając je do tego stanu, w jakim się dziś znajdują. Mury te mają 300 km długości, 30 m wysokości, 100 m szerokości.

Gdy umarł wielki cesarz Ming przez 13 bram wyszło 13 orszaków żałobnych. W każdym znajdowała się trumna, tak że nikt nie wiedział, w której trumnie znajdują się zwłoki cesarskie. Trzyście tych trumień zakopano głęboko u stóp „wzgórza purpurowego“.

Zwiedzamy następnie najbliższą okolicę stolicy. Wyjeżdżamy poza miasto. Przy bramie wschodniej zatrzymują nas znowu żandarmi i ciekawie zaglądają do samochodu. Towarzyszący nam kleryk chiński Ch u, tłumaczy im, dokąd się wybieramy.

Stajemy u stóp pomnika S u n-Y a t-S e n'a. Pomnik olbrzymi. Na tle The-czin-sek — wzgórza purpurowego, przedstawia się imponująco.

Wchodzi się po 400 blisko stopniach przez trzy wspaniałe bramy bogato rzeźbione, przy których żołnierze strażują w galowych mundurach. Na bramach widnieją napisy, wyjątki z testamentu Sun-Yat-Sen'a:

po - e — miłość wzajemna,
tien-sza-ue-kun — świat jest dla wszystkich.

Na górze jest rodzaj świątyni, wyłożonej barwną mozaiką. W środku wykuta w marmurze postać ukochanego ojca narodu w postawie siedzącej. Dzieło to stworzył Landowski. I przyznać należy, że mu się znakomicie udało. Toteż ze czcią wymawia każdy Nankińczyk to polskie nazwisko. — Nieco dalej znajduje się właściwe mauzoleum z bogatym sarkofagiem.

Jest dużo zwiedzających. Widzimy żołnierzy, studentów z Pekinu, wieśniaków z odległych wiosek. Stają w milczeniu przed bielusienką statua. Potem kłaniają się trzykrotnie.

Jedziemy dalej do słynnych grobowców cesarskich dynastii Mingów. Ogromne bramy, symboliczne figury, rzeźby kamienne lwów i koni. Widać wszędzie ukochanie piękna i głęboką myśl w obrazie i rzeźbie.

Chu pokazuje nam z dumą stadion na 50 tysięcy osób, nowoczesne pływalnie i boiska.

Pod koniec wstępujemy do świątyni, wzniesionej ku czci poległych bohaterów. Świątynia ta przypomina nieco katakumby rzymskie.

Panuje tu półmrok. Na tablicach marmurowych, umieszczonych po ścianach, wypisane są nazwiska poległych żołnierzy, którzy wstawili się na polu walki. Chu odczytuje je ze wzruszeniem. Są tam nazwiska oficerów, ale i prostych żołnierzy. Same dziwaczne znaki, ciągną się bez końca. Tak czci ojczyzna swe bohaterskie dzieci.

Wracamy do domu. Na ulicach wznoszą się bramy triumfalne. Dekorują okna, balkony, domy całe. Nankin przygotowuje się do wspaniałej uroczystości.

Na lotnisku wojskowym odbędzie się jutro uroczyste wręczenie 20 samolotów bojowych Chang-Kai-Szekowi, obecnemu wodzowi nowych Chin. Samoloty te darowali Chińczycy zagraniczni.

W dniu tym również delegaci uniwersytetów pekińskich wręczają marszałkowi szablę, „by nią bronił granic ojczyzny a części stracone znowu odzyskał“.

Na plebaniu przekonywuje nas X. Wang, prefekt apostolski z Chumacien, że musimy koniecznie wziąć udział w tej uroczystości.

— Poznacie, księża, naszego wodza, który wam na pewno się spodoba.

Niestety nam się śpieszy. Toteż nazajutrz rano stajemy na brzegach Jang-tse-Kiangu — Błękitnej rzeki. Jang-tse-Kiang ma przeszło 6.400 km długości. W jego dorzeczu mieszka 200 milionów ludzi. Błękitna Rzeka — żywicielka Chin.

Jedziemy parowcem do P u k o u. Stąd koleją 1500 km na północ przez prowincje H o n a n, S z a n s i i H o p e i.

Pociąg rusza. Wyobrażamy sobie, że nas ciągnie polski parowóz. Wszak zarząd kolei w Nankinie

sprowadził przed rokiem pierwszy parowóz z fabryki Cegielskiego w Poznaniu.

Maszyna ta, wykonana z wielką dokładnością, wszystkim tak przypadła do gustu, że myśla tu o dalszych zamówieniach.

Jedziemy cały dzień do **Thun-szen-sien**. Na wszystkich stacjach wojsko. Żołnierze patrolują z najeżonymi bagnetami. Inni odpoczywają w prowizorycznych koszarach, wzniesionych z gliny.

W **Thu-szen-sien** trzeba się przesiąść. Zoczywszy nasze wielkie walizy, żołnierze zabierają się znowu do rewizji w poszukiwaniach za bronią.

Tłumaczę im na migi, że nie mamy broni. Gdy to nie pomaga, pokazuję im kartę wizytową w języku polskim. Żołnierze, nie rozumieją oczywiście jej znaczenia, nabierają respektu. Wreszcie z uśmiechem odstupują od rewizji.

Siadamy do pociągu. Dzwon stacyjny wydzwonił po raz wtóry. Chińczyk w czerwonej czapce podniósł sygnał. Stęknął z wysiłkiem potwór stalowy, otulony kłębamii czarnego dymu. Jedziemy w głuchą, ciemną noc...

Poleciwszy się opiece Matki Najświętszej przymykamy znużone powieki. Rok temu na tej linii bandyci zatrzymali pociąg. Zrabowali wszystko. Kilku podróżnych zastrzelili. Innych uprowadzili z sobą. Ufamy, że nic nam się nie stanie. Płaszczem matczynym zasłoni nas Niebieska Pani...

Polscy Oraz na chińskim ugorze

W Shun-Teh — Prefektura polska — 133 tys. Komunii rocznie — Naczelnicy — Chińskie znaki pisarskie — X. dr Szuniewicz — Jedziemy do Külu — Zmierch bogów — X. Stawarski — Przyjaciół chińskich żołnierzy — Procesja Bożego Ciała — Ostatnie wieści.

W piątek, 19 lutego w południe stajemy w Shun-Teh, w stolicy jedynej polskiej prefektury misyjnej w Chinach.

„Witamy drogich gości“ z Polski, oto pierwsze słowa, które dolatują nas, kiedy pociąg staje na stacji.

Wyciągają się ku nam życzliwie ramiona misjonarskie X. superiora *Witaszka* i X. proprefekta *Czapli*.

Serdeczne rozczulenie z jednej i drugiej strony. Nasi gospodarze witają po raz pierwszy od istnienia placówki gości przybyłych z Ojczyzny. My zaś z ciekawością i podziwem stawiamy pierwsze kroki na tych chińskich szanćach misyjnych, zroszonych potem i krwią polskich misjonarzy.

Jedziemy rykszami przez miasto, liczące około 100 tysięcy mieszkańców. W mieście tylko 100 katolików, reszta poganie. Prócz misjonarzy nie mieszka tu żaden Europejczyk.

Tu i tam głęboki pokłon w stronę naszych gospodarzy. Kłania się kupiec tutejszy, siedzący w kuczki przed ladą, kłaniają się dzieci, uczęszczające do szkoły misyjnej. Jeszcze kilka lat temu rzucono przekleństwa za każdym Europejczykiem.

— Biały diabeł idzie — padało często nawet z ust małych dzieci.

Oliarna praca misjonarzy w kościele, i szkole i szpitalach zrobiła swoje. Szen-fu — duchowny ojciec, tak nazywają Chińczycy misjonarza, cieszy się ogólnym poważaniem.

Zajeżdżamy do rezydencji misyjnej. Na pierwsze wstępujemy do kościoła. Korzimy się u stóp Jezusa eucharystycznego. Tu oto tryska źródło siły i pokrzepienia dla naszych bohaterów misyjnych. Kościół murowany, dziś już stanowczo za mały, by pomieścić tych, którzy z okolicy na nabożeństwa przychodzą. W kościele nie ma ławek. Chińczycy przynoszą ze sobą poduszki, które składają na ceglanej posadzce. Na niej kładą lub siedają w czasie kazania.

Wchodzimy przez bramę na podwórze wysadzone drzewami. Na bramie obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. W koło mieszczą się skromne pokoje misjonarzy. Następne podwórze przeznaczone jest dla uczniów szkoły misyjnej. Tu też znaj-

dują się klasy, uczelnie i sypialnie internatu. Dalej ciągną się ubożuchne zabudowania gospodarcze.

Prefektem apostolskim jest tu X. Ignacy Krause, zasłużony organizator tego okręgu misyjnego. Nie zastajemy go w Shun-Teh. W tej chwili objeżdża on parafie polskie w Stanach Zjednoczonych, by zebrać nieco grosza dla dalszej rozbudowy swej prefektury.

Zadanie bowiem przed sobą ma ogromne. Okręg powierzony jego pieczy misyjnej liczy z górą 1 milion mieszkańców, katolików zaś tylko 17 tysięcy. Pracuje w nim 18 misjonarzy, w tym 5 Chińczyków, 2 braci oraz 12 siostr szarytek.

Okręg podzielony jest na siedem wielkich parafii, ciągnących się nieraz na przestrzeni 100 kilometrów i więcej. W każdej parafii znajdują się szkoły dla chłopców i dziewcząt, katechumenat, w którym dorośli uczą się katechizmu i przychodnia oczna.

Prócz tego 40 katechumenatów dla mężczyzn oraz 26 dla kobiet rozsianych jest po większych wioskach i miasteczkach, w których przygotowuje się 1600 pogan do przyjęcia chrztu św.

Przyznać należy, że katolicy wypełniają swe obowiązki religijne z prawdziwą gorliwością. Nie mogę się nadziwić, gdy przeglądam statystykę za rok ubiegły. 133 tys. Komunii św., to rzecz nadzwyczajna. Dowiaduję się też od naszych gospodarzy o przykładach naprawdę wzruszających.

Tegoż samego dnia mamy okazję zetknięcia się po raz pierwszy z tutejszymi katolikami. Odbywają się właśnie rekolekcje zamknięte dla naczelników gmin.

W każdej miejscowości, w której znajduje się pewna ilość wiernych, misjonarz naznacza pośród nich naczelnika. Dba on o dobrego ducha w gminie, przewodniczy wspólnym modlitwom, załatwia sprawy mniejszej wagi.

Naczelnicy wychodzą właśnie z kościoła po skończonej nauce. Jest ich kilkudziesięciu. Przybyli na rekolekcje pieszo z odległych stron. Wszyscy w sile wieku. Ubrani są w długie modre kaftany. Kolor skóry żółtawy. Głowa okrągła, kości w policzkach wystające. Siodełko nosa zapadłe. Włosy czarne jak heban. Na twarzach maluje się skupienie. Skośne ich oczy rzucają błyski, błyski gotowości do ofiary i poświęcenia dla sprawy Bożej.

— Ngo jutai siampa Tohędzu!

— Ja chcę poznać Boga. Oto piękne postanowienie apostolskie, które z nich każdy powtarza co chwilę w te święte dni odosobnienia.

Trwają jeszcze chińskie święta noworoczne. Więc szepczą X. superiorowi, że pragnęliby nam złożyć życzenia. Siadamy więc tutejszym zwyczajem przed nimi. Oni zaś ustawiają się w rze-

dy. Potem kłaniają się nam trzykrotnie, powtarzając rytmicznie:

i cü kung — pierwszy pokłon

el cü kung — drugi pokłon

sen cü kung — trzeci pokłon.

Następnie kłękają i proszą o błogosławieństwo.

Wypytyują się nas za pośrednictwem X. Czapli, co słyhać w świecie i czy w Polankło — Polsce jest również pięknie jak w Chinach. Kiwiają głową z niedowierzaniem, że przyjechalіśmy tutaj tylko na cztery dni.

— Zostańcie z nami, prosimy was, zostańcie...

Zostalibyśmy, kochani naczelnicy, lecz obowiązek woła. A wolę Bożą każdy spełnić musi na wyznaczonym sobie posterunku.

Zaznajamiam się z X. Jęczmionką, który nie tak dawno dopiero przyjechał z kraju. Mimo pięćdziesiątki przyjechał ten gorliwy kapłan w te dalekie strony, żeby Chrystusowi jak najwięcej dusz pozyskać. Zastaję go w małym pokoiku przy wielkiej tablicy, wypełnionej znakami chińskiej pismo-

wni.

— Uczę się języka chińskiego — śmieje się nasz misjonarz.

— Idzie mi jak z kamienia. Nauczę się trochę, to znowu zapominam. Gdy mi zbyt ciężko, to lecę do kościółka, żeby nabrać sił do dalszej nauki.

X. Jęczmionka opowiada nam też coś niecoś o trudnościach języka chińskiego. Właściwie języków chińskich jest kilka. Najwięcej jednak uży-

wany jest język mandaryński. Tego on właśnie się uczy.

Chińskie znaki pisarskie nie są oparte na podłożu fonetycznym jak w językach europejskich. Są one poniekąd pojęciami. Nie określają zatem głosek np. „a, b, c,“ lecz wyrażają pojęcia np. „drzewo, człowiek“ itp. Nasuwa się porównanie z cyframi arabskimi „1, 2, 3...“. Każdy naród je inaczej wymawia, są, jednak ogólnie i jednakowo rozumiane.

Jest rzeczą niezmiernie trudną — mówi nam X. Jęzcmionka — wyuczyć się wszystkich znaków chińskich. Istnieje ich przecież przeszło 50 tysięcy. Wystarczy jednak posiąść około 3000 znaków, aby móc swobodnie pisać i czytać gazety i książki.

Wieczorem spotykamy się z X. Szuniewiczem. Tak bardzo się cieszę, że mogę poznać tego naj-słynniejszego Polaka na Dalekim Wschodzie. Dawniejszy lekarz X. Szuniewicz, mający własną praktykę lekarską w Wilnie, idzie za głosem swego powołania. Wstępuje do zgromadzenia XX. Misjonarzy. Skończywszy zaś swoje studia teologiczne, wyjeżdża jako misjonarz — lekarz do Chin.

Największą jego tu zasługą to stworzenie wielkiego szpitala oraz utworzenie całej sieci ambulatoriów i przychodni na terytorium prefektury. X. Szuniewicz wyspecjalizował się w leczeniu chorób ocznych. Ma on pod tym względem wprost

fenomenalne wyniki. Toteż ludzie nieraz z odległości 1000 km idą pieszo do Shun-Teh, żeby znaleźć ulgę u polskiego „cudotwórcy“.

A jego praca i poświęcenie? To co robi X. Szuniewicz, to w normalnych warunkach przypada na 10 lekarzy. Mówili już nam o tym profesorowie uniwersytetu „Aurora“ w Szanghaju.

Wraca właśnie ze szpitala po kilku dokonanych operacjach. Widać wielkie zmęczenie na jego wybledzonej twarzy. Jego praca przekracza przecięź ludzkie siły. Misjonarskim zwyczajem od godz. 4-tej na nogach. Po Mszy św. w szpitalu przez cały dzień do późnego wieczora. Kilka operacji dziennie. Częste wyjazdy do okolicznych miasteczek, w których pozakładał bezpłatne przychodnie oczne. Każde jego przybycie witają wszyscy, a zwłaszcza chorzy, z niekłamaną radością. Ktoś z zarządu miasteczka zdobywa się nawet na drukowany plakat, rozwieszony na rogach ulic:

— Szen-fu-ta-žen...

Duchowny ojciec, wielki człowiek, przyjeżdża leczyć oczy...

A może równocześnie i dusze? Nawrócenia zdarzają się właśnie najczęściej na widok niestrudzonej pracy i to bezinteresownej X. Szuniewicza i jego towarzyszy misjonarzy. Szpital i przychodnia to najlepsza propaganda wiary św.

Patrzałem na te dziesiątki ludzi, tłoczących się do bezpłatnej przychodni na przedmieściu Nę-Kłó.

Byli tam mężczyźni z ropiejącymi wrzodami, matki z chorymi dziećmi, żołnierze z garnizonu shuntehskiego, darzący X. Szuniewicza większym zaufaniem niż pułkowych lekarzy.

Któryś z chrześcijan wykłada w poczekalni katechizm, wskazując na obrazy propagandowe rozwieszane na ścianie.

Po uzdrowieniu ciała często następuje uzdrowienie duszy. I spełniają się tu słowa Zbawiciela: Ślepi widzą, głusi słyszą, trędowaci bywają oczyszczeni...

— Księżę doktorze, ksiądz dziś ledwie mówi, trzeba jutro nieco dłużej pospać — odzywa się zatroskany X. superior.

— To nic, należy pracować, póki jeszcze dzień...

Nazajutrz rano wybieramy się z X. Czaplą w głąb prefektury do Kiilu.

Mamy przed sobą 70 km drogi chińskiej. Na szczęście kursuje tu od 1 stycznia autobus. Wyjeżdżamy za miasto przez bramę północną.

Trzeba bowiem zaznaczyć, że Shun-Teh, jak zresztą wszystkie miasta i miasteczka, opasane jest wysokim murem z cegły lub gliny. Przy bramach miejskich strażuje zwykle straż wojskowa lub policyjna, która kontroluje wszystkich przechodniów.

Wieczorem bramy się zamykają i wówczas już ustaje wszelki ruch. Jest to konieczne ze względu na częste rewolucje i zamieszki wojenne.

Dwaj żołnierze z najeżonymi bagnętami zatrzymują nas przy bramie. Popatrzywszy spode łba na pasażerów, pozwalają jechać dalej.

Wieje silny wiatr. Z pustyni Gobi lecą ku nam istne chmury mialkiego piasku. Niebo aż siwawe od zawiei. Na drodze tworzą się zasy pyaszczyste. W oczach, ustach, uszach wszędzie pełno piasku.

Mówi mi X. Czapla, że właśnie te wiatry są największym utrapieniem misjonarzy. Nasz autobus staje po kilka razy. Motor nie może dać rady. Pada komenda szofera: wszyscy wysiadać! Brniemy w mialkim piasku, póki nie trafimy na twar-
dy grunt.

Przejeżdżamy przez liczne wioski. Warczenie motoru zwabia ludzi. Wylatują z domów i przypatrują się nam ciekawie. Dzieciaki, ubrane w grubo wutowane kaftaniki i długie spodnie, czepiają się autobusu. Zlatują co chwilę. Z śmiechem padają w syпки piasek.

Na postojach zbliżają się do nas wielkie psy chińskie i szczekają wyłącznie na nas, obu Europejczyków. Dowiaduję się, że psy szczekają tutaj jedynie na białych ludzi.

Ktoś tłumaczył to tym, że ciało Europejczyka wydaje swoisty a dla nas nieuchwytny zapach. Jest to skutek nadmiernego spożywania mięsa. Chińczycy zaś wydzielają zapach o wiele delikatniejszy, dzięki ich pożywieniu, składającym się z ryżu, kaszy i ryb.

Wszystkie te wioski jeszcze pogańskie. Liczne pagody-świątynie świecą pustkami. Na próżno odzywają się gongi, grzechotki, cymbały, zwołujące ludzi na modlitwę.

Widzimy poganina, składającego bożkom trochę ryżu i prosa w ofierze. Tu i tam w żelaznych wazonach, ustawionych przed bóstwem, tkwią tlejące patyczki kadzidła chińskiego. Lecz są to wyjątki.

Objaśnia mnie mój towarzysz, że wioski te można by łatwo nawrócić. Ludzie sami nieraz przychodzą i proszą o katechistę, który by ich pouczył o prawdach wiary św. Niestety często odmówić im trzeba dla braku funduszków na opłacenie katechisty.

I tak dusze giną! Łakną cbleba żywota, a nie ma, kto by im go podał.

Zajeżdżamy wreszcie do Külü. Wita nas X. Stawarski, kierownik stacji misyjnej wraz z swym młodziutkim wikarym X. Czerwińskim.

Wieża kościelna panuje nad miasteczkiem. Schludne zabudowania misyjne odbijają korzystnie od niskich, brudnych domków, a nawet od glinianych gmachów miejskich.

Serdeczne przyjęcie w rezydencji misyjnej. Kucharz Chińczyk, chcąc uczcić gościa z Polski, przygotował smaczną trawę morską w olejku sezamowym, młode pędy bambusowe i smażone kwiaty lilii. Znalazło się oczywiście i m ł o-m ł o — chleb z prosa, gotowany na parze.

Po posiłku oglądamy to wszystko, co tu powstało w stosunkowo krótkim czasie. Nowy kościół murowany, większy nawet od shuntehskiego. Uderzają mnie kawały jedwabiu, zwieszające się po bokach ołtarzy z napisami religijnymi w języku chińskim. Szkoła przygotowawcza dla katechistów wraz z internatem jest jedyną w całej prefekturze. Jest i szpitalik i przychodnia. Jest i przytułek, w którym chińskie babunie pędzą szczęśliwy żywot.

Kochane babunie wyglądają nieco komicznie w swych długich watowanych spodniach. One również składają nam życzenia noworoczne. Kołyszą się rytmicznie w czasie pokłonów a potem proszą o błogosławieństwo.

Nie mogę się napatrzeć wierceniui studni artezyjskiej blisko rezydencji. Długie pręty bambusowe, spojone żelazną obręczą a zakończone stalowym rylcem, oto narzędzie wiertnicze chińskich studniarzy. Rylec, wpychany siłą ludzką w ziemię, pogrąża się coraz głębiej. W tej chwili osiągnięto już 130 m głębokości, lecz wody jeszcze nie widać.

Wieczorem X. Stawarski opowiada o swych przygodach misyjnych. Wałą przeszkodą to odległości i drogi chińskie, o których Europejczyk nawet pojęcia mieć nie może. Wołają nagle do chorego. Odległość 60 km. Misjonarz jedzie rowerem. Schodzi często, bo ujechać nie podobno. Wyprawa taka trwa nieraz trzy dni. A stamtąd

już znowu wołają... Warunki pracy są niezmiernie ciężkie, wskutek skrajnego ubóstwa ludzi. Niejednokrotnie głód nawiedza tę okolicę. Wówczas śmierć bez miłosierdzia zabiera ofiary.

— Warto jednak dla tych ludzi pracować — zapala się X. Stawarski.

— Jest to dobry, szlachetny naród. Chińczyk, spostrzegłszy, że ktoś z nim dobrze się obchodzi, oddaje mu całą duszę i można z nim robić cokolwiek się zechce.

Z miejscowym mandarynem X. Stawarski żyje w najlepszej zgodzie. Odwiedzają się wzajemnie. Dnia 10 października z okazji chińskiego święta narodowego odbierali obaj nawet wojskową paradę.

Nazajutrz jest niedziela. Odprawiam sumę a X. Czerwiński głosi kazanie. Przeszło 100 osób przystępuje do Komunii św. Po nabożeństwie ludzie nie rozchodzą się do domów. Czekają na czcokoło kościoła. O godzinie 11 odprawiają sobie sami drugie nabożeństwo. Odmawiają śpiewnie różaniec i to na dwa chóry. Potem powtarzają sobie 100 pytań katechizmu.

Nie mam słów podziwu dla gorliwości tutejszych chrześcijan. Zasługa to również X. Stawarskiego. Szalenie to Boży, który dla dusz nieśmiertelnych gotów wszystko poświęcić, wszystko aż do wyczerpania wszystkich zasobów życia.

Wracamy do Shun-Teh. Jeszcze kilka mniejszych wypraw do Nei - Ciu i w okolicę miasta.

Przyjeżdżają misjonarze nasi z placówek, bo chcą się z nami zobaczyć.

Przyjeżdża również X. C y m b r o w s k i, kierownik szkoły misyjnej, pochodzący z Poznania. Jest on zarazem wielkim przyjacielem żołnierzy. Znają go tu wszyscy. Gdy przechodzi, to mu salutują.

Dwa miesiące temu C h a n g - K a i - S z e k wy-dostaje się z niewoli, w której przebywał u jedne-go ze swoich chińskich współzawodników. Całe Chiny szaleją z radości. 32-armia chińska, sta-cjonowana w okręgu Shun-Teh zbiera się na pla-cu ćwiczeń dla uczczenia tej radosnej chwili. Za-proszony również jest X. Cymbrowski. Gorąco przemawia gen. Chang - Sen. Następnie generał ten prowadzi X. Cymbrowskiego do megafonu i serdecznie prosi o przemówienie.

X Cymbrowski nie odmawia. Przemawia z ca-łą gorącością swego młodego serca. Wskazuje na radosny moment w dziejach historii Chin. Na-wołuje do ofiary i wstrzeźliwości. Wskazuje na prawdziwego Boga, w którym Chiny znajdą prawdziwe odrodzenie.

Misjonarz polski przemawia do armii chińskiej. Trudno o większe zaufanie pogan do katolickiego misjonarza!

X. Cymbrowskiemu też się zawdzięcza, że w ostatniej procesji Bożego Ciała brało udział rów-

niez i pogańskie wojsko chińskie. Było 18 żołnierzy w całkowitym uzbrojeniu z delegacją oficerów, z gen. Fu - Li - Pjin na czele, oraz 12 trębaczy, którzy przy ołtarzach grali hejnały.

I szła procesja poprzez uliczki miasta, przybrane w chorągwie i girlandy. Lud śpiewał chińską pieśń eucharystyczną na melodię: „Twoja cześć, chwała“. Dzwony dzwoniły. Pieśń, nabrzmiała siłą uczucia, drgała coraz mocniej i leciała w gorący otok niebieski.

Ludzie wpatrzeni w Hostię świętą, wołali:

— Jesu Szen Si-cul kuolui kao u Czankao...

— Najświętsze Serce Jezusa, niech królestwo Twoje zstąpi do Chin!

Po naszym wyjeździe, dotychczasowe trudności zwiększyły się jeszcze, zwłaszcza wskutek wielkich powodzi oraz wojny japońsko - chińskiej. Trudności te obrazują wyjątki listu, który otrzymałem ostatnio od X. Szuniewicza.

„Miły, choć tak krótki, pobyt Księdza u nas w Shun-Teh daje mi prawo do pisania.

A jest o'czym. Przecież chce wiedzieć Ksiądz w jakich warunkach pracują nadal odwiedzeni przez niego „emigranci“ polscy?

Zmieniło się wiele. Przede wszystkim, gdyby nie zapewnienie biblijne, że potop się nie powtórzy, to byśmy na pewno przystąpili do budowy drugiej arki. Siedem dni dzień w dzień, noc w noc leje jak z cebra, a wczorajszej nocy chmura się ober-

wała nad naszymi głowami; chyba nikt w Shun-Teh nie spał tej nocy.

We wszystkich pokojach naszych przecieka, a X. Te ledwie się uratował w nocy przed ulewą poprzez sufit...

Na mieście ubogie fandzy chińskie z gliny i błota porozpadały się jak domki karciane, cały szereg rodzin pozostał bez dachu nad głową.

Na domiar złego plaga wojenna. Odcięci jesteśmy od większych miast, bez możliwości porozumienia się z ośrodkami misyjnej propagandy. Nie sposób zaopatrzyć się na zimę wobec zamówień wojskowości.

„Ta-czę“ — wojna, to chwila doświadczenia wytrwałości ducha.

Zwłaszcza dla naszej Misyj, co liczy zaledwie sześć lat samodzielnej pracy.

Troską przejęci jesteśmy o sposób zachowania misyjnego szpitala w wojennych warunkach. Zachowujemy jego specjalny charakter — okultystyczny — gdyż najlepiej nadaje się on dla celów propagandy misyjnej.

Jest to właśnie katechumenat, przez który w ciągu roku przechodzi około 2 000 słuchaczy. Nie łatwo o inny podobny katechumenat...

...Walki zacięte toczą się dokoła. Poczta bardzo nieregularnie dostarcza listy. Nie sposób na być nieraz nawet najniezbędniejszych przedmiotów. Jazda koleją w warunkach wojny nie należy do przyjemności, w połowie drogi trzeba zmieniać

pociąg, a przewiezienie bagażu z innymi związane trudnościami.

...Nasi misjonarze polscy pracują obecnie pod różnymi rządami. Jeden pracuje w otoczeniu wojsk czerwonych; drugi wśród zawodowych bandytów, którzy opanowali pewne okolice; trzeci pod nowym rządem; u czwartego władza zmienia się, jak nie dawno — naprzykład dwa razy w tygodniu... A jednak Opatrzność zachowuje ich dla Kościoła, i mimo że w niesłychanie trudnych warunkach odbywa się propaganda wiary, to jednak nigdy jeszcze nie notowaliśmy takiej gorliwości u chrześcijan i takiego napływu katechumenów jak właśnie w tych trudnych warunkach.

Piszę w dniu przedświątecznym, kiedy do chrztu św. staje naraz gromadka z 40 osób w naszym kościele w Shun-Teh, a katechumenaty są pełne... Mimo, że strumienie krwi zraszają tę ziemię — doświadczenia bożego, mimo że zraszają ją łzy zubożałych, opuszczonych sierot, głodnych, zmiażdżonych falą popłochu i przerażenia — mimo to, a raczej właśnie dlatego inne strumienie, strumienie łaski bożej zalewają dusze światłem nieznaną dotąd siłą i pociągają je do Źródła wszystkich łask, w wyżyny ducha! Radośnie pracują misjonarze polscy w zawierusze i chaosie, wsłuchując się w zew Zbawiciela „zajęć na głębie!”

Praca charytatywna, jakiem już pisałem o tym, również jest utrudniona. Nie wielu śmiałków odważa się z daleka przyjechać do szpitala leczyć

oczy. Musimy sami do nich się zbliżyć i rowerami, albo motorkiem zawieźć do tej lub owej wsi wyjąłowane narzędzia. Tam się wybiela chałupę, ławy szkolne zastępują stół operacyjny, latarka ręczna zastępuje słońce — i jakoś to idzie z pomocą ociemniałym i chorym na miejscu.

Przed paru dniami powróciliśmy z takiej podróży, gdzie przy tej sposobności opatrzyło się kilku rannych w mniejszych potyczkach — właśnie przejeżdżaliśmy przez front. Ten sposób zbliżenia się do chorych pociąga sympatie Chińczyków i tam, gdzie promień wiary dotąd nie zajrzał, mamy okazję przemówić o Odwiecznej Prawdzie zoperowanym, pozostającym w przychodni misyjnej w okresie pooperacyjnym.

Jednemu choremu uratowano życie w sposób oryginalny. X. Czerwiński udzielił temu ранnemu pierwszej pomocy, ale nie było mowy o ratowaniu jęgo w warunkach głuchej wsi. Uwiązano pryczę pomiędzy dwa rowery i pod osłoną kościelnej chorągiewki, którą uszanowały obydwie strony walczące, dostawiono chorego do szpitala, przebywając w ten sposób około 100 km drogi...”

Dusze pogańskie w Chinach dojrzały do żniwa! Prefektura polska w Shun-Teh potrzebuje kilkuset księży, kilka tysięcy katechistów, ofiar pieniężnych i dużo, dużo modlitwy...

Pomóżmy polskim oraczom na chińskim ugorze!

Kościół Piotra przed żółtą bramą

Religia Chińczyków — Bezbożnictwo — Wspaniały rozwój misji — X. biskup Yu - Ping — Katolickie szkolnictwo — Religijność Chang - Kai - Szeka — Misje a wojna chińsko - japońska.

Olbrzymie państwo Żółtego Smoka drży całe w posadach. Dymi pożogą i zgliszczami, ocieka krwią zabijanych. I to nie tylko w czasie obecnej wojny, ale od wielu już lat kolos chiński drga wśród waśni bratnich i rozterek. Pożary nie gasną i coraz więcej krwi się toczy.

Mimo wszystko zaznacza się bezustanny postęp misji. Mocniej aniżeli kiedykolwiek stanął **K o-
s c i ó ł P i o t r a** przed **Żółtą Bramą**...

Naród chiński tak trzeźwy i pracowity nie posiada, ściśle mówiąc, żadnej religii. Dawny monoteizm został spaczony różnymi systemami filozoficznymi, a zwłaszcza konfucjanizmem i taoizmem.

Konfucjusz i Laotse, głosząc raczej reguły życia praktycznego, nie dali narodowi żadnej religii.

„Religia“ chińska jest mieszaniną czci natury i czci przodków. Bóstwa natury przedstawia się jako ludzi i utożsamia z osobami przeszłości. Najwyższym bóstwem jest niebo, po nim ziemia, przodkowie cesarscy, bogowie pól i mórz. Im to składa się pierwszorzędne ofiary. Drugorzędne zaś słońcu, księżycowi, wynalazcy rolnictwa, pierwszej hodowniczce jedwabników itd.

Religijność Chińczyków jest dziecinna, powierzchowna. Chińczycy przywiązują ogromne znaczenie do obrzędowości. Dużo zwolenników ma buddyzm, dużo jest najrozmaitszych sekt. Im więcej jakaś sekta ma obrzędów zewnętrznych, tym więcej pociąga. W nowszych czasach propaguje się coraz częściej jawne bezbożnictwo. Coraz częściej też uderza się w chrześcijaństwo jako szkodliwe dla Państwa.

Mimo wszystko, jak zaznaczyliśmy, Kościół św. zdobywa coraz to więcej zwolenników. Kiedy w roku 1902 było 800.000 katolików, to w roku 1937 liczba ich przekroczyła 3 miliony. W jednym tylko roku 1936 ochrzczono aż 599.123 dorosłych.

Chiny, podzielone na 125 okręgów kościelnych, miały w roku 1936 — 94 biskupów, 4458 księży i 13.359 katechistów i katechistek, nie licząc braci i siostr zakonnych. Duchowieństwo miejscowe składało się z 17 biskupów chińskich i 1822 księży.

Niezadługo jednak liczba kapłanów chińskich wzrośnie i przewyższy liczbę kapłanów obcej narodowości.

Jest to zagadnienie niesłychanie ważne. Budzi się bowiem i w Chinach gwałtownie świadomość narodowa. Patrioci chińscy nie zawsze chętnie patrzą na obcokrajowców, których często posądzają o knowania przeciwko państwu chińskiemu.

Z powodu tego powierza się dzisiaj biskupom chińskim stanowiska bardziej odpowiedzialne. M. in. w r. 1937 X. Yu-Ping został zamianowany biskupem w Nankinie.

X. biskup Yu-Ping, dawniejszy dyrektor Akcji Katolickiej na Chiny, mówiący płynnie po francusku, rozmawiał z nami kilkakrotnie w drodze powrotnej z Kongresu do Szanghaju. Od niego też dowiedzieliśmy się dużo szczegółów dotyczących rozwoju misji w Chinach.

Mówił nam X. biskup o staraniach, by przygotować jak najliczniejsze duchowieństwo miejscowe. W ciągu ostatnich dziesięciu lat powstało już 12 wielkich seminariów regionalnych.

— Nasi klerycy chińscy — uśmiechał się dobrotliwie X. biskup — nie mniej się muszą uczyć od waszych. Przez dwa lata uczą się filozofii, a teologii przez cztery lata. Używają też tych samych podręczników co i u was — Tanquerey'a do dogmatyki, Noldina do moralnej, Prümmera do prawa kościelnego.

X. biskup mówi z zapałem o pracy charytatywnej podejmowanej przez misje katolickie w tysięcznych zakładach, rozrzuconych po całych Chinach.

Podkreśla znaczenie szkół katolickich na terenie Chin. Do szkół tych uczęszczają przeważnie poganie. Zaznają się oni przy tej sposobności z wiarą katolicką i niejednokrotnie się nawracają.

— Prawdziwą chlubą misji — uśmiecha się X. biskup — są trzy uniwersytety katolickie w Szanghaju, Pekinie i w Tientsinie.

— Prócz tego mamy w Tientsinie Wyższy Instytut dla handlu i przemysłu, kierowany przez oo. Jezuitów. Poza tym posiadamy 11 drukarni, z których wyszło 131000 druków. Stworzyliśmy też niedawno agencję prasową „Lumen“.

— Czy Ekscelencja sądzi, że marszałek Chang-Kai-Szek jest przychylny Kościołowi — pytamy się nieśmiało.

— Marszałek popiera Kościół, gdzie tylko może — odpowiada biskup. Usiłuje on odnowić ducha chińskiego. W tym celu propaguje entuzjastycznie ruch tzw. „nowego życia“ — New Life Movement. Sądzę, że pod wpływem tego nowego ruchu żywołowego Chińczycy zblizną się do zagadnień religijnych, a tym samym do Kościoła katolickiego.

— Przed Kościołem wschodzi jutrznia wspaniałej przyszłości. Marszałek Chang-Kai-Szek czyta codziennie Pismo św., a czynności swe podporząd-

kowuje wskazaniom Ewangelii. Ostatnio wydał on do narodu orędzie, w którym w sposób wzruszający wyraża swą wiarę w Jezusa Chrystusa.

— Ekscelencjo, czy Chiny, rzeczywiście zagrożone są przez komunizm? — rzucamy nieśmiało ostatnie pytanie.

— Tak nas oczerniają wrogowie — rzuca nerwowo X. biskup Yu-Ping, przy czym jego skośne oczy rzucają wyraźne błyski. To kłamstwo, to wierutne kłamstwo! Marszałek zawsze zwalczał komunistów, a po jego stronie stają całe Chiny. Nie, komunizm zawsze nam będzie obcy i wstrętny...

W między czasie rozgorzała wojna chińsko-japońska na dobre.

Ile poświęcenia i ofiary muszą tam obecnie ponosić misjonarze katolicy! Zdarzają się nawet wypadki męczeństwa. W samej prowincji Hopei zamordowano aż 8 misjonarzy. Zginął biskup Schraven, Holender, który przez 38 lat pracował w Chinach. Zginęli misjonarze Charny i Bertrand, Ceska, Wouters, Robial i inni.

Również i misje wskutek działań wojennych poniosły wielkie szkody. Przyznać należy, że Japończycy z szacunkiem odnoszą się do naszych misjonarzy, a budynki misyjne uważają za strefę neutralną. Mimo to przez niedopatrzenie dużo placówek misyjnych zostało zniszczonych.

Mimo, że front przesunął się już daleko na zachód napotykają misjonarze dużo jeszcze trudności. Brak środków utrzymania, ogólne podniecenie, bandyci i inne przeszkody utrudniają regularną pracę misyjną.

Nigdzie jednak nie było wypadku, żeby misjonarze katoliccy porzucili swe stanowisko. Trwają na posterunkach, wzbudzając przez to podziw ogólny.

Uniwersytet katolicki „Aurora“ w Szanghaju zorganizował 4 szpitale wojenne na 2025 łóżek. Pod protektoratem biskupów Chin północnych powstał katolicki „Centralny Komitet Pomocy“, który rozwija skuteczną działalność. Katolickie organizacje młodzieży tworzą oddziały pomocy sanitarnej. Powstają też osobne komitety samopomocy, zorganizowane przez misjonarzy, które utrzymują ład i porządek w miejscowościach opuszczonych przez wojsko chińskie.

Bohaterska postawa misjonarzy przedstawia przy tym w najlepszym świetle naukę Chrystusową i budzi dla niej powszechny podziw.

Misje katolickie w Chinach ucierpiały i ucierpią bezwątpienia jeszcze dużo. Wojna ta jednak staje się kamieniem probierczym wartości kultury chrześcijańskiej. Zetknięcie się z misjonarzem katolickim stanowić będzie punkt zwrotny w jego życiu. Może się otworzy niejedno serce na zbawcze skutki Chrystusowej łaski...

Między katolikami chińskimi cieszy się wielką
czcią wizerunek Matki Boskiej, Królowej Chin.
Wykonał go brat jezuicki Liu, wzorując go na
portrecie zmarłej cesarzowej Tseu-hi.

Otóż do Najśw. Maryi Panny jako Wspomożenia
Wiernych należy się uciekać w żarliwej modlitwie.
Ona opieką otoczy zagrożone misje chińskie
a wstawiennictwem swym dopomoże do ich dal-
szego wspaniałego rozwoju.

Stoimy bowiem rzeczywiście w przede dniu wiel-
kich możliwości rozwoju katolicyzmu w Chinach.
Te żywiołowe odruchy mas chińskich, przyspie-
szone pod wpływem konfliktu z Japonią, mogą wy-
łonić w niedalekiej przyszłości nową potęgę du-
chową, z którą będzie musiała się liczyć cywili-
zacja Zachodu.

Sin sse - budzi się lew chiński — z uspie-
nia duchowego. A Kościół Piotra stanął przed
Żółtą Bramą...

Peiping, królowa chińskich miast

Peiping — Pstrokacizna ras i religii — Ryksze pekińskie Legation Street — Polacy — Pogrzeb chiński — Świątynia nieba — Zakazane miasto — Wszystko przemija — Ku Złotemu Morzu — Pałac letni — Święto latarni — Teatr chiński.

Ekspres, idący z Czencou, uwozi nas do Pekinu. Wzdłuż toru widzimy karawany wielbłądów i mułów, ciągnących w stronę Mongolii. Wielbłądy o brudnej sierści są zaniedbane i wychudłe. Krajobraz monotony. Wioski pełne domków glinianych, otoczone murami. Wszędzie dużo żołnierzy pilnujących toru.

Do roku 1929 był Pekin stolicą i nazywał się Peiping. Tylko poczta ma jeszcze prawo stemplować „Peking“, żeby nie kupować na próżno nowych stempli.

Na dworcu rzuca się na nas czereda bagażowych i szoferów. Zobaczył to policjant. Grubą pałką zaczął okładać natrętnych Chińczyków. Dostało się i naszemu szoferowi, który nie bacząc na rany, doprowadził nas do swego samochodu.

Pekin liczy obecnie półtora miliona mieszkańców. Jest to jedno z najcharakterystyczniejszych miast chińskich. Najdawniejsza przeszłość i najbardziej dzisiejsza nowoczesność połączyły się w jedną całość. Na ulicy widzimy chłopów chińskich na wózkach ciągnionych przez małe wychudzone osiołki. Obok nich przejeżdżają nowoczesne limuzyny, pochodzenia amerykańskiego.

Obok najbiedniejszych kulisów spotyka się znanych milionerów chińskich, którzy swe skarby ulokowali w betonowych schronach wielkich banków pekińskich.

Idą obok siebie Chińczycy północni, południowi, Tybetańczycy, Mongołowie, którzy noszą jeszcze długie warkocze, kapłani tybetańscy i buddyjscy. Jedna wielka mieszanina religij, wielobarwna, żyjąca jakby poza czasem i przestrzenią.

Mężczyźni ubrani są w długie suknie, przypominające sutanny, czarnej lub granatowej barwy. Kobiety chodzą w czarnych spodniach watawnych, mocno ściągniętych i związanych w kostkach.

Widać jeszcze często kobiety z zniekształconymi stopami. Z trudnością trzymają się na swych dziecięcych nóżkach. Zwyczaj ten barbarzyński jest dziś już całkowicie zakazany. Zdarzają się jeszcze jednak często wypadki przestrzegania dotychczasowej tradycji. Toteż do domów prywatnych wchodzi policja i sprawdza, czy małym dziewczynkom nie bandażuje się nóg.

Zajeżdżamy do księży misjonarzy na P e t a h. Znajduje się tu piękna katedra pekińska. Mieszka tu również wikariusz apolstolski Pekinu. Wita nas serdecznie, podając kilka szczegółów, dotyczących katolików w mieście.

Wychodzimy na zwiedzenie miasta. Przy bramie natrętni kulisi - ryksiarze prawie przemocą wciągają nas do wózków dwukołowych, które sami ciągną biegnąc. Nic nie pomaga słowo b u - j a o — nie chcę. W końcu więc ulegamy i wchodzimy do rykszy.

Ryksze pekińskie są wykwintne. Swoim wyglądem przypominają spacerowy wózek dla dzieci. Ryksza zaopatrzona jest w budkę, chroniącą od deszczu lub zbyt silnych promieni słonecznych. Dyszle rykszy są lekko wygięte do przodu, gdzie łączy ją poprzeczne wiązadło.

Pekiński ryksiarz jest ubrany mniej więcej międzynarodowo. Spodnie krótkie, niebieska marynarka z pojedynczym kołnierzem, rozciętym z przodu. Na głowie stary kapelusz filcowy. Na nogach łapcie ze słomy. Za pasem ręcznik do wycierania potu.

Ryksiarz pekiński mieszka gdzieś daleko na przedmieściu w namiocie, zbudowanym z bambusów i starych mat. Jada mało i co się da. I tak chodzi przez cały boży dzień, włócząc się po ulicach dawnej stolicy. Zapraszając każdego przechodnia do rykszy, woła ochryplym głosem — dziao-phi-ghe...

Jedziemy do dzielnicy europejskiej. Więc powtarzamy ryksiarzowi wyraźnie: **Legation Street**.

Kiwa głową, że rozumie. Biedakowi chodzi o to, żeby tylko jechać, zarobić kilkanaście centów na młó - młó - tutejszy chleb.

Oczywiście ryksiarz nas nie zrozumiał. Drepcie sobie wesoło, skręca w uliczki coraz ciasniejsze. Wydaje nam się, że chyba nie tędy droga do dzielnicy europejskiej.

Zatrzymujemy go. Kulis kiwa głową, że wie, dokąd wieźć. Wreszcie stanął przed mieszkaniem X. arcyb. Zanina, delegata Stolicy św. na Chiny. Kulis wykombinował sobie widocznie, że ci dwaj s z e n - f u — ojcowie duchowni, wybierają się chyba nie gdzie indziej, jak tylko do delegata apostołskiego.

Po dłuższym wyczekiwaniu spotykamy wreszcie jakiegoś inteligenta, z którym możemy się porozumieć. Ten dopiero wytłumaczył naszym kulisom, dokąd jedziemy.

Legation Street, dzielnica europejska była niedawno temu Londynem w chińskiej stolicy. Ogromne banki, wspaniałe gmachy poselstw zagranicznych, pałace prywatne. Dzielnica ta otoczona jest murem dla obrony w razie rozruchów. Gdy jednak stolicą Państwa Niebieskiego został Nankin przeniosły się tam i poselstwa.

Legation Street opustoszało. Pozostały tylko jeszcze oddziały wojskowe obcych państw. Z prawa tego i teraz nie zrezygnowano.

Maszerują więc sprężystym krokiem japońscy piechurzy w szarych mundurach polowych z czerwonymi kołnierzami. Na placu koszarowym ćwiczą francuscy strzelcy. Żołnierze włoscy i amerykańscy stoją na warcie.

W tej dzielnicy znajduje się duży magazyn konfekcji p. A d a m s k i e j z Tarnowa. Zachodzimy więc tam, żeby zasięgnąć nieco informacji o tym prastarym mieście.

Nasza rodaczka już kilka lat mieszka w Chinach. Powodzi jej się bardzo dobrze. Odbiorcami są głównie Europejczycy. Jednak i Chińczycy chętnie kupują u niej. Przyjeżdżają często do magazynu żony generałów i wyższych oficerów chińskich. Paniom tym towarzyszy zawsze po kilku uzbrojonych żołnierzy. Są to jej najlepsze klientki.

Siostrzeniec p. Adamskiej, student z Warszawy, p. Skórzewski, ofiarowuje się nam na przewodnika.

Jedziemy ulicami milionowego miasta, które szczyli się mianem królowej miast Dalekiego Wschodu. Ulice szerokie, asfaltowane awenidy. Nieco węższe są ulice czysto chińskie. Tam też życie więcej pulsuje, więcej hałaśliwej wesołości. Herbaciarnia jedna obok drugiej. Jatki z mięsem baranim. Składy wyrobów koszykarskich i por-

celany. Koszyczki do kwiatów, wielkie piece — hibaczi stoją obok stert miseczek do tuszu i wielkich chińskich sopluczek.

Chińczyk jest miłośnikiem ptaków. Toteż sklepy ptaszników są zawsze obleżone. Godzinami wsłuchują się ludzie w śpiew barwnych słowików japońskich i ćwierkających czyżyków. Marzeniem Chińczyka to kupić sobie klatkę z ptaszkiem. Mając ulubionego ptaszka nie rozstaje się z nim nigdy. Z klatką idzie do herbaciarni lub na przechadzkę.

Po drodze spotykamy pogrzeb chiński. Dwóch mężczyzn niesie na przedzie białe chorągwie na znak żałoby. Za nimi idzie siewca monet papierowych. Rzuca papierki na lewo i prawo, żeby duszy zapewnić wolne przejście.

Dalej niosą dwie figury z tektury, dziewczynę z filizanką i młodzieńca z fajką. Mają oni usługiwać zmarłemu na drugim świecie. Niesie się również krzesło podróżne z papieru, konia i krowę oraz dwóch rycerzy z berłem. Oni usuwać będą przeszkody na drodze do wieczności.

Chłopiec ubrany w biel, trzyma tabliczki zmarłego - „pai“. Tabliczki te otacza się wielką czcią, ponieważ zmarły otrzymał w zaświatach godność wysoką. Bonzowie przybrani w długie kapy, odmawiają modlitwy, inni uderzają w tam-tamy.

Najbliższa rodzina zmarłego i przyjaciele kroczą w białych szatach i zawodzą głośno. Na wysokim czerwonym palankinie, haftowanym bogato,

spoczywa trumna. Palankin niesie ośmiu grabarzy w czerwono - zielonych szatach.

Jedziemy do świątyni nieba. Na wielkiej przestrzeni, otoczonej murem wznosi się ta najpiękniejsza świątynia pogańska Chin. Jest to prawdziwy cud architektury.

Krużganki, kolumny, przedsionki z czystego białego marmuru ciągną się bez końca. Wznosi się ona na potrójnej platformie z białego marmuru z pięknie rzeźbioną w marmurze balustradą. Potrójny dach, z majolikowej dachówki koloru szafirowego, wsparty jest na ogromnych cedrowych kolumnach, pokrytych czerwoną laką.

Niedaleko świątyni znajduje się ołtarz nieba. Wzniesiono go z trzech kolistych marmurowych tarasów i to z geometryczną precyzją.

Kilka razy do roku zjawiał się tu cesarz, uważany w Państwie Niebieskim za boga i składał niebu ofiarę. Ofiary składały się z wołów, owiec, jeleni, dzików — zawsze po 81 sztuk. W dzień przyjazdu cesarza domy, sklepy, bramy, okna musiały być zamknięte i nikomu nie było wolno być na ulicy.

Uroczystości te odbywały się z wschodnim przepychem. Uczestniczyli w nich jednak tylko najwyżsi urzędnicy i książęta krwi.

Tak było do roku 1911. Rządy cesarskie się skończyły. Opustoszała świątynia nieba. Od te-

go czasu ofiar tu już więcej nie składają. Tam, gdzie wstęp był wzbroniony zwykłym śmiertelnikom, chadzają dzisiaj ludzie miejscowi i zagraniczni za kilkadziesiąt centów opłaty.

Chodzimy i my w głębokiej zadumie. Jest ci-sza dokoła. Słońce gorącymi blaskami zalewa marmury pagody. Myślimy o zmienności dziejów ludzkich. Może i na tym miejscu stanie świątynia prawdziwego Boga. Może w tej świątyni nieba niezadługo błysnie hostia niepokalana — misterium ziemskich pielgrzymów...

Zwiedzamy zakazane miasto. Jest to część miasta, w której mieszczą się pałace, świątynie i parki cesarskie. Za czasów cesarstwa pod karą śmierci nie wolno było wchodzić w obręb „świętych“ czerwonych murów. Po zniesieniu cesarstwa pozwolono cesarzowi zostać jeszcze w zakazanym mieście. Lecz tylko do czasu.

Było to 5 listopada 1924 roku w południe. Cesarz z małżonką siedział przy stole biesiadnym. Marszałek dworu przyniósł dwie wizytówki. Odpowiedziano mu, że nie należy przeszkadzać. A jednak im przeszkodzono! — Trzy godziny później para cesarska ratowała się ucieczką. W tym samym prawie czasie wojska Sun - Yat - Sen'a wkroczyły triumfalnie do Pekinu.

Jakież smutny koniec cesarskich wspaniałości! Na chińskim tronie siedzieli cesarze przez kilka tysięcy prawie lat. Zanim faraonowie egipscy

i wielcy królowie Babilonu zasiadali na tronach, nad Chinami panowali już cesarze. Runęły trony faraonów i królów. Wznoszono nowe trony. Cesarze Chin panowali bez przerwy. A jednak zbliżył się kres...

Dnia 5 listopada 1924 o godz. 3 minut 15 — skończył się ich majestat. Nikt nie protestował. Nikt się za nimi nie ujął. Wszystko, naprawdę wszystko, przemija i marnością jest nad marnościami...

Wchodzimy przez bramę zachodnią. Mijamy trzy hale Taihoodien, Dziunghoodien i Baohoodien.

Stajemy w pałacu niebiańskiej czystości. W koło tronu cesarskiego wznosi się około 50 kolumn, wysokich bardzo. Najbliżej tronu stojące, są pokryte grubą warstwą złota, od góry do dołu.

I tak wędrujemy od pałacu do pałacu poprzez parki, mosty bogato rzeźbione, wstępujemy do świątyń cesarskich, pełnych posągów złotych lub bogato złotonych.

I chodzą z nami japońscy żołnierze, angielscy turyści i Chińczycy, patrzący z niedowierzaniem na te wszystkie cuda, jakby wyjęte żywcem z bajki tysiąca i jednej nocy. Wskazują palcem na złote brokaty, misterne hafty jedwabne i bogate rzeźby z kości słoniowej, schowane za szkłem

Bardzo ciekawa jest świątynia Lamy, uczęszczana przez tybetańskich buddystów. W świątyni tej

podziwiamy posąg Buddy przeszło 30 m wysoki. Ma on być wyrzeźbiony z jednego kawała drzewa. Kapłani kręcą się w koło ołtarzy i składają ofiary z świeżych owoców.

Piękny letni pałac cesarski Ji - ho - yman znajduje się poza Pekinem. Położony jest na pięknym wzgórzu i składa się z licznych pawilonów. Cesarzowa Tsu - Ksi spędzała tu zwykle lato.

Nie była ona zbyt lubiana i powszechnie mówiono o niej, że jest kobietą przewrotną. Pieniądze przeznaczone na budowę floty chińskiej zużyła na budowę tego właśnie pałacu. W środku znajduje się wielkie jezioro. Prowadzi do niego kilka galerii. Na samym środku umieszczona jest olbrzymia łódź z marmuru. W salonach tej łodzi cesarzowa przebywała często ze swymi towarzyszkami.

— Ta łódź stanowi moją flotę — mawiała często z przekąsem dumna cesarzowa.

Daleko za miastem ciągnie się słynny mur chiński. Zbudowano go w 213 r. przed Chrystusem... Jest on około 20 wysoki i 15 m szeroki. Ciągnie się zaś na przestrzeni 5 000 km. Na murze znajdują się baszty i wieże strażnicze. W razie zbliżenia się nieprzyjaciela w wieżach tych zapalano ogień, by zawiadomić wojsko, przeznaczone do obrony muru. Aż trudno uwierzyć, że ludzie w tym czasie potrafili wznieść tak silną zaporę, która biegnie miejscami po grzbiecie górskim, to znowu raptownie spada w przepaść.

Przez Tajemniczy Wschód. 12

Wieczór się zbliża. Na ulicach płoną setki latarni papierowych, niesionych na długich tyczkach. Ogromna fala ludzi płynie ulicami. Stają tramwaje, samochody, ryksze.

Nasz przewodnik objaśnia, że to święto latarni. Jest ono uzupełnieniem świąt Nowego Roku. Przez pięć dni palą się wieczorami latarnie. Ulicami przesuwiają się procesje ze smokiem, bawiącym się ze słońcem. Smoka robią z płótna. W oczodołach umieszczają światła. Niosący smoka naśladują smocze ruchy. Strzelają rakiety, warczą bębny. Trzeba nastraszyć smoka, żeby nie połknął słońca, bo ciemno zrobiłoby się na świecie, bardzo ciemno...

W drodze powrotnej p. Skórzewski podaje nam jeszcze kilka szczegółów z życia chińskiego.

Chińczycy używają do pisania pendzelków, zamiast pióra lub ołówka.

Chcąc wyrazić szacunek, nakładają na głowę czapkę. Nawet do kościoła katolicy chińscy wchodzi z nakryciem na głowie.

Chińczycy myją twarz tylko w wodzie gorącej.

Na znak żałoby używają wyłącznie koloru białego.

Wszyscy Chińczycy mają czarne włosy i czarne oczy.

Chińczycy jedzą pałeczkami. Obiad zaczynają od dań słodkich. Wino piją tylko gorące.

Książkę zaczynają czytać tam, gdzie u nas koniec.

Ciekawe bywają przedstawienia w teatrze chińskim. Nawiązuje się w nich do starych legend i baśni ludowych. Aktorzy mają jaskrawo wymalowane twarze. Kolor szminki oznacza charakter występującego aktora. Kolor czerwony oznacza człowieka dobrego. Twarz biała z czarnymi plamami wyobraża człowieka nieuczciwego.

Śpiwnym zawodzeniom aktorów wtórują piszczałki oraz ogłuszające gongi. Muzyka chwilami bardzo krzykliwa, dla nas zupełnie niezrozumiała.

Przy krzesłach i łóżach ustawione są półeczki. Na nich umieszcza się filiżanki. Służba krzątająca się po teatrze, wlewa do nich herbatę. Roznoszą też ręczniki dla wycierania potu.

Co do palenia opium, tej odurzającej trucizny, niszczącej zdrowie narodu chińskiego, to rząd obecny tępi ten nałóg z całą stanowczością. Schwytanego palacza zabierają do domu poprawy. Gdy po wyjściu znowu popada w nałóg, rozstrzeliwują go bez pardonu. Prawo to obowiązuje od 1 stycznia 1937 r. Ta sama kara spotyka również handlarzy i przemytników opium.

Pociąg pospieszny uwozi nas nad Morze Żółte. Jedziemy do Tientsinu. Pozostaje za nami Pekin, prawdziwa perła Wschodu, miasto złocistych pałaców i strzelistych pagód, gdzie według Chińczyków znajduje się środek świata...

Tientsin, miasto kontrastów

Szlakiem pożogi — Pomysłowość chłopów chińskich —
 Obok bogactw niewiarogodna nędza — Koncesje między-
 narodowe — Związek Polski — Inżynier Cudziłło — Bo-
 gate dary — Pożegnanie.

Z Pekinu do Tientsinu to zaledwie trzy godziny jazdy pospiesznym pociągami. Krajobraz monotonny. Na polach pracują chłopci chińscy. Zawsze poważni i zamyśleni. Może wskutek ustawicznych klęsk żywiołowych oraz pożogi wojennej, która tędy tak często przechodzi.

Kilka miesięcy później na tym szlaku znowu zawrzało. Tędy bowiem przeszedł główny huragan wojenny. Na drogach dzień i noc dudniły koła armat ciężkiej artylerii. Słyszeć było bezustanny tupot żołnierzy Mikada. W powietrzu unosiły się japońskie ciężkie samoloty bombardujące.

Ciekawa rzecz, jak ci chłopci, na pierwszy rzut oka tacy bezmyślni, potrafili się bronić przed atakami lotniczymi. Rozpoczęli bowiem pleść sieci z młodych włókien bambusowych, które są niezwykle elastyczne, a z drugiej strony wytrzymałe. Sieci te rozciągali nad schronami. Gdy więc

bomby, wyrzucone z samolotów, trafiły w bambusową siatkę, niezmiernie elastyczną, rzadko eksplodowały. W razie zaś eksplozji skutki ich były nieznaczne.

W pociągu dużo żołnierzy japońskich. Nos i usta zakryte są czarną przepaską z muślinu. Ma to ich chronić przed zaziębieniem. Zdejmują ten oryginalny kaganiec na chwilę, by zapalić papierosa. Jadą także matki z dziećmi. Do czapeczek przymocowane są posrebrzane dzwoneczki. Na szyi małego Chiniątka zawieszony jest zameczek. Ma on je chronić przed wczesną śmiercią. Małeńka *L a r i c h n a*, trzyletnia dziewczynka, nosi pieczętki z szczęśliwymi hieroglifami. Zabobonów, jak widać, nie brak u Chińczyków.

Pociąg wpada do wielkiej hali dworcowej w Tientsinie. Samochodem jedziemy przez miasto do kościoła św. Ludwika. Miasto wielkie, liczące około trzech milionów mieszkańców. Wysokie domy handlowe, szerokie ulice, bogate wystawy sklepowe, jak w Szanghaju. Jarzą się orgie świateł neonowych, jaskrawych, wyzywających — białych, różowych, czerwonych. Na jezdni kipi życie. Pędzą taksówki, autobusy, prywatne samochody.

Spieszą zmęczeni ludzie. Otwarte sklepy zapraszają przechodniów do wnętrza, nęceni widokiem barwnych tkanin. Zewsząd dobiegają dźwięki hałaśliwej melodii. Tu i tam z otwartych drzwi dobiega nas mdławo-słodkawy zapach opium.

Tientsin, to miasto kontrastów. Bo tuż obok dzielnicy chińskiej brud i bieda nie do opisanania. Ludzie tu żyją w niewiarogodnych brudach, które parując, wydzielają niesamowity zaduch. W otwartych taczkach wożą wszelkiego rodzaju nawóz, sprzedawany po wysokiej cenie za wiadro.

Ludzie tu niejednokrotnie w łachmanach. Żywią się byle czym. Kilka ziarenek kawowych i garstka ryżu, to ich całe pożywienie. Aż litość bierze, gdy się patrzy na tych biedaków, należących do narodu o tak wielkiej kulturze artystycznej, przekazywanej przez kilkadziesiąt wieków z pokolenia na pokolenie.

Tientsin podzielony jest na pięć różnych dzielnic. Największa jest chińska, licząca około 2 milionów mieszkańców. W czterech koncesjach cudzoziemskich, a mianowicie w angielskiej, francuskiej, włoskiej i japońskiej, mieszka około miliona ludzi, różnej narodowości.

Każda z dzielnic posiada własny municipalitet, czyli samorząd miejski. Posiada policję oraz oddziały wojsk ochronnych.

Amerykanie zaś mimo, że nie mają własnej koncesji, utrzymują osobny oddział wojska. W oddziałach tych służy kilku Polaków, których poznaliśmy nazajutrz.

Błądzimy po mieście, bo nasz szofer nas nie rozumiał... Stajemy, żeby poinformować się u posterunkowego. Niestety — biedak mówi tylko po

chińsku. Na szczęście nawinął się pewien uprzejmy Chińczyk, który umiał po francusku. Wsiadł z nami do samochodu i zawiózł nas do kościoła św. Ludwika, do X. Moliniego.

Udajemy się od razu do Victoria Road 173, gdzie mieści się piękny lokal Związku Polskiego w Tientsinie. Zastajemy tu prezesa Związku p. inż. Cudziłłę oraz sporo przedstawicieli polskiej kolonii tientsińskiej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrawiamy obecnych.

— Na wieki wieków Amen — odpowiadają głosem zdziwionym.

— Skąd się tu księża wzięli? Więc naprawdę księża polscy?

Radość była wielka tym więcej, że przyjechaliśmy niespodzianie. Jeszcze późnym wieczorem szturmują do redakcji gazety rosyjskiej „Nowa Zoria“, by przez gazetę zawiadomić innych Polaków o naszym przybyciu.

Już na samym początku przejawia się w całej pełni gościnność polska. Mimo późnej pory gospodarze nasi pragną nam urządzić wstępne przyjęcie. Więc na prędko zamawiają lokal i wieczórę. Po czym rozchodzą się po mieście gońcy, by zaprosić najbliższych mieszkających Polaków.

Odbywa się więc uczta powitalna. Nie brak toastów, polskiego rozrzewnienia. Jak się dowiadujemy, mieszka tu około 80 Polaków. Niektór-

rzy z nich Polski jeszcze nie widzieli. Inni zapomnieli już nieco języka polskiego, więc przemawiają do nas po rosyjsku. Jeszcze inni ożenili się z cudzoziemkami, jak p. D u k a l s k i, którego żona S a m i k o, Japonka, uczy się na gwałt po polsku. Wszyscy jednak bez wyjątku czują się Polakami. Przywiązani są do wiary i ziemi ojczystej.

Wspomagają się wzajemnie. Niektórzy, jak p. inż. Cudziłło, pracujący w wodociągach miejskich, całą swoją pensję rozdaje tym, którzy pomocy potrzebują. P. Cudziłło dla zbiorów Seminarium Zagranicznego w Potulicach ofiarował trzy głowy bohaterów, rzeźbione w kamieniu. Piękna robota chińska sprzed tysiąca lat.

Po zbiory te jechaliśmy rykszami do jego willi. Było już po północy. Mimo późnej pory widzieliśmy na ulicach dużo ludzi. W maleńkich warsztatach wrzała praca bez przerwy. Wytrwały pościg za pieniądzem trwa tu widocznie nieprzerwanie, jak nieprzerwanie toczy swe wody Żółte Morze. Wydawało nam się, że to dzień, tylko zamiast słońca, świeciły neony.

Ryksze nasze zrównały się ze sobą, więc p. Cudziłło zaczyna opowiadać o Polakach tientsińskich.

Już w roku 1919 powstał tu Z w i ą z e k P o l s k i. Początkowo instytucja ta o charakterze wyłącznie charytatywnym prowadziła akcję pomocy prawnej oraz wyszukiwania możliwości pracy dla polskich emigrantów.

Zbiegiem czasu jednak Związek rozszerzył zakres swych zainteresowań. Nawiązał on łączność z Macierzą oraz rozwinął pracę kulturalno - oświatową.

— Wszystko byłoby dobrze — skarży się p. Cudziło — gdyby nie intrygi i właśnie w naszej kochanej kolonii.

— Ludzie o byle co się gniewają i zaraz grożą wystąpieniem ze Związku. Dziwna jest ta dusza polska...

Kilka miesięcy po naszym wyjeździe nastąpił niestety całkowity rozłam w kolonii. Rozpoczęła się masowa ucieczka członków ze Związku. Powstała nowa organizacja — **O g n i s k o P o l s k i e**.

Istnienie dwóch towarzystw polskich o analogicznym podłożu ideowym, o jednakowych dążeniach nasuwa dziwne refleksje. Polonia tamtejsza, jak to często bywa, poszła wbrew tendencji konsolidacji żywiołu polskiego na obczyźnie. Skutek tego, to niepotrzebne rozdrabnianie energii.

Należy jednak przypuszczać, jak to nie raz się dzieje, że Polacy znowu otrzeźwieją i dokonają ponownego zjednoczenia Polonii tientsińskiej.

Dnia 27 lutego rano odprawiło się polskie nabożeństwo w kościele św. Ludwika. Śpiewaliśmy pieśni polskie. W końcu zabrzmiało potężne „**B o z e c o ś P o l s k ę**“, ta pieśń, która na wychodźstwie wyciska łzy rozczulenia...

Następnie padały słowa kaznodziei o wytrwaniu, o wierności...

Rozglądamy się nieco po mieście. Na rynku tientsińskim można spotkać także towary włókiennicze. Sprowadzają je przeważnie importerzy niemieccy, którzy polskie towary sprzedają pod własną firmą. Nie ma tu zupełnie eksporterów i importerów polskich. Tylko jeden i drugi Polak uprawia drobne interesy handlowe, nie mające żadnego znaczenia dla Polski.

Z kolonii cudzoziemskich najzamożniejsza jest kolonia angielska, a następnie francuska. Kolonie włoska i japońska utrzymują się częściowo z palarni opium, domów gry i handlu narkotykami.

Najgorzej powodzi się rosyjskim emigrantom. Wyrzuceni przez rewolucję z ojczystego kraju, pędzą tu żywot nie do pozazdrosczenia. Konsulaty sowieckie nie opiekują się nimi zupełnie. Biedni ci ludzie, żyją z dnia na dzień. Ponieważ głód jest złym doradcą, więc i ich moralność stoi na najniższym poziomie.

W biurze okrętowym, przy ul. Asahi, kupujemy bilety na przejazd do Japonii. Dziwna rzecz, że otrzymujemy 50% zniżki, dlatego tylko, że jesteśmy misjonarzami. Więc tak daleko posuwają się w swej grzeczności Japończycy — poganie.

Nasze dokumenty misjonarskie jednak narobiły nieco kłopotu. Chodziło o język łaciński, w którym były napisane. Toteż urzędnik japoński, choć

władający biegle różnymi językami, zarumienił się, oświadczając, że takiego języka zupełnie nie zna...

Wieczorem spowiedź św. wielkanocna i uroczyste zebranie Polaków. Na dalekim wschodnim wybrzeżu Azji czuliśmy się jak w Polsce. Zasiadliśmy znowu do wspólnej wieczerzy. Wydawało nam się, że to jedna rodzina, jeden duch i serce jedno.

Przemawiają wszyscy ze wzruszeniem. Ta nuta wzruszenia i radości brzmi przez cały wieczór. W imieniu młodzieży polskiej w Chinach przemawia pięknym polskim językiem studentka p. S p i r y d o w i c z ó w n a. Wprawdzie nigdy Polski nie widziała, ale kocha młodzież polską, przyszłość wielkiego narodu polskiego i śle jej serdeczne pozdrowienia.

Już czas. O północy wychodzi nasz pociąg do pobliskiego T a n k u, a za dwie godziny okręt uwozić nas będzie do Japonii.

Wszyscy odwożą nas na dworzec. Każdy chce się przysłużyć. Więc wydzierają sobie nasze walizki, płaszcze i przybory podróżnicze. Inni wręczają nam drobne podarunki.

Ostatnie pożegnanie. Pociąg rusza. Powiewają chusty. Perłą się łzy. Niektórzy idą krok w krok za pociągiem. Ostatnie spojrzenie. Ostatni okrzyk:

Niech żyje Polska!...

Kochana Polska niech żyje-e-e-e!...

Kraj wschodzącego słońca

Pożegnanie Chin — Na pokładzie „Choan Maru“ — Japończycy — Japonia — Surowi, stróże prawa — Modzi — Tajemnica powodzenia — Na plebanii — Do Nagasaki.

Ostatnie chwile na chińskiej ziemi. Pociągami zdążamy do **T a n k u**, miejsca postoju „**C h o a n M a r u**“, statku, płynącego do Japonii.

W pociągu przepełnienie. Konduktor chiński zaprasza nas więc do przedziału służbowego, wyposażonego w umywalnię i kanapkę wyściełaną. Jesteśmy wzruszeni tą uprzejmością chińskiego urzędnika. Zresztą podczas całego pobytu w Chinach spotykaliśmy się z objawami grzeczności na każdym kroku. Sześćdziesiąt wieków kultury musiały jakoś wpłynąć na tutejszych ludzi.

Szkoda tylko, że wśród Chińczyków tak mało zrozumienia dla jedności państwowej. Dowodem tego walki wewnętrzne. Szkoda również, że obecnemu rządowi nie udało się jeszcze wytepić plagi bandytyzmu.

Oto dwa dni właśnie temu z Tientsinu wyjechał statek rzeczny do Tanku. Na pokładzie trzeciej klasy lokuje się około trzydziestu „biednych“

podróżnych. W rzeczy samej byli to uzbrojeni bandyci. Którzy w połowie drogi ubezwładniają załogę. Potem doszczętnie rabują pasażerów. Kilku bogatszych zabierają ze sobą na dżonki-żaglówki dla wymuszenia okupu.

Na dworcu w T a n k u rozgrywa się istna walka kulisów - tragarzy o nasze bagaże. Wydzierają je sobie bez miłosierdzia. Wreszcie siedmiu najsilniejszych wychodzi zwycięsko z tej walki.

Prowadzą nas, niosąc bagaże na plecach. Idziemy torem kolejowym, potem między wagonami sterzącego pociągu. X. Chodniewicz, mój towarzysz podróży, idzie za pierwszym kulisem, ja zamykam pochód. Robi się nam trochę nieswojo. Jest godzina pierwsza w nocy. Dokoła nie widać żywej duszy. Czyżby... Pokazuje się, że kulisi skrócili sobie drogę. Wnet bowiem ukazuje się dymiący korain „Choan Maru“.

Za godzinę już statek kołysze się na falach M o r z a Ż ó ł t e g o. My zaś poleciwszy się opiece Matki Najświętszej zasypiamy snem sprawiedliwych.

Na statku spędzamy trzy dni. Prócz nas jedzie jeszcze dwóch Anglików. Resztę stanowią Japończycy. Przypatrujemy się z uwagą skośnoocim mieszkańcom kraju, do którego zdążamy.

Uderza nas na pierwszy rzut oka idealny wprost porządek i czystość. W kabinie, w salach, na pokładzie wszystko aż się mieni. Od wczesnego ran-

ka marynarze japońscy na klęczkach szortują pokład. W ciągu dnia osobni porządkowi sprzątają najmniejsze odpadki.

Poza tym nadzwyczajne ukochanie piękna. Na ścianach obrazy, prawdziwe dzieła sztuki. Serwetki, ręczniki ozdobione artystycznymi wzorami. Na stołach, w narożnikach sal kwiaty ułożone miśternie. Tu i tam w donicach ulubione karłowate sosenki japońskie.

Japonki w długich barwnych kimonach, wchodząc do jadalni, oddają trzykrotny głęboki pokłon kapitanowi p. **K a m a k u r z e**. Kapitan wstaje i odwzajemnia się również trzykrotnym ukłonem. Potem kłaniają się w ten sposób znajomym.

Japończycy lubią bardzo dzieci. Uwija ich się sporo po pokładzie trzeciej klasy. Małe, różowe, tłuściuchne **k o d o m o** — dziecko, ulubieniec wszystkich. Kapitan Kamakura i inni oficerowie biorą je na ręce. Ono zaś uśmiecha się i nigdy nie płacze. Większe dzieci w różnobarwnych kimonach, szkarłatnymi getami - chodaczkami stąpają hałaśliwie i biegają po wszystkich pokładach. Nikt ich nie potrąci. Nikt nie powie przykrego słowa. Dziecko w Japonii to świętość.

Japończycy lubią się kąpać. Wszystkiego potrafią się wyrzec, trudno im jednak obejść się bez codziennej kąpieli. Dlatego i w najbiedniejszym domu znajduje się kadź, w której poszczególni członkowie rodziny zażywają upragnionej kąpieli.

Przy tym kąpią się we wodzie bardzo gorącej. Na naszym statku liczne łaźnie są zajęte od samego rana.

W poniedziałek, 2 marca ukazują się nam brzegi wyspy Kiusiu, wchodzącej w skład rdzennej Japonii, tej krainy Wschodzącego Słońca. Wita nas zwarty mur górski a na dole wąska smuga brzegu. Tak jest przeważnie wszędzie.

Przeważają góry a tylko w dolinach i na niższych zboczach gór usadowił się człowiek. I ten człowiek drobny, zgrabny i zawsze ruchliwy zżył się z tą ziemią, a ona mu daje wszystko, co do życia potrzebne.

Japończycy stoją na pokładzie, wpatrzeni w te góry i doliny ojczyste. Kraj swój kochają nad życie. Mówią, że ojczyzna ich jest piękna jako słońce, które nigdzie tak majestatycznie nie wschodzi jak w Japonii. Dlatego też słońce znajduje się w herbie państwowym: czerwona kula słoneczna na białym tle.

Japonia obejmuje 5 wielkich wysp i 600 mniejszych. Razem z posiadłościami kolonialnymi liczy Japonia 678 tys. kilometrów kwadratowych i 97 milionów mieszkańców.

W kraju tym panuje przeludnienie. Szczególnie przeludniona jest wyspa H o n d o, na której mieszka aż 47 milionów ludzi. Blisko O s a k i i K i o t o mieszka blisko 1000 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym. Toteż nie dziw, że Japo-

nia rozgląda się za nowymi krajami, dokąd mogła by kierować swoje wychodztwo.

Japonia jest krajem głównie rolniczym. 60% ludności, to rolnicy. Sieje się tu dużo ryżu, który jest najważniejszym środkiem spożywczym. Znaczna jest również uprawa herbaty. Rozpowszechniona jest także hodowla jedwabnika. Japonia stała się dzięki temu pierwszym krajem surowego jedwabiu na ziemi.

Zaden kraj nie posiada tylu rybaków, co Japonia. Przeszło 3 miliony mieszkańców trudni się rybołóstwem. Wartość połowu dochodzi blisko 1 miliarda jen (jen, dzielący się na 100 senów, równa się 1,50 zł).

Rozumie się, że rybacy japońscy są znakomitymi marynarzami. Dużo z nich zaciąga się do służby w japońskiej marynarce handlowej, która zajmuje trzecie miejsce pośród flot handlowych na całym świecie.

Przeciągły ryk syreny. Przystajemy na chwilkę. Przybija do nas mały parowczyk z policją japońską. Stróże bezpieczeństwa siadają z powagą za stołem.

Padają pytania bez liku. Kto, dokąd, czemu, po co? Lecz te tylko na wstępie. Potem coraz więcej w głąb. A więc imiona rodziców, dziadków. Gdzie kończyliście studia? Nawet najdrobniejszych szczegółów nie zostawia w spokoju srogi urzędnik w granatowym mundurze.

Wszystkie te szczegóły zapisuje jak najdokładniej japońskimi hieroglifami. Na końcu jeszcze dwa uroczyste pytania, czy naprawdę po raz pierwszy przybywamy tutaj i czy rzeczywiście chcemy tylko zwiedzić Japonię?

Nie bierzemy im za złe tego mozolnego śledztwa. Dowiedzieliśmy się bowiem później, że dużo agitatorów komunistycznych i szpiegów przybywa do Japonii. Toteż i sutanna simpu — ojca duchownego nie chroni przed podejrzeniem.

„Choan Maru“ wjeżdża do portu w **M o d z i**. Na brzeg przeprawiamy się łodzią motorową. Wiziemy oczywiście z sobą nasze bagaże. Czeką nas jeszcze druga przeprawa w urzędzie celnym. Każdą walizę rewidują po kolei jak najdokładniej. Szczególnie książki niepokoją sumiennych celników. Biorą do ręki każdą książkę z osobna. Nawet brewiarz kapłański nie uchodzi ich uwagi.

Najtrudniej było z aparatami fotograficznymi. Po co mi aż dwa aparaty? Czy czasem nie będę fotografował terenów fortyfikacyjnych? Przeglądają błonki już wywołane. Uspokajają się dopiero na widok zdjęć z kongresu eucharystycznego i pięknych krajobrazów filipińskich.

Ochłonawszy z tych wstępnych wrażeń, stawiamy pierwsze kroki na ziemi **N i p p o n u** — Japonii.

Idziemy ulicami 100 tysięcznego **M o d z i**. Bogate wystawy sklepowe, przed którymi wiszą

barwne chorągiewki reklamowe. Mniejsze kramiki z gustownie ułożonym towarem. Tramwaje, samochody najnowszej fabrykacji. Ludzie pogodni. Ubrani w kimona lub ubiory europejskie przesuwają się obok nas szybkim krokiem. Ze szkoły wychodzą właśnie uczennice, ubrane w granatowe mundurki i takie same kapelusze. Obok maszerują żołnierze. Mają na sobie szare polowe mundury. Na ramionach błyszczą karabiny, u pasa zwieszają się krótkie bagnety. Stąpają elastycznie na asfalcie ulicy. W oddali kłęby dymu unoszą się nad dziesiątkami kominów fabrycznych.

Oto Japonia, na którą zwracają się dziś oczy wszystkich. Z biednego państwa feudalnego stała się w ciągu osiemdziesięciu lat wielkim mocarstwem. Obecnie każdy prawie rok przynosi Japonii nowe polityczne sukcesy. Uporządkowana i planowa gospodarka zapewnia jej coraz większą potęgę, tak że nawet Ameryka zazdrości swemu potężnemu sąsiadowi tak fantastycznego rozwoju.

Czemu to wszystko przypisać? Panuje w tym kraju wielka solidarność. Każdy czuje się członkiem swej rodziny. Ją kocha, jej się nigdy nie wyprze, honoru jej nigdy nie splami. Każda zaś rodzina czuje się częścią wielkiego narodu japońskiego, któremu przewodzi T e n - n i n - S a m a — cesarz, najwyższy pomazaniec narodu.

Dla dobra ogółu podporządkowuje się jednostka każdemu poleceniu danemu z góry. Nikt nie

mędrkuje. Każdy słucha i to bezwzględnie — dla dobra ojczyzny.

Na niektórych domach widzimy zatknięte narodowe chorągiewki japońskie — białe z czerwonym słońcem w środku.

Dowiadujemy się, że z tego domu wzięto rekruta do wojska.

— A po co te chorągiewki? — pytamy.

— A bo to największe szczęście dla rodziny, że może syna oddać na służbę Japonii. Sąsiedzi, znajomi, gratulują jej tego zaszczytu — słyszymy odpowiedź.

Rozglądamy się jeszcze po mieście. Stwierdzamy, że miasto, ludzie przypadają nam coraz więcej do gustu. Jesteśmy oszołomieni pierwszymi wrażeniami. Nie zachwyca nas tak bardzo cywilizacja materialno - techniczna, którą sobie przyswoił naród japoński. Raczej czujemy podświadomie, że naród ten obyczajowo i duchowo stoi bardzo wysoko i że w przyszłości odegra wielką rolę w dziejach świata.

Przyswajamy sobie na gwałt choćby kilkanaście najpotrzebniejszych wyrazów japońskich, by nie być skazanym tylko na migi.

— Tensiu - kiokai — powtarzamy kilkakrotnie szoferowi, żeby nas zawiózł do kościoła katolickiego. Wnet też zajeżdżamy przed nieduży kościół na przedmieściu.

Przyjmuje nas uśmiechnięty młody Japończyk głębokim ukłonem. Jest to prawdopodobnie kościelny. Prowadzi nas do miniaturowego domku, mieszkania księdza. Wchodzimy na wąski korytarzyk. Przy progu stoją w rzędach słomiane z o r i — pantofle. Szkoda, że nikt nas nie poinformował. Tu bowiem trzeba było według obyczaju japońskiego zdjąć obuwie i nałożyć zori. Bo wejść w butach do obcego domu znaczy tyle, co znieważyć świadomie gospodarza.

Wchodzimy do następnego pokoiku, oczywiście w obuwiu. Za chwilę zjawia się młodzieńki X. O n i w a r a, proboszcz parafii. Nie gorszy się jednak naszym postępowaniem, bo wie dobrze, żeśmy nowicjusze na ziemi japońskiej.

Dowiadujemy się, że parafia liczy tylko 300 dusz, rozrzuconych po mieście i okolicy. Opowiada nam X. proboszcz o trudnościach w nawracaniu swych rodaków. Zajęci sprawami doczesnymi, nie mają czasu pomyśleć o nauce Chrystusowej.

Gdzie indziej nie jest wiele lepiej. W całej Japonii jest dotychczas tylko 105 tysięcy katolików.

— Trzeba wychować jak najwięcej księży japońskich — mówi nam X. Oniwara. Duchowieństwo krajowe jedynie może liczyć na sympatię Japończyków. Innych kapłanów łatwo posądzą o uprawianie polityki na rzecz państw europejskich.

Oglądamy potem nowy kościółek w stylu gotyckim. Wewnątrz wszystko się mieni. Porządek i czystość w każdym nawet kąciку. Ławek nie

ma. Wierni wchodzą boso lub w skarpetkach do wnętrza i klęczą na słomianych matach. Obuwie zostaje w przedsionku.

Idziemy z księdzem proboszczem jeszcze na pocztę, żeby nadać telegram do oo. Franciszkanów do Nagasaki, że przyjeżdżamy nazajutrz rano. Telegram kosztuje tylko 30 senów, czyli 45 groszy. Tak samo i znaczki pocztowe są trzy razy tańsze aniżeli w Europie.

W restauracji dworcowej dają nam na wieczrę herbatę i j a k i p a n — bułki opiekane.

O północy wielki stalowy k a n s i a — parowóz rusza z dworca, ciągnąc długi k i c i a — pociąg, składający się aż z 10 pulmanowskich k a s i a — wagonów.

Dojeżdżamy do N a g a s a k i. Wstaje precudny poranek wiośniany. W Kraju Wschodzącego Słońca wyłania się czerwona kula ognista z mroków nocnych. W łunie brzasków toną grzbieity skalne, pokryte fioletowymi smugami. Na zrębach karłowate sosny zaznaczają się czarnoniebieskimi sylwetkami. Tuż obok toru w ogrodach kwitną wiśnie, najukochańsze kwiaty ziemi Nipponu. Zwiastują one czaru pełną wiosnę japońską, jak to opiewa poeta T s u r a j u k i :

„...Ze wiosna w górach już gości,
Mówią nam płatki wiśniowe,
Strącone wiatrem z gór włości
Na chłodną cichą dąbrowę...“

Muqenzai no Sono

Młodzi szaleńcy — O. Kolbe — Opatrznościowe dzieje „Rycerza“ — Jego czytelnicy — Pogańskie odwiedziny — Małe Seminarium — Kodzima Terumi — Nowy rok szkolny — Zwycięski sztandar Niepokalanej.

Na dworcu w Nagasaki oczekuje nas brat Grzegorz z japońskiego Niepokalanowa. Pomaga nam załatwić kilka formalności w związku z bagażem. Po czym samochodem udajemy się do klasztoru. Leży on już poza miastem na wzgórzu w Hongosi.

Wspinamy się na górę po kilkudziesięciu stopniach z kamienia. To już wynik krwawej pracy ruchliwej braci zakonnej. Przedtem tu było szczerze pustkowie. Na górze cały szereg budynków klasztornych. Na jednym z nich króluje wielka figura Niepokalanej. Za Jej przyczyną zbudowano to wszystko. Ona i w przyszłości macierzyńską swą opieką otoczy to zbożne dzieło.

Wita nas uprzejmy o. Gracjan, zastępca o. Gwardiana klasztoru. O. Gwardian bowiem wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Podróż poprzez Ocean Spokojny odbył statkiem japońskim, pła-

cę za trzecią klasę tylko 70 jenów. Musiał on sypiać razem z Japończykami na matach słomianych, jadać ryż polewany soją i i m o — kartofle tutejsze. Lecz jak na dwutygodniową podróż, wydał niedużo. Resztę zaoszczędził dla sprawy misyjnej. Objeżdża on obecnie parafie polskie, wygłasza nauki i zbiera ofiary dla dalszej rozbudowy powierzonej sobie placówki.

Witają nas bracia, zawsze zadowoleni i uśmiechnięci. Młodzi szaleńcy, którzy dużo nie rozumieją, a których entuzjazm dla sprawy nawrócenia Japonii pcha do największych poświęceń. Niczym tęsknota za Polską, której już może nigdy nie zobaczą, niczym trudne warunki klimatyczne. To wszystko nic, mawiają. Byle Chrystusowi pozyskać jak najwięcej dusz. Bracia Celestyn, Alfons, Zenon zasypują nas pytaniami. Co słysząc w Polsce, jak było na kongresie?

Zjawiają się również bracia Japończycy, mali, krępi oraz jeden kleryk Koreańczyk. Przybiegają seminarzyści z małego seminarium. Niejeden z nich różowiułkie K o d o m o — dziecko jeszcze, ale każdy świadom swego powołania.

Idziemy do kaplicy, by odprawić Mszę św. W przedsionku zdejmujemy obuwie. Zwyczaj ten w tym miejscu w szczególniejszy sposób jest usprawiedliwiony. Wszak N a g a s a k i to miasto męczenników. Tu lała się krew męczeńska chrześcijańskich Japończyków. Tu żadne prześladowanie

nie potrafiło ich odwieść od Chrystusa. Toteż mimo woli przypominają się słowa Pisma św.:

„Zdejm obuwie, albowiem miejsce, na którym stoisz, święte jest...”

Po śniadaniu rozglądamy się nieco. Jest naprawdę co podziwiać.

Nie mamy słów uznania dla naszych gospodarzy, którzy z niczego zbudowali Niepokalanów japoński. Zwiedzamy wszystkie warsztaty i urządzenia. Wszędzie rozmach na miarę polskiego Niepokalanowa. Zadziwia nas szczególnie drukarnia. W ciągu tych sześciu lat powstało tu dzieło, które w nawróceniu Japonii wybitną może odegrać rolę. Wszak dzisiaj już wszyscy zdają sobie sprawę, że jedynie dobrze postawiona prasa katolicka może przygotować serca pod zasiew Prawdy Chrystusowej.

Tu więc drukuje się japoński „Rycerz Niepokalanej“ na razie w nakładzie 65 tysięcy egzemplarzy miesięcznie. Główna to zasługa o. Maksymiliana Kolbego.

Był luty 1930 rok. O. Maksymilian Kolbe wraz z 4 braćmi zakonnymi wzięwszy do ręki torbę podróżniczą, puścił się w drogę, by udać się na misje. Jada na daleki Wschód — do Chin czy Japonii, sami nie wiedzą dokąd. Pragną nawrócić jak najwięcej pogańskich dusz... Wysiadają w Szanghaju. Lecz trudności są tak wielkie, że muszą stąd wyjechać. Udają się więc do Japonii.

Okręt zatrzymuje się w Nagasaki. Pytają się o kościół katolicki. Ludzie im go wskazują. Lecz gdzie zamieszkać?

X. biskup Hayasaka lokuje ich w seminarium duchownym. Ucieszył on się bardzo o Maksymilianowi, bo właśnie potrzebował profesora filozofii dla swoich kleryków.

O. Maksymilian został więc profesorem. Lecz nie po to on tu przyjechał wraz ze swymi braćmi. Chodzi mu o wydawanie „Rycerza“ w języku japońskim.

Jest już miesiąc kwiecień. Jakby to dobrze było, gdyby w maju ukazał się pierwszy numer.

Błogosławieństwo Matki Najświętszej, wiara i nieugięty upór tych fanatycznych szaleńców Bożych przełamują wszystkie trudności.

25 maja nadchodzi do Niepokalanowa polskiego telegram: „Dziś rozsyłamy „Rycerza Japońskiego“. Mamy drukarnię. Cześć Niepokalanej! Maksymilian“.

Seibonokishi — „Rycerz Niepokalanej“ po japońsku, ukazał się w 10 tysiącach egzemplarzy i rozszedł się wszystek.

Nakład „Rycerza“ stale wzrastał. We wrześniu tłoczą już 15 000, w październiku 18 000 a w grudniu 25 000.

Zanim jednak do tego doszło, musieli się dużo nakłopotać. Z trudem wynajęli domek, w którym urządzili kaplicę, mieszkanie, drukarnię, administrację. Spali na garści słomy ryżowej. Deska

położona na pakach służyła za stół. Dla braku krzeseł siadywali na podłodze.

Mieszkając w wynajętym domku, rozglądają się jednak za jakimś terenem pod budowę własnego domu misyjnego. Daleko za miastem kupują plac na stoku góry nagasackiej. Tu więc budują własny dom. A już w maju 1931 r. przenoszą się wraz z wydawnictwem. Tak powstał M u g e n z a i n o S o n o — Niepokalanów japoński.

Jesteśmy mocno ciekawi, w jaki sposób zdobywa się tak licznych czytelników.

Tłumaczą nam to nasi gospodarze, że bardzo prostym sposobem. Bracia idąc na miasto, zabierają ze sobą teczki wypchane „Rycerzem“. Po drodze, w tramwaju lub ruchliwych punktach ulic, rozdają zeszyty bezpłatnie. Przy sposobności proszą o m e i s i — bilety wizytowe, które z wydrukowanym adresem posiada każdy Japończyk. Na te adresy wysyła się następnie już stale „Rycerza“.

Bracia jeżdżą również do innych miast w pogoni za nowymi adresami.

— A jakież jest plon tej oryginalnej działalności misyjnej, pytamy się z niemniejszym zaciekawieniem.

— Trudno to określić, słyszymy odpowiedź, ponieważ „Rycerz“ spełnia swoją misję cicho i bez rozgłosu. Jednakże „Rycerz“ działa. Dowodem tego coraz liczniejsze listy pogan, zwracające się z prośbą o jakieś wyjaśnienia albo o jakieś książki

katolickie, bo chcieliby poznać prawdziwą wiarę, katolicką.

— Po przeczytaniu „Rycerza“ przyszła mi myśl, by zapoznać się z religią katolicką. Czytam wasze piśmko. Zdaje mi się, że dostrzegł jasne światło wśród wzburzonego morza... Oto głosy czytelników, które nadchodzą codziennie do rąk brata Celestyna, redaktora.

Opowiadają nam jeszcze, że do klasztoru przychodzą często poganie. Najczęściej są to ludzie młodzi, którzy pragną się przypatrzeć życiu zakonnemu. Inni, co stracili wiarę w ojczyście bogi, pragną zasięgnąć rady w sprawach religii. Wśród gości bawił niedawno temu przełożony klasztoru buddyjskiego z K i o t o. Zainteresował on się życiem i pracą misjonarzy.

O. Gracjan prowadzi nas pod koniec do Małego Seminarium. Pod kierownictwem Ojców wychowują się tutaj przyszli misjonarze Japonii. Są na razie dwie klasy. Małeńcy seminarzyści হাসają wesoło.

— Następną klasę wyławia w tej chwili o. Mieczysław — uśmiecha się nasz przewodnik.

Dowiadujemy się, że kandydatów muszą Ojcowie sami wyszukiwać. Stąd o. Mieczysław jeździ od parafii do parafii i dobiera narybek. Czasami rodzice nie chcą się rozstać z swym ukochanym synkiem. Pięknie odpowiedział 12-letni Sicta swojej japońskiej mamusi:

— A co by było, gdybym wam teraz umarł?

Mali seminarzyści są niesłuchanie ułożeni. Są o wiele skromniejsi od naszych chłopców. O. Gracjan przedstawia nam ich kolejno.

Pięknie brzmią ich nazwiska — Hatori Ikuto, Eguci Miyosi, Kojima Sokici, Kumagawa Sazami, Sirahama Masaru, Takeuci Tomiyo, Sueyosi Haruo, **K o d z i m a T e r u m i**.

Ten ostatni umarł, jak się później dowiedzieliśmy, w kilka miesięcy po naszym wyjeździe. Była to pierwsza ofiara japońskiego Niepokalanowa. Chłopiec ten zapowiadał się bardzo dobrze, toteż już wówczas mówiona nam: **T e r u m i** wyrośnie na wielkiego człowieka, będzie chlubą i pociechą naszą.

Terumi czując, że koniec się zbliża, kazał zawołać swojego kolegę i powiedział mu: Ucz się dobrze i módl się, byś został kapłanem a gdy osiągniesz ten cel, wypowiadaj moją mamusię i pocieszaj ją. W ostatniej jeszcze chwili przyciskał krzyżyk do piersi i gorąco się modlił do Matki Bożej: **M a r i a, M a r i a, M a r i a S a m a, M e d e t a s i S e i c i o, m i c i m i t e r u M a r i a... M a r y j o, M a r y j o, M a t k o B o ż a, Z d r o w a ś M a r y j o, ł a s k i p e ł n a!...**

Każdy z chłopców kłania się nam nisko, uśmiechając się dobrotliwie. Chwali ich o. Gracjan, że są karni i że chętnie garną się do nauki. Chłopcy dobrze wyglądają mimo skromnego pożywienia. Jedzą oczywiście tylko potrawy japońskie. Eu-

ropejskich bowiem, a zwłaszcza chleba nie lubią. Podstawą ich pożywienia jest ryż. **G o h a n** — ryż jadają w czasie wszystkich posiłków, z tym, że ulubiona potrawa narodowa przybiera inne tylko nazwy — na śniadanie **a s a g o h a n** — ranny ryż, na obiad **h i r u g o h a n** — południowy ryż, na kolację **b a n g o h a n** — wieczorny ryż.

Opowiada nam o. Gracjan, że we wszystkim trzeba się zastosować do zwyczajów japońskich. W seminarium odbywają się też wszystkie uroczystości, przepisane państwowym prawem szkolnym. Oto jak np. odbywa się rozpoczęcie **n y u g a k k u s i k i** — roku szkolnego.

W sali szkolnej ustawiają na stole małą skrzyneczkę, okrytą białym jedwabiem. W skrzyneczce tej znajduje się **c z o g u k o** — formuła wierności dla cesarza. Gdy już wszyscy są zebrani, obecni na dany znak składają głęboki pokłon w stronę skrzyneczki. Następnie stojąc na baczność, śpiewają dwukrotnie hymn narodowy „**K i m i g a y o**“. Po czym jeden z profesorów, najstarszych wiekiem, kłaniając się głęboko w stronę skrzynki, zbliża się do niej w skupieniu, powoli i uroczyście. **Z** czcią i powagą wyjmuje z niej rulonik, rozwija go i z namaszczeniem odczytuje treść na nim wypisaną. W tym czasie stoją wszyscy z pochylonymi głowami. Po tym akcie, **z**nowu głęboki pokłon i odniesienie rulonika z zachowaniem specjalnego ceremoniału do ozdobnej szafki, gdzie się go stale przechowuje. Potem dopiero

odbywa się zwyczajna uroczystość według ustalonego programu.

Dowiadujemy się jeszcze od naszych gospodarzy coś niecoś o metodach wychowawczych w szkołach japońskich. Wychowawca rozwija w swoich uczniach przede wszystkim uczucie i charakter. Kładzie nacisk głównie na *N i g i - m i - t a m a* — łagodność i *A r a - m i - t a m a* — męstwo.

Poza tym uczą ich podstawowych 14 — zasad, które muszą być wprowadzone bezwzględnie w życie: 1. sumienność; 2. sprawiedliwość; 3. poszanowanie prawa; 4. poświęcenie siebie; 5. karność wobec rodziców i zwierzchników; 6. uczynność i prawość; 7. obowiązek i prawość, wypływające wyłącznie z rozumu; 8. zapał ofiarny; 9. współczucie wobec niedoli; 10. odwaga; 11. waleczność męska; 12. panowanie nad sobą; 13. prawdęmówność; 14. uprzejmość.

Mugenzai no Sono — to wielka i święta rzecz. Ze wzgórza Hongosi idą blaski wiary prawdziwej na piękny kraj *J a m a t o*. Na tym wzgórzu gotują się kadry rodzimego duchowieństwa, które niezadługo rzucą się w wir walki o szlachetną japońską duszę. Cześć tej gromadce polskich bohaterów, co tak mężnie trwa i trwać będzie — Chrobrych obyczajem. Żadna burza nie zgasi ich polskiego zapału. Żadne wołanie zwodnicze nie zepchnie ich z raz obranej drogi. Na wzgórzach *H o n g o s i* powiewa zwycięski sztandar Niepokalanej.

Nağasaki, miasto męczenników

Św. Franciszek Ksawery — Bogini Kwannon — Odnalezienie chrześcijan — Hanare — Kościół w Urakami — Na wyspie Jodzima — Pożeganie.

Było to w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej 1549 r. Na brzegach Japonii blisko **B u n g o** ukazał się żaglowiec. Gdy przybił do brzegu zdumienie ogarnęło stojących na brzegu tubylców. Bo oto wyszedł ze statku człowiek o jaśniejącym obliczu, o niezwykle dobrych oczach. Był ubrany w czarną suknię, przepasaną czarnym pasem. Z ramion zwisał mu długi płaszcz, również czarny. I ustawił ołtarz blisko brzegu i odprawiał obrzędy tajemnicze i niezrozumiałe dla obecnych. Po czym mówił o nieznanym dotąd Bogu. Mówił tak serdecznie ten dobry człowiek, tak jak dotychczas nikt nie przemawiał.

Był to św. **F r a n c i s z e k K s a w e r y**. Wpływ jego osobisty był tak wielki, że ludzie zaczęli się nawracać. Przybyli jeszcze inni misjonarze. Nawróceń było coraz więcej. Nawet potężny książę

O m u r a S u m i t a d a nawraca się wraz z całym dworem. Liczba chrześcijan dochodzi już do 600 tysięcy.

Tak było do roku 1597. Lecz wtedy zaczynają się intrygi przeciw chrześcijanom. Surowy s z o g u n — możnowładca T a i k o S a m a wypędza wszystkich misjonarzy. Praktyk chrześcijańskich zakazuje pod surowymi karami.

Chwytają opornych, w tym 13-letniego Antoniego i małego Ludwika, liczącego zaledwie 11 lat. Na wzgórzu T a t e j a m a w Nagasaki wzniesiono 26 krzyży. Połała się pierwsza krew męczeńska w obronie wiary.

Tu zginął nasz rodak nieustraszony o. W o j c i e c h M ę c i ń s k i T. J. Zawieszony na belce i zakopany głową w jamie, Bogu oddał swego bohaterskiego ducha w r. 1643.

Krew męczeńska leje się i w innych miastach. Konfiskują majątki, okrętami wywożą wiernych na dalekie wyspy. Nie ma wśród nich ani jednego misjonarza. Zbierają się w ukryciu i odprawiają sobie nabożeństwa. W rzeczach wiary św. więcej obeznani głoszą im naukę, uczą katechizmu.

Figurka buddystycznej bogini miłosierdzia K w a n n o n z dzieckiem na ręku tak podobna jest do Matki Boskiej. Więc przed tą figurką modlą się do Bogarodzicy. Wpadają do domu siepacze. Na troniku bogini Kwannon, a więc nic nie sprzeciwia się rozkazom możnowładcy...

Tak było do roku 1865. Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie w Japonii. Cofnięto dawniejsze surowe zakazy. Chrześcijanie japońscy wyszli z katakumb.

O. Gracjan pokazuje nam miasto i okolicę. Jeździemy obok góry T a t e j a m a, miejsca stracenia japońskich chrześcijan. Miejscowi katolicy wykupili to miejsce. Nie wolno tam jednak wznieść krzyża. Więc biały słup ustawiono tam na pamiątkę. Kilkanaście kroków dalej zbudowano figurę Buddy — jakby na urągowisko.

W dniu 5 lutego odprawiają się rokrocznie podniosłe uroczystości na tej pamiętnej górze Tatejama.

Zajeżdżamy przed katedrę. Przy wejściu oglądamy napis umieszczony u stóp figury Matki Boskiej:

N a p a m i ą t k ę z n a l e z i e n i a c h r z e ś c i j a n — 1 7 m a r c a 1 8 6 5 r.

W tym czasie przybył tu jako pierwszy misjonarz o. P e t i t j e a n i zbudował ten kościół. Nie wiedział przy tym, że istnieją tu jeszcze starzy chrześcijanie. Wtem pewnego razu przychodzi do niego ukradkiem grupa niby to pogan, pytając się go o naukę, którą głosi. Bali się bowiem podstęp. Wyłożył im misjonarz naukę, którą oni sami dobrze znali. Lecz jeszcze się lękali. Więc pytają go:

— Czy wierzysz w tę Panią, która jest Matką Syna Bożego?

Wówczas zaprowadził ich o. Petitjean przed figurę Matki Boskiej. Nie było już wątpliwości. Jedna z wieśniaczek szepnęła mu do ucha:

— Ojce, my mamy to samo serce, co ty...

Wnet i inni zaczęli powtarzać te same słowa. Potem już na głos odmawiali pacierze i litanie do Matki Boskiej, jak się od rodziców nauczyli. Było to wielkie święto radości. Pierwsze sakramenta św. po 250 latach. Pierwsza Msza św., o której istnieniu już zapomnieli.

Owce odnalazły pasterza. Ci, co byli zginęli, zostali odnalezieni.

Nie wszyscy jednak przyszli. Niektórzy w nowoprzybyłych misjonarzach nie uznali przedstawicieli tejże samej religii, której pierwsi misjonarze nauczali ich przodków. Pozostali więc przy dawnych swych praktykach, jakie mieli podczas nieobecności misjonarzy.

Podziwiać należy, że mimo braku kapłanów, zachowali swą wiarę, przekazując ją jak również i oryginalne modlitwy liturgiczne z pokolenia na pokolenie. Rozumie się, że wyrazy łacińskie zostały spaczone. Ot np. jak brzmi u nich litania loretańska :

Kirie renzo

Kiriste renzo

Kiriste aude nobis

**Kiriste dziaude nobis
Maiter dedzirasi Deus midziriri nobis...
Santa Maria ura ura nobis
Santa Deyadziu michibisi ura ura nobis
Santa Birgo birdziu ura ura nobis...**

Wszystkie prawie modlitwy skierowane są do Matki Najśw., którą czczą w szczególniejszy sposób.

Osobnych kościołów nie mają. Mają między sobą coś w rodzaju biskupa, który nazywa się *czogata*. Chrztu św. udziela osobny duchowny zw. *mizukata*. Pomaga mu przy udzielaniu chrztu *toritsugiyaku*. Jego zadaniem jest odmawianie modlitw w czasie udzielania tegoż sakramentu.

Formuła Chrztu św. brzmi: *Yokote* (z pewnością *ego te*) *bacizmonomizuinomune Pater et Hirio, et Serito sancu. Amen.*

Po wymówieniu słów, *mizukata* polewa czoło dziecka wodą. Następnie *toritsugiyaku* bierze 3 kieliszki i 3 miseczki i ułożywszy na nich surową rybę, ofiaruje ją Bogu. Równocześnie odmawia Ojcze nasz i Zdrowaś, powtarzając te modlitwy przez długi czas.

Hanare — jak ci biedni odszczepieńcy się nazywają — zachowują również i święta katolickie. Najuroczyściej obchodzą Boże Narodzenie i Wielkanoc. Przed świętem Bożego Narodzenia nie śpią przez całą noc. W tym czasie dużo się modlą. Przez cały czas po Bożym Narodzeniu zachowują

się jak najspokojniej. Tłumaczą to tym, że Matka Boska po Bożym Narodzeniu jest słaba i potrzebuje spokoju..

Czy kiedy te dusze nawrócą się do prawdziwej wiary? Może Matka Najśw., do której mają tak czułe nabożeństwo, skieruje ich na drogi prawdziwej wiary.

Nie zastajemy już X. biskupa H a y a s a k a. Przed tygodniem opuścił on Nagasaki, rezygnując z powodu choroby ze stanowiska. Spotykamy się z X. U r a k a w a, wikariuszem generalnym. Pokazuje nam małe muzeum starożytności chrześcijańskich z czasów prześladowań. Patrzymy ze czcią na te stare modlitewniki, różańce, figurki Kwannon, przechowywane w tajemnicy przed siepaczami.

Jeszcze większe wrażenie wywiera na nas kościół w U r a k a m i, największy w Japonii. Proboszczem jest tutaj X. M o r i j a m a, pochodzący z rodziny męczenników za wiarę św. Budujemy się pobożnością miejscowych katolików. Jest ich wprawdzie niedużo, za to wszyscy nadzwyczaj gorliwi.

Spotykamy dużo ludzi adorujących Najświętszy Sakrament. Kobiety nakryte białymi welonami klęczą na matach po prawej stronie. Dużo także mężczyzn. Niektórzy z nich idą do spowiedzi św. Boso lub w skarpetkach zbliżają się z wielką czcią

do konfesjonatu. Odchodzą skupieni ze spuszczo-
nymi oczyma. Potem modlą się żarliwie, raz po
raz pochylając się głęboko ku ziemi.

Przy wyjściu z kościoła małe dzieci pozdrawia-
ją nas po japońsku, otaczając kołem.

Wybieramy się motorówką na wyspę Iodzi-
ma. Tu i na sąsiednich wyspach znajdują się
liczni katolicy, potomkowie dawniejszych męczen-
ników.

Jedziemy przeszło godzinę przez zatokę, oto-
czoną wspaniałymi górami. Obok nas pluskają
ryby, kotłują wiry. Zbliżamy się do wyspy. Z da-
leka widać piękny kościółek gotycki na wzgórzu.
Zbudowano go 8 lat temu, gdyż poprzedni zniszczy-
ła burza. Zbudowali go biedni rybacy katolicy
z własnych funduszów. Kościółek cały z żel-be-
tonu, by mógł się oprzeć burzom i częstym trzę-
sieniom ziemi.

Rybacy witają nas głębokim ukłonem. Niektó-
rzy suszą sieci i ryby. Inni wybierają się na po-
łów. Dowiadujemy się, że na rannej Mszy św.
bywa codziennie nieraz do 300 osób, mimo, że pa-
rafia liczy tylko 800 dusz.

Ujrzała nas japońska staruszka. Nie posiada się
z radości, że widzi od razu tylu simpu — księży.

— K o m b a n - w a — dobry wieczór!

— I k a g a - d e s k a — jak się macie? — wo-
ła na głos.

Blisko kościoła znajduje się domek, który pamięta czasy prześladowań. Tu poddawano wierznych torturom, by ich skłonić do odstępstwa. Kazano im dniami całymi klęczeć na drobnych kamyczkach lub ostrokanciastych drewnach. Na łydki kładziono ciężkie kamienie. Wszystkim skonfiskowano cały dobytek. Niektórych skazano na wygnanie. A oni wytrwali mimo wszystko. Bohaterzy Chrystusowi. Godni następcy rzymskich męczenników.

Słońce zachodzi nad zatoką. Obłoki się palą jak rubiny. Motorówka odbija od brzegów. Dwie chrześcijanki, nie bacząc na pogańskie otoczenie, klękają na pokładzie i w głębokim skupieniu odmawiają pacierze. W kościółku dzwonią na Anioł Pański...

Już czas wyruszyć w dalszą drogę. Brat Zenon zdobywa jeszcze nieco zbiorów dla potulickiego muzeum. Od znajomych bonzów — duchownych buddyjskich, wyłudza przepaski liturgiczne, habit bonzowski i koński ogon dla odpędzenia złych duchów...

O. Gracjan i kochani Bracia wiozą nas do portu. Za chwilę statek „Changhai-Maru“ opuszcza zatokę. Żegnamy po raz ostatni Nagasaki — miasto męczenników i misyjnych bohaterów. Malownicze góry i grzbiety skalne, pełne majestatu wołają nam — „żegnajcie...“ Było to 4 marca.

A dzień był złocisty, niebo turkusowe,
Podobne wielkiej kopule sklepionej...

Kobe, Osaka, stalowe serca Nipponu

Przez Morze Wewnętrzne — Kobe — X Faget — Droga męczęńska Polki — Wśród rodaków — Manchester japoński — W konsulacie polskim — Prasa — Japońska wieczerza.

Opuszczamy **N a g a s a k i**, miasto męczenników. „**C h a n g h a i - M a r u**“, utrzymujący stałą komunikację między Japonią i Chinami, wyjeżdża z zatoki. Płyniemy wzdłuż wybrzeży Japonii. Dalekie grzbiety górskie, dzięki przejrzystości atmosfery japońskiej, są widoczne jak na dłoni. Japonia ma powietrze dziwnie przezroczyste. Dużo tu słońca, a mgły są tu prawie nieznanne.

Nazajutrz rano mijamy **M o d z i i S i m o n o s e k i**, dwie warownie nadmorskie. Chowamy nasze aparaty fotograficzne na dnie waliz, żeby nie wywołać niepotrzebnego podejrzenia. W tych obwodach nie wolno bowiem fotografować i to pod groźą niemałych kar. Jadąca tym samym statkiem Angielka miała z tego powodu dużo nieprzyjemności.

Wjeżdżamy na Morze Wewnętrzne, które główną wyspę Hon do oddziela od południowych wysp Kiusziu i Szikoku. Morze tu urozmaicają tysiące wysepek skalistych lub zielonych, wynurzających się z szafirowej toni.

Wstaje poranek słoneczny, czarujący grą barw i cieni. Płyniemy blisko brzegów. Widzimy gołym okiem zamczyska, świątynie, figury pogańskie. Na wzgórza wdzierają się drobnutkie pólka ryżowe. Wszak Japończyk wyzyskuje każdą piędź ziemi. Każdy metr kwadratowy, znajdujący się choćby między najdzikszymi skałami, jest uprawiony. Jest to prawie konieczne ze względu na brak ziemi uprawnej. Przecież pięć szóstych powierzchni owej pięknej Japonii to pustkowie, skały lub zgorzeliska wulkaniczne. Na tej szóstej części żyją ludzie stłoczeni tak gęsto, jak nigdzie na świecie. Nie dziw też, że ziemia bywa tu uprawiana z największą pieczołowitością.

Wynik tej zapobiegliwości jest ten, że Japończyk z jednego obsianego hektara zbiera przeciętnie jeszcze raz tyle, co Niemiec chełpiący się wysoką kulturą rolną.

Japończycy są dumni ze swej ojczyzny. Toteż raz po raz rzucają pytanie, czy i nam się podoba.

P. K a m a k u r a, nasz towarzysz podróży, wpatrzony w ten bezmiar piękna, deklamuje ładny wiersz S a d a d z i o r i, który w przekładzie polskim brzmi jak następuje:

Nad brzegiem Udzi blaknie mrok,
już ranne słońce świeci,
w omglonej dalej ginie wzrok,
nad brzegiem Udzi blaknie mrok...
Widzę rybacką żerdź co krok,
suszą się mokre sieci —
nad brzegiem Udzi blaknie mrok...
już ranne słońce świeci.

Zajeżdżamy do **K o b e**, obok **Jokohamy**, największego portu w Japonii.

W porcie obok motorowych kutrów rybackich wspaniałe transatlantyki. Z portu widać całe miasto jak na dłoni, bo zbudowano je amfiteatralnie na stoku górskim. Czarne dymy chwieją się nad Kobe. Pełno fabryk, które dziś prawie wszystkie wytwarzają amunicję.

Wszak Kobe i sąsiednia **Osaka**, to centrum przemysłu Japonii — **s t a l o w e s e r c a N i p p o n u**...

Po rewizji paszportów wiezie nas **d z i d o s i a** — samochód z portu do miasta. Zatrzymują jeszcze nas grzeczni policjanci japońscy, by się przekonać, czy bagarze nasze zaopatrzone są w kartki ze **znakiem** odprawy celnej. Salutują potem z uśmiechem **na dowód**, że wszystko w porządku.

Przecinamy najpierw dzielnicę portową. Dużo tu domów w budowie. Oryginalne są tu rusztowania z tyk bambusowych, związane bambusowym łykiem. Szyldy reklamowe porozwieszane pionowo są wypełnione misternymi znakami.

Jedziemy ulicą *Motomasi*, najpiękniejszą ulicą *Kobe*.

Skręcamy następnie w ulicę *Konwaliową*. Z pochylonych pałaków latarni elektrycznych, zawieszonych na strzelistych słupach, zwisają białe okrągłe lampy w kształcie dzwoneczków konwalii. Podobne łuki z lampami przeistoczonymi w łodygi konwalii znajdują się i na innych ulicach.

Dojeżdżamy wreszcie do kościoła pod wezwaniem *Najśw. Serca Pana Jezusa*. Przyjmuje nas w gościnę *X. Faget*, stary misjonarz z paryskiego Seminarium Misyj Zagranicznych. Jest on zarazem wikariuszem generalnym biskupa, mieszkającego stale w sąsiednim mieście *Osaaka* i proboszczem 500 katolickich cudzoziemców, rozproszonych w milionowym *Kobe*.

Ponieważ jest tu i kolonia polska, więc *X. Faget* duszpasterzuje także Polakom. Nie rozumie on niestety po polsku ani słowa.

Za chwilę już wpada na plebanię Polka p. *Maria Awgunowa*, która będąc w kościele, dowiedziała się o naszym przybyciu. Zdaje się nam, że postrada zmysły z radości. Całuje po rękach, płacze i ciągle jeszcze nie może wymówić ani słowa.

— Jezuchnu kochany, co za szczęście — woła jękliwie, kiedy minęło wzruszenie.

Opowiada nam, jak właśnie modliła się w kościele, patrząc z zazdrością na przystępujących do spowiedzi św. wielkanocnej.

— A człek mizerny ni to po japońsku ni po francusku nie umie i tak lata mijają bez Komunii św. — żali się starowina.

Dziś zaś szczególnie gorąco modliła się do Serca Bożego, by wysłuchał biedną sierotę. I tak się też stało.

— A skąd się to pani wzięła aż w Kobe? — pytamy ją zaciekawieni.

Uradowana rodaczka nakreśliła pokrótce koleje swego życia. Urodzona pod Lublinem, wyjechała jeszcze przed wojną do Władywostoku wraz z mężem. Przyszli bolszewicy, męża zastrzelili, zabrali wszystko. Ciężkie było życie zwłaszcza, kiedy aresztowano kapłanów.

Postanowiła więc uciekać. Sprzedała ukryte przed bolszewikami kosztowności. Otrzymała za nie 300 jenów japońskich. Pieniądze te wręczyła dwom komunistom, którzy ją mieli przeprowadzić potajemnie przez granicę. Przy sobie miała tylko książkę do nabożeństwa, różaniec i kilkanaście jenów.

Ciężka to była przeprawa podczas burzliwej nocy. Czołgali się na czworakach od krzaczka do krzaczka. Wtem ich spostrzeżono. Zasypano ogniem karabinowym. Jeden z towarzyszących jej przemytników jęknął boleśnie ugodzony kulą w brzuch. Ona zaś zrywa się z ziemi i pędzi na oślep przed siebie. Świszczą kule, a ona ciągle prze naprzód, pada w kałuże, to znowu powstaje,

byle tylko uciekać. Wreszcie złana śmiertelnym potem ślania się na ziemię i traci przytomność...

Budzi się nazajutrz i zbliża się ostrożnie do wioski. Dowiaduje się, że znajduje się już w Mandzurii. Idzie o zebrany chleb od miasteczka do miasteczka, aż wreszcie w Dairenie otrzymuje służbę u polskiego żyda. Po kilku latach żyd ten przenosi się do Japonii, a ona z nim. I tak znalazła się w Kobe.

Kiedy dowiedziała się, że w Potulicach powstało Seminarium Zagraniczne, które przygotowuje misjonarzy dla wszystkich Polaków zagranicą a więc i na Dalekim Wschodzie, uradowała się niezmiernie. Zaczęła od razu szukać w kieszeni, a wyciągnąwszy 1 jena, wciska mi go gwałtem do ręki.

— To na tych misjonarzy!

Bronię się, tłumaczę, wreszcie kapituluję na słowa:

— Książulku, bo będzie mi żal...

Ustalamy jeszcze godziny spowiedzi św., nabożeństwa polskiego i żegnamy się z naszą rodaczką. Wyruszamy do miasta na poszukiwanie dalszych Polaków.

Idziemy szerokimi bulwarami, przyglądamy się nowoczesnym wystawom sklepowym.

Można w sklepach tych wszystko nabyć, czego tylko dusza zapagnie. Trzeba jednak dodać, że Japończycy kopiują też wszystko, począwszy od flakonów z perfumami — aż do amerykańskich

piór wiecznych. Naśladownictwa wykonane są z taką dokładnością, że je trudno odróżnić od oryginałów.

Przy ulicy obok słupów lamp łukowych rosną wierzbki płaczące. Balony na uwięzi wloką za sobą flagi reklamowe. Fantazyjne napisy na flagach zawiadamiają o widowiskach i koncertach.

W Kobe przeważają małe domki jednorodzinne. Brak domów czynszowych jest cechą charakterystyczną wielkich miast Japonii. Mieszczanin japoński ubrany po europejsku wychodzi rano ze swego domku, zbudowanego z drzewa, bambusu, i papieru i udaje się do fabryki czy biura. Wieczorem gdy wraca, ubiera się znowu w kimono, spożywa rybę surową i sałatę z liści hryzantemów i myśli po japońsku...

Obok nas przelatują d e s i e — tramwaje i nie-duże samochody o pięknych liniach opływowych.

Zadziwia nas niezliczona ilość rowerzystów. Nie dziw, bo rower kosztuje tu 15 jenów. Jeżdżą tu ludzie nie tylko dla przyjemności. Duże bagażowniki, umieszczone za siedzeniem, są zapchane paczkami, butelkami, a nawet warzywem. Nicco większe k o d o m o — dziecko jeździ również na rowerku, który pomalowany jest zazwyczaj na kolor czerwony.

W Kobe jest około tysiąca publicznych zakładów kąpielowych. Widzimy całe szeregi mężczyzn spieszących do łaźni. Kąpiel kosztuje 5 senów — 7 groszy. Tam siedzą sobie jeden obok drugiego za-

nurzeni w gorącej wodzie. To jest największa przyjemność Japończyka. Bez codziennej kąpieli nie potrafiłby żyć.

Stajemy przed składem cukierków, nad którym widnieje wielki napis *Varsovienné* — Warszawianka. To chyba Polak, myślimy sobie i wstępujemy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiada nam zdziwionym głosem właścicielka, stojąca za ladą.

Wnet zjawia się jej mąż, p. *Hanis*, rodem z Warszawy. Wyjechali z Polski pięć lat temu, by poprobować szczęścia na Dalekim Wschodzie. Osiedli najpierw w Szanghaju. Klimat im jednak nie służył, więc przyjechali do Japonii. Powodzi im się dobrze. Sami fabrykują cukierki, które wśród Japończyków znajdują licznych odbiorców. Wysyłają już towar nawet do Tokio i Charbina, gdzie go polskie placówki reklamują także wśród korpusu dyplomatycznego.

Idziemy dalej. Po drodze wstępujemy na posesiek do jadłodajni. Okazuje się, iż kierownikiem jest tu Polak, p. *Witold Pepol* z Wilna. Ta sama radość, jak gdzie indziej, że po tylu latach w tym morzu pogaństwa spotyka znowu księży rodaków.

I tak powoli przekonaliśmy się, że jest tu spora gromadka Polaków. Jak zresztą w każdym większym mieście na świecie...

Wszędzie rozbrzmiewa mowa polska, wszędzie za polskim wychodźcą wlecze się tęsknica — człowieczy, polski ból...

Nazajutrz rano spowiedź św. Polaków i nabożeństwo. Potem udajemy się do pobliskiego O s a k a.

Wspaniały nowoczesny dworzec kolejowy w Kobe jest położony na wzgórzu. Megafony wykrzykują godziny przyjazdu i odjazdu pociągów. A s a b o — tragarze uwijają się z niewiarogodną zwinnością.

Drgnął parowóz nowoczesnego k i u k o — ekspresu. Pociąg wypełza z dworca. Pozostający na dworcu oddają głęboki pokłon w stronę odjeżdżających. Słychać setki głosów s a j o n a r a, s a j o n a r a — dowidzenia...

Osaka liczy 3 miliony mieszkańców. Japończycy nazywają je z dumą „M a n c h e s t r e m j a p o Ń s k i m“.

Jest to miasto zarazem historyczne. Już w VI wieku przed Chr. przebywa tu mądry cesarz Dzimmu - Tenno a później cesarz N i u t o k u czyni je stolicą państwa.

Dziś jest to miasto na pokaz. Niezliczona ilość nowoczesnych fabryk, ogromne gmachy, bogate domy towarowe M i t s u k o s i, T a k a s i m a j a, M a t s u r a k a j a, kolej podziemna, stadion sportowy dla 70 tysięcy widzów, to wszystko robi wrażenie.

Jedziemy nasamprzód do fabryki **General Motors**. Jest tu inspektorem Polak p. inżynier **Haertle**, rodem z Zaniemyśla. Radość wielka no i program od razu gotowy.

— Zawiozę księży najpierw do konsulatu polskiego — zawyrokował nasz rodak, przebywający już od 20 lat w Japonii.

W Osaka polskim konsulem honorowym jest Japończyk p. **Matsuka**, znany senator i milioner. Urząd ten piastuje z sympatii dla Polski. Sam opłaca piękny lokal, w którym się mieści konsulat, a także urzędników.

Z daleka już wita nas sztandar polski, a przy wejściu Orzeł Biały. W konsulacie zastajemy sekretarza p. **Jasumuro**.

— Ja też znam Polskę i byłem w Warszawie — woła do nas w języku francuskim miły Japończyk.

Pytamy go się, jak mu się w Polsce podobało.

— Jedno co mnie cudzoziemca w Polsce uderzyło, uśmiecha się **Jasumuro**, to brak entuzjazmu i radości życia, zwłaszcza wśród młodzieży. Za drogie u Was książki, łazienka i pasta do zębów...

Następnie opowiada nam, o stosunkach handlowych Japonii z Polską. Pokazuje nam, ile śląskiej blachy cynkowej i wyrobów polskich sprzedano za pośrednictwem konsulatu.

— Tego roku nawet polskie buraki cukrowe będą rosły w Japonii — śmieje się p. **Jasumuro**, dodając, że 80% wszystkich nasion buraczanych wprowadzono z Polski.

Pokazują nam osobliwości miasta. Zwiedzamy więc słynny zamek warowny z XVI wieku, zbudowany na rozkaz Tojomi Hideiosi, „Napoleona japońskiego“. W zamku tym mieści się piękne muzeum z zabytkami sztuki japońskiej. Spotykamy tam liczne wycieczki chłopów japońskich, w długich czarnych pelerynach, którzy pod kierownictwem przewodników oglądają pamiątki.

Odwiedzamy też słynny dom prasy „Osaka Mainici“. Dziennik ten wychodzi w nakładzie 1 mil. 300 tys. egz. Konkurencyjny dziennik „Osaka Asahi“ ma nawet półtora miliona nakładu a wielki koncern wydawniczy „Sedzi Noma“ wydaje 9 gazet dla 10 milionów czytelników.

Jak widać, Japończyk lubi i umie czytać, mimo, że nauka czytania pochłania dużo czasu. Chodzi przecież o przyswojenie sobie kilku tysięcy niełatwych znaków. Toteż tym więcej zastanawia, że w Japonii analfabetów prawie że nie ma.

Podziwiamy wielką drukarnię, wyposażoną w najnowsze maszyny rotacyjne. Dziennik ten posiada własne samoloty a do komunikacji z okolicami mniej dostępnymi używa gołębi pocztowych.

— Prasie polskiej, życzę jak największego rozwoju — rzuca nam na pożegnanie redaktor działu zagranicznego, oprowadzający nas po rozległych salach wspaniałego gmachu.

Dałby Bóg, żeby i u nas tak rozwinęło się czytelnictwo a zwłaszcza katolickie. Będzie to niewątpliwie z korzyścią także dla sprawy Bożej.

Tegoż dnia wieczorem korzystamy z zaproszenia p. Haertlego, by w pewnym domu japońskim spożyć wieczerę. Zaproszeni są również p. prof. B a b a i p. J u t a k a M a j e d a.

Na wstępie wita nas pani domu tutejszym zwyczajem na klęczkach. Zdejmujemy obuwie. Wchodzimy do pokoju wyłożonego jasno-żółtymi t a t a m i — matami. W pokoju nie ma mebli. Jedyłą ozdobą to artystyczne wazony z kwiatami oraz k a k e m o n o — obraz na ścianie. Siadamy w kucki przy maleńkich stoliczkach wysokości kilku cali. Za chwilę wnoszą wszelkie przybory do sporządzenia ulubionej potrawy japońskiej „s u k i j a k i“. Na niskim piecyku — h i b a s i — rozpalonym węglem drzewnym pani domu przygotowuje potrawę na oczach wszystkich. Na patelni kładzie wprawna ręką kawałki mięsa, ryb i jarzyny.

Zapach smażonego mięsa rozchodzi się po pokoju. Wnet już wszystko gotowe. Misterne miseczki napełniamy japońskim delikatesem. Nie odbywa się to tak łatwo, ponieważ z obowiązku posługujemy się drewnianymi pałeczkami. Do maćpuchnych filiżaneczek dolewają nam bezustannie s a k e — ciepłe wino ryżowe.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te nasze polskie nogi, nieprzyzwyczajone do siedzenia w kucki. Więc pocierpły nam i zeszywniały. Zmieniamy więc pozycję. Resztę wieczerzy spożywamy na klęczkach.

Pan Haertle opowiada. Mówi o ludziach i zwyczajach miejscowych. Kobieta japońska ubiera się tak samo, jak przed wiekami w kwieciste kimono, układa poemata z więzi kwiatów, z gałązek krzewów. Przyrządza herbatę w filigranowych artystycznych czajnikach. Serce i duszę Japonki przenika nieogarniony entuzjazm patriotyczny, mający charakter religijnej ekstazy. Największa organizacja kobieca w Japonii — Hanayome Gakko przygotowuje się do służby zastępczej na wypadek wojny.

Pracownice japońskie w przerwie między jedną pracą a drugą, ustawiają się w kręgu i unosząc w górę chorągiewki narodowe, uprawiają płąsy rytualne z towarzyszeniem śpiewu.

Wielkie jest zamięłowanie Japończyka do piękna. Estetyka, wypływająca z najgłębszych podkładów etycznych, przekształciła całkowicie tryb życia japońskiego.

Przygotowanie i nalewanie gościom herbaty, sadzenie kwiatów i zdobienie nimi mieszkań, wszystko to połączone jest z ceremoniałem omal nie religijnym.

Japończyk — to typ człowieka rozmiłowanego w pięknie i dziwnej wewnętrznej dobroci, której zewnętrznym wyrazem jest charakterystyczny uśmiech japoński.

„Przejdź obok świata, który jest niczym“ — mawia Japończyk, zbliżając się do jednej z pod-

stawowych prawd chrześcijańskich. Świadczy to o jego wysokiej wartości moralnej.

Tak upłynął nam wieczór na miłej pogawędce. Wdzięczni więc jesteśmy naszemu rodakowi, że nam pozwolił wniknąć w zacisze rodziny japońskiej i zrozumieć nieco duszę ludzi kraju Złotej Chryzantemy.

Święta góra Kojasan

W domu naszego rodaka — Przez las fabrycznych kominów — Doła robotnika — Kolejką linową na szczyt — Sekta Kobo Daisi — U nadbonzy — W 30 pagodach — Pielgrzymi — Najpiękniejszy cmentarz Japonii — Nabożeństwo buddyjskie.

— Pokażę księżom Kojasan, dokąd rocznie pielgrzymuje milion ludzi z całej Japonii — odzywa się do nas p. inż. Haertle, nasz polski przyjaciel w Osaka.

— Po drodze jednak wstąpimy na chwilę do mojej siedziby — dodaje sympatyczny nasz rodak.

Wieżie więc nas od razu własnym samochodem do Kosien Guci. Za chwilę samochód zatrzymuje się przed ładną willą, zbudowaną w stylu japońskim. W przedpokoju zdejmujemy obuwie, nakładając na nogi słomiane dżori — pantofle. Rozglądamy się po maleńkich pokoikach na parterze i piętrze. Mebli prawie nie ma. Podziwiamy natomiast artystyczne obrazy — Kakemono i stare maski japońskie. Niemniejsze wrażenie robią na nas kwiaty ułożone misternie w dużych wazonach.

Pokoiki można łatwo rozszerzyć w razie potrzeby. W tym celu rozsuwa się ruchome ścianki, składające się z rzeźbionych ram, obciągniętych białym, naoliwionym papierem. Tylko sypialnia i jadalnia urządzone są w sposób europejski. W kuchni pieca nie ma. Nad kwadratem kuchennego ogniska wiszą haki do wieszania imbryków. Poza tym wmurowany jest mały kocioł do gotowania. Ma on potrójną pokrywę, ponieważ wszystkie potrawy przyrządza się tutaj na parze.

Na niziutkich półkach lśnią kociołki miedziane, rondelki, patelnie, imbryki. To już zasługa starej gosposi, która nosi piękne imię japońskie *O k o n o s a*. Na klęczkach, podłożywszy pod siebie stopy, gotuje ona, smaży, piecze — oczywiście na sposób japoński — i potrafi zadowolić naszego gospodarza. Przy czym taki wzorowy utrzymuje w domu porządek, że wszystko aż się mieni.

Dodać należy, że domy japońskie zbudowane są z drzewa, przy czym ściany zewnętrzne wyłożone są grubą plecionką bambusową, mocno otynkowaną. Oczywiście, że w czasie pożaru wszystko to spłonie w ciągu kilku chwil, tak że prócz życia ludzkiego niczego uratować nie można.

„*D z i s i n, K a d z i, O j a d z i*“

Oto trzy groźne słowa, które z lękiem wymawia tu każdy. Złowróżbne to zawołanie potrafi przerwać najweselszą zabawę i zimnym potem zrosić czoła.

D z i s i n — trzęsienie ziemi, to moc straszliwa, która włada pięknym krajem J a m a t o — Japonią.

K a d z i — pożar, srogi niszczyciel, druh, brat pierwszego.

O j a d z i — gniew rodzica. On nie pozwoli spokojnie zasnąć choćby już dorosłemu synowi.

I o t o K a d z i swą łuną czerwonych płomieni na równi z trzęsieniem najwięcej niepokoją wesółych synów Jamato.

Komu w drogę temu czas. Opuszczamy więc gościnny dom. O k o n o s a żegna nas na klęczkach i zaprasza na drugi raz. Rzucamy jej na pożegnanie serdeczne a r i g a t o — dziękuję i przyrzekamy biednej pogance modlitwę o nawrócenie.

Siadamy do pociągu, bo do K o j a s a n jakieś 100 km drogi.

W wagonie pełno pasażerów. Niektórzy klęczą na ławkach, podwinąwszy pod siebie stopy. Jest to pozycja dla nich najwygodniejsza, w której prawdziwie wypoczywają. Toteż Japończycy na ogół krzesel nie znają. Oczywiście, że teraz i to powoli się zmienia. I tak w szkołach wprowadza się ławki europejskie. Inna rzecz, że zwłaszcza początkujący nie mogą na nich długo wysiedzieć ze zmęczenia.

Mijamy przedmieście O s a k a. Gęste chmury dymu wydobywają się z lasu kominów fabrycznych. Opowiada nam p. inżynier, że i w Japonii

zwiększa się bezrobocie, bo za mało jest terenów zbytu.

— A jakżeż z niskimi zarobkami, o których tyle się mówi w Europie? — pytamy naszego rodaka.

Dowiadujemy się, iż zarobki są przeciętnie trzy razy niższe niż w Europie. Prawda, że utrzymanie jest tu o wiele tańsze aniżeli u nas. Robotnik japoński używa przeważnie produktów roślinnych. Zamiast mięsa jada rybę a zamiast chleba tani ryż, przy czym funt ryby kosztuje tylko 10 sen. Dziwna rzecz, że robotnik mimo wszystko nie protestuje. Tłumaczyć to należy wielkim patriotyzmem Japończyka, którego elektryzuje hasło: **k o k k a n o t a m e** — dla dobra państwa.

We fabrykach japońskich pracuje również dużo kobiet. Zwłaszcza przędzalnie i przemysł jedwabniczy zatrudniają wyłącznie kobiety i to przede wszystkim młode dziewczęta. Rodzice zawierają umowę z fabryką i odstępują dziewczę na trzy do sześciu lat. W zamian za to otrzymują zadatek około 500 jenów. Wygląda to oczywiście na sprzedaż dzieci. We fabryce mieszkają dziewczęta na wielkich wspólnych salach. Każda ma prawo do maty wielkości $2\frac{1}{2} \times 2\frac{1}{2}$ m. Tam też otrzymuje własną szafkę, w której przechowuje w ciągu dnia materac i garderobę. Wyżywienie oraz skromne wynagrodzenie — oto zapłata za dziewięciogodzinny dzień pracy. A cóż się czyni dla jej biednej duszy ?

Nasz pociąg pędzi tymczasem w słoneczną dal. Mijamy chaty wieśniacze, otoczone sosną karłowatą, pola ryżowe, zalane wodą. Gdzieś na widnokręgu czernieje plama wysokich drzew, jakby delikatnym tuszem nałożona.

Stajemy na licznych stacjach.

— Osaka-Asahi — Osaka Mainici, Nici-Nici — wołają sprzedawcy gazet.

Dodatek nadzwyczajny! — Wielka mowa japońskiego premiera!... Zwycięstwo powstańców w Hiszpanii!...

Jedziemy w górę. Ciężko dyszy parowóz. Zgrzytają koła po szynach. Małe domki przydrożne przesuwają się jednostajnie, niby ziarenka budyjskiego różańca.

Dojeżdżamy do ostatniej stacji **G o k u R a k u B a s i**. „Mostem do rajów“ nazwano ten przystanek, bo stąd już tylko 700 m kolejką linową na świętą dla Japończyków górę **K o j a s a n**. Jadą z nami liczni pielgrzymi, wszyscy w strojach narodowych. Patrzą na nas z ciekawością, lecz bez zawiści.

Wzbijamy się coraz więcej w górę.

Wzdłuż toru kolejki grube pnie, skręcone jak liny, dźwigają powyginane konary. Pachnące drzewa kamforowe, rozszczepione na potężne odnogi z węzłowatymi gałęziami, rosną obok krętej, sękatej sosny japońskiej. Olbrzymie **h i n o k i** — cedry i rdzawo-listne klony wyciągają ku nam swe obwisłe konary.

Zajechawszy na szczyt, wnet docieramy do wielkiej osady, stanowiącej właśnie cel jednego miliona pielgrzymów pogańskich rocznie z całej Japonii.

Co to jest Kojasan? W VIII wieku po Chr. bonza — duchowny buddyjski K o b o D a i s i ukrył się tu w tym prześlicznym miejscu, głosząc nową naukę, odmienną od wierzeń buddyjskich.

Każdy człowiek według tej nauki musi się połączyć z jednym powszechnym bytem b a t a t a. Do poznania i urzeczywistnienia tej jedności wiedzy uciążliwa droga. Tajemnica rozjaśni się dopiero na dziesiątym stopniu poznania, tj. na ostatnim szczeblu, który trzeba koniecznie osiągnąć.

Najwyższym świętym w tej nowej religii pogańskiej jest Budda, królewicz indyjski, któremu ból życia i rozczarowanie podyktowały naukę wstępu do życia, a szukania nirwany — nicości.

Obok Buddy wierzą wyznawcy K o b o D a i s i w trzech innych buddów-wybawicieli. Kto wierzy w Buddę i trzech buddów-wybawicieli, a przy tym spełnia przykazania buddyjskie, ten pójdzie do raju. Ludzie nie wierzący i źli pójdą do otchłani.

Wokoło nowego proroka zaczęli się gromadzić wyznawcy. Pociągał ich urok słów bonzy, niemniej i samotność i piękno góry Kojasan. W ten sposób powstały tam liczne pagody - świątynie i klasztory.

Dziś tych pagód jest przeszło 30, a mnichów w klasztorze około 600. Wzdłuż pagód i budynków klasztornych powstało osobne miasteczko z jadłodajniami i hotelikami dla pielgrzymów. Nie brak oczywiście licznych składów, w których przyjezdni zaopatrują się w różańce buddyjskie, posążki buddów, obrazy i wszelkie przybory do ołtarzyków domowych.

Przy wejściu w obręb zabudowań klasztornych jakiś krępy jegomość zapisuje do księgi nazwiska i to z wszelkimi szczegółami.

— Po co te formalności? — pytamy naszego rodaka.

Odpowiada nam, że dużo pielgrzymów pozbawia się tu dobrowolnie życia. Więc w razie śmierci nie chcą tu mieć kłopotu ze stwierdzeniem tożsamości.

Idziemy nasamprzód do głównego klasztoru rezydencji nadbonzy Seiko Kono. Czekamy chwilę przed bramą na niedużym dziedzińcu, otoczonym wysokim płotem.

Wnet zjawia się sam nadbonza i wita nas trzykrotnym głębokim ukłonem, składając za każdym razem ręce na kolanach. Jest to mężczyzna w sile wieku. Ubrany jest w czarną togę, przepasaną białym jedwabnym pasem. Włosy czarne, krótko strzyżone, na oczach złote okulary.

Rodak nasz oznajmia mu po japońsku cel naszego przybycia:

— Chcemy zwiedzić Kojasan. Godzi się chętnie na to, a nawet przydziela nam jako przewodnika młodego mnicha, nazwiskiem Susuki, który jest kandydatem na bonzę.

Rozpoczynamy więc wędrówkę pod przewodem ruchliwego Susuki. Pokazuje nam pagody, objaśnia ich historię. Podziwiamy Kongobudzi i Nienido, pochodzącą z X wieku.

Najbogatsza jest złota pagoda Komposidaito, zakończona krwawą, rzeźbioną igłą. Wszystko w niej mieni się od złota, ofiarowanego przez bogatych pielgrzymów. Ze złotych głowic kolumn spoglądają na nas głowy lwów i tapirów, niesamowitych zwierząt o krótkiej trąbie, chroniących od dżumy.

Idziemy z dziedzińca na dziedziniec wśród niezliczonych szeregów latarni.

Stąpamy po tarasach wśród dachów rogatych, uwieńczonych smokami. Wpatrujemy się w dębowe, bogato złożone rózycy sufitów, obłożenia ścian, nawierzchnice filarów z rzeźbionymi na nich napisami pełnymi głębokiej treści.

Przypatrujemy się pielgrzymom. Na niektórych twarzach maluje się zmęczenie. Wszak przybyli z daleka. Niektórzy uczynili postanowienie, że pielgrzymkę odbędą na piechotę, inni, że o uźbrany chlebie. Jakiś pielgrzym w ogromnym słomianym kapeluszu pcha przed sobą wózek z kaleką, w nadziei, że bóstwo uzdrowi chorego. Inny

na klęczkach idzie od pagody do pagody. Widocznie pokutnik, chcący zmazać swoje winy.

Obserwujemy modlących się. Przekroczywszy próg pagody, zbliżają się do dzwonu, w który lekko uderzają. Potem klaszczą w ręce. Chcą przez to zwrócić na siebie uwagę bóstwa.

Jakaś matka podnosi dziecko w górę, jak gdyby chciała uprosić błogosławieństwo. Inni wkładają zapalone pręciki kadzidlane do wielkiej brązowej kadzielnicy. Niektórzy wyciągają z wazy drewniane tabliczki, a potem szukają odpowiedniego numeru wśród stosów papierowych zwitków. To zapewne tacy, którzy radzą się bóstwa w rozmaitych sprawach.

Wszyscy rzucają pieniądze do wielkiego pudła lakowego lub też wprost na czerwone stopnie ołtarza. Po czym kłaniają się trzykrotnie szeregowi bóstw, buddów i buddisatów i wsparci o kij pielgrzymi, wędrują dalej.

Osobliwością K o j a s a n u jest ogromny cmentarz, najpiękniejszy i najstarszy w całej Japonii. Jest marzeniem pobożnego Japończyka, by urna z jego prochami spoczęła na świętej górze Kojasan.

Idziemy więc na cmentarz. Niebo jasne, przezroczyste. Białe obłoki kładą się sennie na szczytach. Połyskuje wszędzie złoto słonecznych promieni i kryształ górskiego powietrza.

Za bramą cmentarną na kształt smukłych filarów gotyckiej świątyni strzelają w górę żalobne kryptomery. Drzewa-olbrzymy, z których nie-

jedno od wieków dzierży grobową straż. Pomniki-grobowce na kształt urn, omszałe granity, lwy brązowe przy wejściach ozdobionych chryzantemami, to znowu brązowe „żółwie wieczności“ obok zielonkawych żurawi urozmaicają to miasto śmierci.

Nie brak oczywiście posągów i posążków Buddy i ulubionej K w a n n o n — bogini miłosierdzia. Groby-pomniki pną się nieraz aż na zbocza górskie, chroniąc się w ruchliwych fałdach kosmatych koron.

Niektóre napisy na pomnikach czerwone. Tłumaczy nam Susuki, że jeszcze żyją ci, którzy ten pomnik dla siebie postawili. Gdy umrą, kolor czerwony przemaluje się na czarny.

P. H a e r t l e opowiada nam, że nawet pewien Polak-katolik zakupił sobie miejsce na tym cmentarzu. Z dala od wszelkiej opieki duszpasterskiej zobojętniał dla wiary św. i zaczyna się skłaniać do pogaństwa. Tutejszym zwyczajem pochował już trochę włosów własnych i obcięte paznokcie jako zadatek...

Wracamy do klasztoru. Podejmują nas za opłatą w gościnnym pokoju. Częstoują nas smażonym kwiatem lotosu i róży, różnymi korzonkami i ryżem. Mięsa, ryb i jaj mnisi tu nigdy nie jadają. Siedzimy znów w kucki z podwiniętymi, zdrętwiałymi nogami, manewrujemy niezgrabnie drewnianymi pałeczkami. Przez wielkie okno prze-

świeca pożłota słońca. Z oddali dochodzi nas lekki bulgot bliskiego wodospadu.

Słychać miarowe uderzenie dzwonu. W złotej pagodzie rozpoczynają mnisi swoje nabożeństwo. Idziemy przypatrzeć się z ciekawości. Już z dala słychać ponure b o m b a i — śpiewy obrzędowe.

Słyszymy rytm i słowa. Śpiewają trzema od-cieniami tonu. Jeden głęboki, basowy, drugi ostry — krótki, trzeci krzykliwy. Stary mnich uderza w srebrny gong. Śpiew na chwilę milknie, by wybuchnąć z większą jeszcze namiętnością. Znowu uderzenie gongu. Nadbonza klęka przed posągami Buddy. Rzuca kadzidło do kadzielnicy, po czym kwiaty sypie u stóp bóstwa.

Równocześnie śpiewa słowa nakazane przez p r a i n a p a r a m i t u s u t r a :

„Mężowie i niewiasty rzucają kwiaty, są jako płatki jednego kwiatu a myślący o Buddzie będą odkupieni i osiągną błogość niczym nie zastą-pioną“.

Gdy się patrzy na to miejsce pielgrzymkowe, na tych pielgrzymów, na obrzędy, modły i ofiary, nie można nie dostrzec pewnych rysów, podobnych we wszystkich wiarach i wszystkich obrzędach religijnych. Człowiek od wieków i wszędzie odczuwał i odczuwa potrzebę oddawania czci Bogu i tę cześć w podobnych oddawał i oddaje formach. Świadczy to o tym, że Bóg w duszę ludzką wlał dążenie do poznawania Boga i oddawania Mu czci.

Stwierdzają to nieraz badania wierzeń i obrzędów różnych narodów. Istotą rzeczy pozostanie jednak poznanie prawdziwego Boga przez Jezusa Chrystusa i Jego Kościół. A z tym poznaniem prawdziwego Boga łączą się tajemnice i obrzędy istniejące jedynie w Kościele, lub wspólne innym religiom, ale uświęcone duchem Chrystusowym.

Opuszczamy pagodę. Podsuwają nam do podpisu wielką księgę pamiątkową. Wpisuję bez namysłu słowa:

„Niech Chrystus, jasna światłość świata, oświeci Wasze biedne dusze, niechaj Wam wskaże drogę prawdy i zbawienia...”

Opuszczamy Kojasan pełni smutku na widok tych, co błądzą. Tyle milionów jęczy w kajdanach tej bałwochwalczej nauki. Tyle dusz pogrążonych w ciemnościach błędu i zabobonu. Dusza japońska jest na wskroś szlachetna. Jej religijność przejawia się na każdym kroku. Pomóżmy jej, by znalazła drogę do przystani Prawdy w Kościele Chrystusowym.

W kraju Wschodzącego Słońca już dnieje. Módlmy się, pomagajmy, by zaświeciło słońce zbawienia...

Stolica Dalekiego Wschodu

Nowe Tokio — W morzu świateł elektrycznych — Nie widać cudzoziemców — W ambasadzie polskiej — Na cmentarzach — Zwiedzamy świątynie — Wyższa Szkoła Mądrości — W teatrze — Trzęsienie ziemi.

T o k i o oznacza dosłownie „Stolicę Dalekiego Wschodu“. A jest nią Tokio bezsprzecznie.

Nad piękną rzeką **S u m i d ą** rozciąga się to miasto-olbrzym, będące zarazem stolicą tak potężnej dziś Japonii. Sześć milionów mieszkańców, największe miasto na Dalekim Wschodzie, trzecie z rzędu na świecie! Toteż nie dziw, że z zacięciem stawiamy pierwsze kroki na bruku, a raczej na asfalcie tokijskim.

Uderza od razu ogromna ilość samochodów, autobusów. Nie widzimy ani jednej rykszy ani **k u r u m** — wózków japońskich. Znikły również wozy, zaprzężone we woły, spotykane po innych miastach.

Trzęsienie ziemi w r. 1923 zmiotło stare Tokio z powierzchni. Odbudowano je w krótkim czasie i to według z góry przemyślanego planu. Szerokie ulice, przestronne place zajęły miejsce wąskich

i ciasnych uliczek. Wszystko na wzór amerykański. Tylko gmachy i domy nie są zbyt wysokie. Nikt nie zaryzykuje drapacza chmur ze względu na bezustanne niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi.

Tokio rozbudowuje się wszcz. Z jednej strony sięga aż do Oceanu Spokojnego — zachodnie zaś przedmieścia wrzynają się daleko w dolinę Kantō. A więc są odległości, dochodzące do kilkudziesięciu kilometrów. Mimo to nie trudno przedostać się do dalszych dzielnic. Kolej podziemna, gęsta sieć tramwajów, autobusów i kolei elektrycznych ułatwiają komunikację. Przy tym bilety czy to autobusowe czy kolei podziemnej kosztują tylko grosze.

Idziemy ulicą Ginza, najruchliwszą arterią komunikacyjną stolicy. Nowoczesne reklamy na szyldach pionowych i białych chorągiewkach przed wielkimi wystawami. Ludzie stają i przypatrują się osobliwościom. Są spokojniejsi, aniżeli u nas. Bo czemuż to uprzykrzać sobie życie zbytnią nerwowością?

Zapadł mrok. Zapala się niezliczoną ilość świateł i lampionów. Niewidzialna ręka pisze neonowym światłem tutejsze reklamy. Ginza zamienia się w jedno morze światła i jasności. Nie widzieliśmy żadnego miasta na świecie, tonącego w takiej powodzi światła elektrycznego.

Tłum różnobarwny przewala się po obu stronach jezdni. Ludzie przeważnie w kimonach i drewnianych chodaczkach. Przechodzą Japonki

z dziećmi na plecach, zawiniętymi w chusty. Twarze pokryte grubą warstwą pudru dla wybielenia nieco śniadej cery.

— **Good evening** - dobry wieczór — zagadujemy po angielsku jegomościa w ciemnym kimono. Jegomość kiwa głową, że nie rozumie. Ta sama historia z następnym, którego zatrzymujemy. Nie spotykamy ani jednej twarzy europejskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że na 100 milionów ludności w cesarstwie japońskim mieszka niecałe 6 tysięcy Europejczyków i Amerykanów.

Japonia broni się przed obcą imigracją. Ma ona zresztą namacalny przykład na Chinach, będących igraszką w rękach obcych przybyszów.

Jesteśmy już nieco zmęczeni, więc wracamy do wielkiego hotelu, który mieści się tuż obok dworca tokijskiego.

Po Mszy św. udajemy się na **S i b a M i t a C u n a m a c i** do ambasady polskiej. Mieści się ona w obszernym pałacu, wydzierżawionym na ten cel przez Państwo Polskie. Świeżo mianowany ambasador p. **R o m e r** ma tu przyjechać w maju. Zastępuje go na razie p. **T r a w i ń s k i**, sekretarz ambasady. Przyjmują tu nas bardzo gościnnie. Idą telefony, żeby nam ułatwić załatwienie niektórych spraw.

— **M o s i , m o s i** - po japońsku hallo! — przy telefonie brzmi nieco śmiesznie. Dodać bowiem należy, że Japonia nie posiada jeszcze telefonicznych

automatów. Numer trzeba zamawiać u telefonistki.

Dowiadujemy się, że i w Tokio jest kilku Polaków i że kupcom naszym pp. Rzewuskiemu i Stachowiakowi powodzi się nieźle.

Muszę wspomnieć także o p. H a c u e s a n - T a k a h a s i, która była w Warszawie służącą u zmarłego ambasadora K a w a i. Hacuesan jest katoliczką i mówi płynnie po polsku. Opowiada nam, że tęskni za Warszawą, a szczególnie za kościołem św. Krzyża, w którym tak nabożnie się modła.

Wyruszamy teraz na zwiedzanie stolicy pod przewodnictwem tłumacza ambasady, Japończyka. Błękit zawisł nad miastem. Wiośniane słońce uśmiecha się z nieba. Oświetla zbiorowiska gmachów pałaców i domów i szafirowe wody Sumidy.

Tak się dziwnie składa, że na wstępie wstępujemy na olbrzymi cmentarz miejski. Pomniki granitowe „tori“, obeliska z charakterystycznymi napisami stoją jeden przy drugim, ocienione koronami sosen i klonów. Przewodnik odczytuje napisy: Tu spoczywa znany bogacz Morinaga, tu sławny inżynier Kawakita...

Stajemy przed pomnikiem generała Nogi, uwielbianego bohatera narodu. Sławny zdobywca P o r t u A r t u r a i pogromca Moskali pod M u k d e n e m popułnił wraz z małżonką „harakiri“ i to w dniu pogrzebu cesarza M e d Ź i T e n n o. Jako gorący patriota chciał on towarzyszyć cesarzowi w drodze do wieczności.

W parku Medzi oglądamy pagodę, wzniesioną na cześć cesarza tegoż nazwiska. Idziemy jakieś 20 minut szerokimi alejami wespół z tłumem pielgrzymów, przybyłych ze wszystkich stron Japonii. Idzie z nami wycieczka żeńskiego oddziału przysposobienia wojskowego w białych mundurach... Idą żołnierze, oficerowie, chłopci — wszyscy w religijnym nastroju. Po obu stronach alei stróżują bazaltowe kolumny sugi — cyprysów. Olbrzymie h i n o k i — cyprysy i dzikie kasztany wyrastają obok wdzięcznej k i r i — wierzyby płaczącej.

Przed świątynią pielgrzymi myją sobie ręce i płuczą usta. Inni biją już pokłony i szepczą modlitwy. Bonzowie „Szinto“ w białych jedwabnych szatach błogosławią gałązką świętego drzewa s a s a k i. Tam znowu bonza wprowadza młodą matkę z dzieckiem na rękę do świątyni. Dziecko mocno wymizerowane, widocznie chore, więc chodzi zapewne o odpędzenie złych duchów.

Przejeżdżamy wzdłuż ogromnych parków H i b i a, S i b a U e n o i A s a k u z a. Podziwiamy wspaniałe gmachy parlamentu i pagody S e n g a k u i i J a s u k u m i. Zwiedzamy tereny, na których odbyć się miała wszechświatowa olimpiada.

Na afiszach reklamujących najnowsze filmy nie spotykamy nigdzie obrazów drastycznych. Mówi nam nasz przewodnik, że na wszystkich filmach japońskich mogą być nawet dzieci. Filmy europejskie i amerykańskie wyświetla się dopiero po wycięciu odpowiednich obrazów. Dowiadu-

jemy się, że z „Chłopów“ Reymonta, które zostały przetłumaczone na język japoński, usunięto wszystko, coby obrazić mogło wysoką moralność japońską. Tak dbają poganie o zdrowe i dobre obyczaje!

Żyjemy w bezustannym radosnym uniesieniu, pełni wdzięczności dla Boga, że nam pozwala oglądać ten nieznan nam dotychczas świat — nad brzegami S u m i d y.

— Udajemy się do **D z i o c i - D a i g a k u** — Uniwersytetu Katolickiego. Jest on wprawdzie najmniejszy z siedmiu uniwersytetów tokijskich, stanowi jednak bezwątpienia warownię ducha katolickiego.

D z i o c i - D a i g a k u, dosłownie „Wyższa Szkoła Mądrości“, ma piękny gmach, zbudowany w r. 1924 po zawaleniu się starego w czasie trzęsienia ziemi. Kierują nim niemieccy Jezuici. Nie zastajemy rektora o. Hofmanna, ponieważ w ostatnim czasie zaniemógł poważnie. Oprawdają nas po nowoczesnych salach wykładowych. Pokazują nam kapliczkę oraz wszystkie urządzenia gmachu. Jest tu osobna czytelnia dla inteligencji z miasta. Tu też dla niej odbywają się wykłady z dziedziny religijnej.

Wszystkich studentów jest około 400, w tym 40 katolików. Na 40 tysięcy studentów w Tokio jest to wprawdzie mały tylko ułamek. Promieniuje

jednak stąd światło wiary Chrystusowej na całą Japonię.

— Musicie być także w teatrze japońskim — zawyrokowano jeszcze w naszej ambasadzie.

Jest kilka teatrów w Tokio, zazwyczaj zawsze przepelnionych. Bez trzech rzeczy bowiem Japończyk nie może się obyć: bez ryżu, kąpieli i teatru. Woli nawet głód cierpieć, ale w teatrze być musi, choć raz na tydzień i to z całą rodziną.

Przedstawienie trwa od godziny czwartej do jedenastej. Jako aktorzy występują tylko mężczyźni. Na widowni dużo niewiast. Sztuki są pełne wdzięku, a cechuje je głęboki artyzm, mistrzostwo ruchu i słowa, a przede wszystkim wysoki poziom moralny.

Wchodzimy do teatru *Kabuki*. Wśród 1500 widzów jesteśmy jedynymi Europejczykami. Widzowie siedzą często z podwiniętymi nogami na miękkich posłaniach łóż. Zajadają słodycze i ryż. Widać najrozmaitsze typy. Obok nas matka z dziećmi. Jedno z nich śpi w najlepsze, drugie biega pomiędzy krzesłami.

Na scenie aktor tańczy taniec kwitnącej wiśni. Każdy ruch, każda postawa jest w najmniejszych szczegółach obmyślana. Gra jego nacechowana doskonałą swadą i mimiką. Po obu stronach sceny gra orkiestra na *siamisenach*, małych lutniach i bębenkach. Wtórują jej śpiewacy

w czarnych kimonach. Muzykanci i śpiewacy siedzą w sposób japoński.

Po przerwie wyjątek z dramatu o pobożnym pu-
stelniku i mściwych rycerzach. Następuje potem
wesoła komedyjka. I tak zmiana po zmianie, tak
że widzowie się nie nudzą.

Wracamy zmęczeni do domu. Wtem — zata-
czamy się!... Szyby drżą. Ściany i meble się chwie-
ją. Sina bladeść pokrywa nam twarze. Serce ude-
rza młotem.

— Co to? — To nic. To lekkie trzęsienie ziemi,
o które w Japonii nie trudno.

Trzeba było być świadkiem owego strasznego
trzęsienia w r. 1923 — mówią nam potem.

W katastrofie tej zginęło 100 tysięcy ludzi, a 600
tysięcy domów zostało zniszczonych zupełnie. Już
po pierwszych wstrząsach pękły w Tokio wszyst-
kie rury gazowe. Pożar ogarnął miasto, zamienia-
jąc je w morze płomieni. Ludzie uciekali na wolne
place i do najbliższych parków. Na wielkim pla-
cu H i f u k u s i o schroniło się 35 tysięcy nieszczę-
śliwych wraz z dobytkiem. Lecz i tam powstały
otwory w ziemi. Od iskier przyniesionych przez
wiatr zapaliły się sprzęty. Słupy dymu buchnęły
w przestworza. Ludzie palili się żywcem.

— Miłosierdzia! — wołały tysiączne głosy.

Potem słyhać już było tylko jęki konających.
Pewien młody chrześcijanin, który miał przy sobie
butelkę z wodą, chrzczył dzieci, znajdujące się w po-

blizu. Z 35 tysięcy na placu Hifukusio ocalało za-
ledwie 20, pomiędzy nimi również ów apostołski
chrześcijanin.

Dziś na miejscu katastrofy stoi wspaniały pom-
nik. Ludzie przychodzą tu tłumnie, składając wień-
ce i kwiaty. I stają w głębokim zamyśleniu. Boć
każdej chwili odezwać się może głos ziemi, który
jest nieszczęściem krainy Jamato i karą jej bo-
gów.

A może głos ten wstrząśnie szlachetnym naro-
dem i zaprowadzi go do Chrystusa!

Syn słońca i jego żołnierze

Boskie pochodzenie cesarza — Obecny cesarz — Jego tryb życia — Pogrzeb cesarski — Głównodowodzący armii —
Armia groźna i bezlitosna — Jej oficerowie.

Przypadkowo docieramy do pałacu cesarskiego, a raczej do jednej z fos, którymi pałac jest otoczony. Patrzymy na wszystkie wały, mosty i potężne baszty. W rozległym parku widać tylko czuby wygiętych dachów zabudowań pałacowych.

Ach, gdyby tam można przejść! — myślimy sobie. Krążą przecież o tym zaczarowanym królestwie prześliczne baśnie. Krótco przed nami przyjął tu cesarz kardynała Dougherty, legata Ojca św. na Kongres w Manili. Fakt niebywały w dziejach Japonii! Szkoda, żeśmy się spóźnili. Może byłoby się nam udało przyłączyć do otoczenia. Zobaczylibyśmy cesarza! A pani K a w a i, gorliwej katoliczce, wdowie po zmarłym ambasadorze japońskim w Warszawie, która jest damą dworu i przyjaciółką cesarzowej, zawieźlibyśmy pozdrowienie z kochanej stolicy nadwiślańskiej!

Japończycy wierzą w boskie pochodzenie cesarza. „Ramy polityki japońskiej były założone

przez królowę słońca, a przez nią objawione pierwszemu cesarzowi“ — tak brzmi oświadczenie rządu z 4 sierpnia 1935 r. Toteż portret cesarza wisi w domu japońskim na miejscu uprzywilejowanym. Inne obrazy znajdować się muszą w pewnej odległości i zawsze poniżej portretu cesarskiego.

Również w każdym japońskim poselstwie za granicą znajduje się obraz cesarza, który jest przez cały rok zakryty. Odśłania go się tylko w święta narodowe. Zebrana wówczas kolonia japońska chyli nisko głowy przed portretem.

Niedawno temu gdzieś, w jakiejś wiosce paliła się szkoła. Nauczyciel, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wpada do klasy, by ratować podobiznę cesarza, otaczaną aureolą świętości i ginie w płomieniach. Gazety pisały potem, że nauczyciel spełnił tylko swój obowiązek.

Innym razem młody lotnik zbłądził wśród mgły i przeleciał nad pałacem cesarskim. Po wylądowaniu, zorientowawszy się w sytuacji, popełnił samobójstwo. Czuł się winnym obrazy majestatu.

Obecny cesarz Japonii, **H i r o h i t o**, urodził się 29 kwietnia 1901. Jako 20-letni następca tronu odbył on wielką podróż po Europie. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w dynastii japońskiej, by przyszły monarcha wybrał się w podróż zagraniczną. Po powrocie objął rządy w zastępstwie chorego ojca, a po jego śmierci wstąpił na tron 26 grudnia 1926 r. W dwa lata później odbyła się

wspaniała koronacja młodego cesarza w Kioto, starożytnej siedzibie cesarzy. W roku 1924 Hirohito ożenił się z Nagako, córką księcia Kuni.

Cesarzowa japońska prowadzi bardzo prosty tryb życia, podobnie jak wszystkie kobiety w Japonii. Nie miesza się do polityki, poświęcając czas obowiązkom żony i matki. Jako przewodnicząca licznych związków niesie pomoc biednym. Cesarzowa jest matką pięciorga dzieci, trzech córek Schigeko, Kazuko, Adzuko i dwóch synów Akihito i Maschito.

Panujący cesarz Hirohito jest 124 z rzędu przedstawicielem dynastii. Początki jej sięgają roku 660 przed Chrystusem. Pierwszym cesarzem i założycielem dynastii był cesarz Jimmu. Pak powiada legenda, Japonia była zrazu rządzona przez samych bogów. Wyspa powstała z woli boga Izanagi i bogini Izanami. Boskie to małżeństwo miało troje dzieci: Amatarasu, boginię słońca, Tsukiyomino-Kami, boginię księżycy i Susano-onomiko, boginię morza.

Bogini Amatarasu powierzyła wyspę Nippon swemu prawnukowi Ninigi. Cesarz Jimmu, pierwszy rzeczywisty władca Japonii, miał być wnukiem owego boga Ninigi. Od niego więc wywodzi się linia dynastii japońskiej. Stąd to przypisuje się boskie pochodzenie tej dynastii. Wstąpienie na tron przemienia się na jedną z najświetniejszych uroczystości. Cesarz wchodzi w posiadanie „świętego“ miecza, lustra i łańcucha.

Cesarz, jak nam opowiadają, prowadzi bardzo skromny tryb życia. Wstaje o godzinie 6 rano. O godz. 7 jada śniadanie i gimnastkuje całą godzinę. Dopiero po gimnastyce i jeździe konnej rozpoczyna właściwą pracę, studiując akta oraz podpisując listy i raporty ministrów. O godzinie 19—22 słucha cesarz wykładów, nadawanych przez miejscową stację radiową. Potem studiuje jeszcze ulubioną antropologię.

Jeśli cesarz pokazuje się publicznie, nie wolno nikomu zająć wyższego miejsca. Lekarz cesarski dotyka się ciała swego dostojnego pacjenta tylko w specjalnych jedwabnych rękawiczkach. Cesarz cieszy się powszechną miłością i uwielbieniem. Japończycy oddają swemu monarsze cześć boską i nazywają go *synem słońca*.

A kiedy syn słońca umiera, to i pogrzeb odbywa się wspaniały według prastarego ceremoniału, pełnego powagi i wyczucia piękna. Oto jak się odbył pogrzeb ostatniego cesarza Josihito, który zmarł w 1926 r. Świadkiem obrzędów pogrzebowych był nasz rodak p. Stefan Łubieński, który je tak opisuje:

„...Bez trąb i kotłów, bez płaczu i zawodzeń, bez turkotu wozów i hałasu, w ciszy i skupieniu posuwał się orszak pogrzebowy ulicami Tokio. Zamiast doniosłej muzyki — małe ustne siooflety-organki, podobne do melodyjnego, przyciszzonego brzęczenia, oraz stuk poważny i głęboki

świętynnych bębnow... Miasto ulicznego hałasu i tętentu koni miarowe, przygłuszone kroki wielotysięcznego, w geometryczne figury ułożonego pochodu. Wtóruje, jak głos mistyczny z zaświata, 7 tonowa, żalosna melodia drewnianych osi dwukołowego, olbrzymiego wozu z katafalkiem. ...Milczenie, ...a jednak... 20 000 przeszło ludzi stąpa rytmicznie, a milionowe zbite tłumy stoją z obu stron drogi, patrząc na pochód, jakby nie z tej ziemi.

Każda minuta obrzędu, każdy szczegół szaty uczestników, wszystko już naprzód obmyślane i określone. Przeszukano pastwiska całego kraju **J a m a t o**, by znaleźć czarne woły o rogach właściwego rozpięcia dla pociągu **k a r a b i s a s i k u r u m a** — żałobnego wozu, zrobionego przez największych artystów i muzyków.

Na to, aby nie tylko ludzie, poddani cesarza, ale i przyroda cała, od morza począwszy, a skończywszy na szczytach górskich, uczestniczyły w wielkim święcie, wysypano drogę najczystszym piaskiem, wypłukanym przez ocean. Kapłani, otaczający trumnę, przywdziali strój z juty i konopi, włożyli na nogi **d z o r i** - sandały ze słomy. Wielkie gałęzie drzewa świętego „**s a s a k i**“ obramowały aleje i zapłonęły wszędzie, jako pochodnie jarzące. Bambus osłonił skrzynię ze zwłokami cesarza, ciągnioną przez dwurogie, poważne zwierzęta.

...Ledwo mrok spowił stolicę Nipponu w wilgotną mgłę wczesnej wiosny, przez N i d z i u b a s i, dzielący pałac cesarski od miasta, wyłaniać się zaczęła powoli konwój żałobny. Na przedzie szli ci, których zadaniem było mierzyć krok idących w tyle, aby się wszystko działo w przepisany czas. 34 grupy, liczące kilkanaście ludzi każda, tworzyły czołową. Gwardie, komisarze, wyżsi i niżsi, słudzy itd., każda zaś grupa była oddzielona od drugiej tymi, co dzierżyli pochodnie, które odbijały się w wodzie, tworząc jednocześnie kręgi księżycowe w powietrzu, osnutym gęstymi tułanami.

Wyłoniła się niebawem druga część orszaku, z 20 grup złożona, niosąca skrzynię, gdzie zamknięte były przedmioty, należące do zmarłego. Otoczyli ją słudzy, kapłani, wojsko, czerechy chorążych i świątynnych doboszów. Aż nadszedł oddział trzeci, w środku katafalka, za nim tuż — szambelan dworu, niosący według starego zwyczaju sandały cesarskie. Dalej gwardia, wyżsi kapłani i, cicho jęcząca, orkiestra świątynna. Następnie szła ostatnia część konwoju, na której czele — książę C i c i b u, brat nowego cesarza H i r o h i t o, w otoczeniu dworu i książąt krwi, wraz z ministrami i przedstawicielami rządu, którzy zamykali ów nieskończenie długi, z przeszło stu wielkich grup złożony, pochód.

Cicho, jak duch, przesunął się ów wąż mistyczny aleją A k a s a k a, aż po półtorej godziny

wpełził do parku Sindziuku, gdzie czekał cesarz, cesarzowa matka z dworem i cały korpus dyplomatyczny. Nad wężowym cielskiem powiewały, jak jakieś nadziemskie ptaki, chorągwie: białe — symbol religii Szinto, oczyszczenia i zmartwychwstania, oraz żółte — symbol budyzmu. Podczas gdy koła wozu olbrzymiego kara bisasi śpiewały smutnie, wydając siedem dźwięków jakiegoś dziwnego, prawiecznego „kurańta“ — w zatoce Singala wszystkie pancerniki państwa japońskiego, żegnały armatnimi salwami umarłego Pana. Dalekie grzmoty wśród ogólnej powagi i ciszy.

Tak panowanie każdego tenno heika — cesarza złączone jest symbolicznie z programem ideowym państwa, hołd zaś oddany cieniom jego jest nie tyle wyrazem czci dla osoby monarchy, ile manifestacją spójni narodowej, siły nieprzypartej piękna, uzewnętrznienia duszy ludu całego — duszy, w której tli iskra Boża .

Cesarz jest głową państwa i głównodowodzącym armii. W razie mobilizacji 12 milionów japońskich żołnierzy gotowych jest poświęcić swe życie za cesarza i Japonię.

— Żołnierz japoński jest najlepszy na świecie — oświadczył jeden z generałów japońskich. Może w tym powiedzeniu trochę przesady. W każdym razie pod względem uzbrojenia i ducha poświęcenia żołnierz japoński w niczym nie ustępuje

europiejskiemu. Jest on zdolny do poniesienia największych ofiar.

Dowodem tego bohaterskie szturmowanie piechoty japońskiej pod Mukdenem. Świadczy o tym rycerski epizod z ostatnich walk o Szanghaj. Chodziło o zrobienie wyłomu w ważnej pozycji nieprzyjacielskiej. W pewnym momencie trzech piechurów japońskich, wlokąc za sobą olbrzymią bombę, podchodzi do pozycji i razem z bombą wysadzają się w powietrze, torując drogę kolumnom szturmowym.

Ulicą przechodzą właśnie oddziały wojska. Maszerują drobni żołnierze setkami, tysiącami. Każdy niesie na ramieniu karabin starannie wyczyszczony, lśniący, tudzież maskę gazową i ładownicę przyczepioną do pasa. Za nimi ciągną nieprzerwanie ciężkie kulomioty, działa polowe, miotacze min...

Idą z powagą a nieubłagani, jak przeznaczenie. Dziś maszerują na tokijski poligon — a może już jutro ku roześmianym dolinom Jang-tse-Kiangu...

Idą w skupieniu. Nie rozmawiają nie śpiewają. Patrzą uparcie przed siebie niewzruszeni, jakby ze strasznym fatalizmem fanatyków... Żołnierze syna słońca — to armia groźna i bezlitosna, niepodobna do żadnej innej armii na świecie...

Każdy żołnierz posiada książeczkę, będącą rodzajem brewiarza, który odczytuje rano i wieczór. Znajdują się w niej sentencje, ułożone przez wiel-

kiego cesarza Medzi. Wypisane są w nich przykazania, nakładające na niego obowiązek wierności cesarzowi i ojczyźnie, grzeczności, odwagi, prawości, skromności. Przykazania kończą się uwagą:

„Żołnierzu, czy to w służbie wojskowej, czy też będąc w domu, orząc ziemię, czy też jako kupiec trzymając w ręce liczydło — pamiętaj o tych przykazaniach i tak postępuj, aby czyny twoje wypływały ze szczerego serca i abyś zasługiwał na miano dobrego żołnierza i prawego obywatela kraju.

Pamiętaj, że obowiązek waży więcej, niż góra, podczas gdy śmierć jest lekka jak piórko“.

Żołnierzy nie karze się też nigdy aresztem. Są oni tak ambitni i tak wysoko cenią swój honor, że kara taka spowodowałaby niechybne **h a r a k i r i**.

Jeszcze większym, wprost heroicznym duchem patriotycznym owiani są oficerowie japońscy. Kiedy kredyty na armię zostały uchwalone, lecz nie jednogłośnie, dla zmycia tej hańby czterech oficerów popełnia samobójstwo.

Oficerowie zabierają obecnie głos i w polityce. Domagają się reformy rolnej i nowego prawa wyborczego. Na zewnątrz domagają się wojny z Rosją. W myśl wielkiego patrioty **I k k i K i t a** państwo ma prawo wojować z narodami, które posia-

dają niewspółmiernie wielkie obszary ziemi, lub też rządzone są w sposób nieludzki.

Oficerowie japońscy, za wyjątkiem nielicznej gwardii cesarskiej, są po części synami biednych włościan i rzemieślników. Oni patrząc na biedę w domu zdają sobie sprawę z tego, że zdobycie nowych terenów może zaradzić złu. Głód ziemi — to tragedia Japonii. Dwie zaś cyfry tłumaczą sens tej tragedii.

Około 40% prowadzi gospodarkę rolną na przestrzeni mniej niż 1 ha. Przeszło 30% na zaledwie 1/2 ha. Reszta włościan wegetuje na jeszcze mniejszych wręcz mikroskopijnych obszarach.

Włościanin japoński nie posiada ani konia, ani pług, gdyż całe swoje pole uprawia ręcznie przy pomocy łopaty.

Z braku gruntu nawet na dachach uprawia się warzywa. Na własne oczy widzieliśmy ogrodnictwa, prowadzone dla braku gruntów na trzech piętrach tzn. w skrzyniach, które ustawione są rzędami — jedna nad drugą. Dlatego oficerowie chcą usunąć ten głód ziemi, z braku zaś innych środków — chcą siły użyć orężnej.

Oficerowie japońscy potrafią przeprowadzić swoje żądania. Tak było i 24 lutego 1936 r. Przez ulice Tokio pędziły samochody ciężarowe. Na samochodach oficerowie i żołnierze 1 i 5 pułku piechoty. Zajeżdżają przed gmachy państwowe. Grupa oficerów wpada do mieszkania premiera **O k a d y.**

— Panie premierze Keisuke Okada! Przyszliśmy pana zabić. Polityka musi wejść na czyste wody! Posypały się kule. Premier upadł w kałuży krwi.

Ta sama scena w rezydencji ministra finansów Takahasi. Nienawidzili go, bo zamało dawał na wojsko.

Zginął tego dnia i Watanabe, główny inspektor szkół wojskowych i wielu innych.

Minęły zaledwie miesiące. Syn słońca wydał rozkaz swoim żołnierzom, by zdobywali Chiny. Rozkaz spełniają. Prą naprzód ku nowym zwycięstwom. Zwycięskie bany wyrywa się ze stalowych piersi japońskich żołnierzy. Idą w milczeniu ku śmierci. Jak gdyby gniew Archaniołów rozplomieniał każdego z nich. Jak gdyby jakaś siła tajemnicza pchała ich ku nieuniknionemu celowi.

Bo taki jest rozkaz syna słońca... Jego żołnierze, to jakby jeden wielki stalowy blok. To okrutna siła, pod ciężarem której ugnie się niebawem cała Azja...

Świeci słońce wiary Chrystusowej

X. arcybiskup Chambon — Religie Japończyków — Fezory mylą — Natężenie pracy misyjnej — Film i prasa katolicka — Przeszkody — Optymizm arcypasterza.

Składamy wizytę X. arcybiskupowi Chambon, pasterzowi archidiecezji tokijskiej. Poznaaliśmy go już w Manili. Uczestniczył on w Kongresie na czele licznej pielgrzymki japońskiej. Gorące jego przemówienie w języku japońskim wywołało wówczas burzę oklasków wśród obecnych.

Rezydencja arcybiskupa otoczona jest pięknym ogrodem, który się łączy z ogrodami sąsiednich will i parkiem publicznym. Ogrodzenie kamienne, bogato rzeźbione. W górę strzelają majestatycznie smukłe pnie kryptomery. Karłowate sosny wychylają gęstą szczecinę swych kosmatych koron. Złoto - rdzawy bambus przechyla swe pręty i uderza nimi o obrosłe pleśnią kamienie.

— Soy ez bien venus — witajcie! — rzucam nam X. arcybiskup na powitanie.

Nasamprzód wypytuje się szczegółowo o nasze wrażenia z Japonii. Sam dużo opowiada, zwłaszcza o położeniu Kościoła w tym ciekawym kraju.

— Praca misyjna w Japonii — podkreśla z naciskiem X. arcypasterz — idzie powoli. Już św. Franciszek Ksawery mówił, że w Indiach łowi się dusze w sieci, w Japonii zaś — na wędkę. Ale nadzieja coraz to promienniejsza. Największe lody już przełamane.

X. arcybiskup mówi o religii pogańskich Japończyków — o szyn to i z m i e i b u d d y z m i e.

— Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić, po dziesiątkach tysięcy świątyń i kaplic, po tych tłumach pielgrzymów, że religijność Japończyków jest żywa i żywotna. Tym czasem Japończycy w ogóle nie mają religii w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wszak ani szyn to i z m ani buddyzm nie uznają boga osobowego.

Szyn to i z m polega na kulcie przodków, ludzi sławnych, a zwłaszcza z rodziny cesarskiej. Ludzi tych nazywają k a m i. Trudno jednak dopatrzeć się w pojęciu k a m i cech Bożych w znaczeniu naszym. W ostatnich czasach charakter religijny szyn to i z m u urzędowo zmalał do tego stopnia, iż Ministerstwo, na pytanie oficjalne, czy kult przodków jest kultem religijnym, odpowiedziało wyraźnie, że nie jest to ceremonia religijna, lecz czysto narodowa.

B u d d y z m utracił w Japonii istotną część swej treści, jaką jest n i r w a n a. Ot, gdy nadchodzi b o n — dzień zmarłych, Japończycy zapominają zupełnie o nirwanie i przygotowują m a t s u r i — obchody na przyjęcie duchów swoich przodków. Goszczą ich ryżem a następnie w barwnych okręci-
kach spuszcza ją na morze, by powróciły na zachód, skąd przyjechały.

A zresztą w obu religiach coś się psuje. Barwnie i obrazowo przedstawia to prof. A n o s a k i: „W lesie stoją stare olbrzymy buddyzmu i konfucjanizmu. Ale już widoczne na nich ślady rozkładu. Gigantyczne ich pnie zda się, od rdzenia samego poczynają gnić. Tuż obok nich stanęło inne drzewo, dotąd przeszczepione, to c h r z e ś c i j a n s t w o, które jednak swoich korzeni nie zapuściło jeszcze tak głęboko, by mieć już dość siły życiowej“...

—Widzieliście księża u nas w Tokio tysiące wiernych, zdążających do świątyn pogańskich. Przyciąga jednak te tłumy nie tęsknota za modlitwą, jeno ciekawość i chęć zabawienia się. Obok świątyn bowiem jest pełno miejsc zabawy i rozrywek — zawsze pełnych...

— Mimo wszystko jednak podziwiamy ten dziwny pokój, który się maluje na twarzach Japończyków — wtrącamy nieśmiało.

— Ja znam wielu pogańskich Japończyków zawsze szczerze rozradowanych, odpowiada X. arcy-pasterz. Wniknąwszy jednak głębiej w te dusze,

zauważyłem w nich pesymizm i rozgoryczenie, jako owoce rozdarcia wewnętrznego i niezadowolenia.

— Toteż katolicyzm zdobywa sobie powoli rozgłos między ludnością, ale także uznanie w kołach rządowych. Objawy tego m. in. takie, że cesarz obdarzając rozmaite zakłady dobroczynne, nie pomija nigdy katolickich. Również i władze podkreślają często patriotyczne ustosunkowanie się katolików do państwa.

— Praca misyjna w Japonii, opowiada dalej zasłużony biskup misyjny, wymaga ogromnego nałożenia ze względu na wysoki poziom oświaty i wykształcenia oraz na wyrafinowaną kulturę Japończyków. Obok starych wypróbowanych, wprowadza się nowe metody misyjne. Urządza się więc rekolekcje zamknięte. Zakłada się klasztory, zwłaszcza kontemplatywne jak trapistów, które tak bardzo odpowiadają duszy japońskiej. Obejmuje się kierownictwo nad lecznicami i trędowniami, z których zwłaszcza Zakład X. Iwaszity w K o y m i e cieszy się nawet opieką matki cesarzowej.

— W pierwszym rządzie zwracamy uwagę na oddziaływanie za pomocą nauki i wszechstronnego wykształcenia. I przyznać muszę, że katolickie szkolnictwo w Japonii stoi na wysokim bardzo poziomie, iż śmiało konkurować może ze szkolnictwem rządowym.

— Nie pomijamy nawet filmu. Film o. Hoovera „26 męczenników japońskich“ oraz „Dona Gratia“ doznały entuzjastycznego przyjęcia we wszystkich miastach japońskich.

— Usiłujemy również zmontować rzetelną prasę katolicką. „Nippon Katoriku Shimbun“ najpoważniejsze nasze pismo rozchodzi się w 12000 egz. Prócz tego wydaje się 12 innych mniejszych katolickich czasopism.

Przy tej sposobności X. arcybiskup podkreśla wielką zasługę w tym względzie polskich Franciszkanów w Nagasaki, a zwłaszcza praktyczne ujęcie japońskiego „Rycerza“.

Dowiadujemy się jeszcze, że wszystkich katolików w Japonii jest około 110 tysięcy, kapłanów 240 — w tym 80 rodowitych Japończyków. Kiedy wyrażamy nieco nasze zdziwienie z powodu małego postępu katolicyzmu w Japonii, X. arcybiskup podaje nam kilka przyczyn i powodów tego smutnego zjawiska.

— Główną przeszkodą to dziwna obojętność dla religii katolickiej, znachodząca się w większej części ludności. Pochodzi ona zapewne z przerafinowania kulturalnego i z poczucia wyższości nad kulturą europejską.

— Inna przeszkoda to zwyczaje rodzinne. Mąż despotyczny pan nad żoną i dziećmi nie pozwala, by któryś z członków rodziny wykluczał się z jej grona przez przyjęcie innego europejskiego wyznania. Nieraz dziewczęta, uczęszczające do szkół

katolickich, przyjmują wiarę katolicką, tym samym zamykają sobie drogę do małżeństwa.

— Do tych trudności dochodzi często niechęć do misjonarzy. Rodzi się ona przede wszystkim z wybujałego nacjonalizmu japońskiego. Powodem wreszcie tego, to za mała liczba misjonarzy.

— Mimo wszystko jednak jestem pełen optymizmu, oświadcza nasz gospodarz.

— Rząd japoński w ostatnich czasach coraz wyraźniej dąży do przyjaznej pracy z Watykanem. Wyczuwam też intuicyjnie, że dla Kościoła nadchodzą u nas lepsze czasy. Nad Krajiną Wschodzącego Słońca poczyna świecić coraz jaśniej słońce prawdziwej wiary Chrystusowej...

Wstępujemy na chwilkę do katedry, położonej niedaleko pałacu arcybiskupiego. Jest to właściwie kościół parafialny. Po zawaleniu się katedry, w czasie trzęsienia ziemi, został on kościołem biskupim.

W kościele spotykamy grupkę modlących się. Są to przeważnie kobiety z białym welonem na głowie. Modlą się bardzo żarliwie. Jedna z nich skulona na macie pod filarem pisze coś na białym arkuszu papieru.

Modlimy się gorąco o nawrócenie Japonii. Rozumiemy dobrze, że Japonia staje się ośrodkiem i motorem, opiekunem i inicjatorem wielkich dążeń panazjatyckich. Od nawrócenia się Japonii zależeć będą losy Kościoła w całej Azji.

Wiśnie kwitną

Jokohama — Weszli przemocą — Potęga na morzu — Wiśnie kwitną — Ogrody wędrują — Mitsui i Mitsubisi — Góra Fudzi — Radio — Opuszczamy Japonię.

Z Tokio unosi nas ekspres „Jaskółka“ w stronę Korei. W wagonach wszystko aż się mieni. Każdy wagon ma osobnego posługacza, który pilnuje porządku. On też zajmuje się od razu naszym bagażem. Mniejsze walizy umieszcza na półkach, większe zanosi do przedsonka. Za chwilę przynosi pantofle. Jest bowiem zwyczaj w Japonii, że pasażerowie zdejmują obuwie i na czas podróży nakładają pantofle.

Stajemy w Jokohamie, największym porcie Japonii. Uroczym połyskuje szmaragdowa tafla Oceanu Spokojnego. Na niej kołyszą się okręty, otulone pióropuszem dymu, japońskie i cudzoziemskie. Lśniące olbrzymy wojenne stoją zakotwiczone w zatoce — groźne w swym bezruchu. Czerwone bojebanie kotwiczne jarzą się w słońcu, jak rzucone na lazur krwawe tulipany.

Tu oto w Jokohamie zdarzył się fakt, który stał się początkiem potęgi dzisiejszej Japonii. Jeszcze 80

lat temu Japonia była odgradzona od reszty świata. Pod karą śmierci Japończykowi nie było wolno wyjeżdżać za granicę. Szogunowie — władcy ówczesnej Japonii nie pozwalali na budowę okrętów, byle tylko uniknąć styczności z dalekim światem.

Wtem oto w lipcu 1853 r. komandor Perry na czele amerykańskiej eskadry wojennej zjawia się przemocą w zatoce U r a g a, blisko Jokohamy. Pod grozą armat żąda otwarcia portu. Strach pada na władców i poddanych. Nie mogąc się jednak przeciwstawić przemocy, rozpoczynają układy. Zbliżających się do eskadry samurajów jako parlamentariuszy, witają salwy armatnie. Przeżnięci siłą wybuchu, okazują oni jeszcze większą skłonność do rokowań. Toteż dr Williams uczestnik tej wyprawy, może się pochwalić w swoim pamiętniku:

„Będzie to na zawsze dzień pamiętny dla Japonii. Dziś udało nam się wepchnąć przemocą klucz do zamku i otworzyć zamknięte drzwi. Uczyniliśmy pierwszy krok, by przełamać izolację Japonii“.

Zostaje wnet zawarty układ handlowy, a gwiazdzista bandera zaczyna powiewać na gmachu amerykańskiego konsulatu.

Odtąd dużo młodych Japończyków wyjeżdża do Ameryki i Europy. Przypatrują się ciekawie wszystkiemu. Wracają po latach z doświadczeniem technicznym i z najnowszymi maszynami.

Powstają fabryki, rozwija się przemysł. A dziś? Nawet Ameryka zakupiła w Japonii kilka ulepszonych maszyn tkackich.

To samo z flotą, której statki oglądamy w zatoce Uruga. Rozwój istotnie fantastyczny. Komandorowi Perry'emu wyjechały naprzeciw łodzie rybackie, bo większych statków nie było. Dziś flota handlowa Japonii najsilniejszą jest na Oceanie Spokojnym. A flota wojenna?

H o g i, kapitan marynarki, uśmiecha się do nas dobrotliwie.

— Nie boimy się dzisiaj ani Ameryki ani Anglii. W razie wojny flota nasza odniesie zdecydowane zwycięstwo — mówi z naciskiem.

Flota japońska dorównuje już prawie amerykańskiej. Niektóre torpedowce japońskie szybkością przewyższają nawet angielskie.

W zatoce, na którą patrzymy, odbywają się od czasu do czasu rewie morskich sił zbrojnych Japonii. W ostatniej rewii brało udział 160 okrętów wojennych. Wyszeregowane okręty zajmowały przestrzeń 36 mil kwadratowych. Sam cesarz H i r o h i t o dokonywał przeglądu.

Powoli wysuwał się okręt „H i d z e i“ z cesarską banderą ze złotą chryzantemą na czerwonym tle. Marynarze zgromadzeni byli na tylnych pokładach pancernych kadłubów. Niejednemu iza cisnęła się do oczu na widok cesarza i tej potęgi morskiej, której „Syn słońca“ był naocznym świadkiem.

Opuszczamy J o k o h a m ę. Ciepły wilgotny wiatr, idący od oceanu, sprawia, że wszystko pokrywa się zielenią. W ogrodach jaśniej różowy rozbrask kwitnących wiśni. Ludziska z zachwytem wpatrują się w te dziwy Boże. Japończyk bowiem kocha przyrodę. Otacza ją czią prawie religijną. Nade wszystko jednak rozkoszuje się kwitnącą wiśnią.

Ulubioną wiśnię spotkać można wszędzie przy domu, na drodze, przy każdej pagodzie. W starym parku U e n o w Tokio rośnie 20 tys. drzew wiśniowych. A gdy tam wiśnie zakwitną, jest święto w stolicy. Około 300 tysięcy ludzi pielgrzymuje wówczas codziennie do parku Ueno. Spędzają tam całe godziny wśród słodkiego, upajającego powietrza.

Już w Nagasaki pokazywał nam o. Gracjan gaje wiśniowe, leżące blisko klasztoru. Mówił, że na czas rozkwitu drzew schodzą się tłumy ludzi. Wśród śpiewu i muzyki spędzają tam długie godziny. Nieraz jeszcze nad ranem brzmia dźwięcznie s i a m i s e n y i b i ł y — instrumenty japońskie.

Dowodem ukochania przyrody to duże tutejsze ogródki. Kto ma trochę pieniędzy, stara się przyozdobić jak najwięcej swój ogródek. Kupuje najpiękniejsze kwiaty, krzewy, drzewka, a nawet wyrosłe już drzewa. Jest właśnie okres przesadzania drzew. Ogrodnicy wykopują piękne okazy świerków, jesionów czy dębów, obcinają im korzenie

prawie tuż przy pniu i sprzedają chętnym nabywcom.

Właśnie spotykamy taką „przeprowadzkę“ drzew. Cztery woły ciągną wóz z starym klonem. Obok drzewa znajdują się torby z ziemią. Chodzi o to, by przy sadzeniu drzewa dodać trochę ziemi z miejsca dawnego.

Ceny wyjątkowo pięknych drzew dochodzą do wysokości kilkunastu tysięcy jenów. W ogrodzie ambasady polskiej w Tokio podziwialiśmy karłowatą sosnę o symbolicznych kształtach, za którą właściciel zapłacił około 10 tysięcy.

Jadąc przez przedmieście Jokohamy spotykamy ogromne fabryki i gmachy. Mówią nam, że to własność rodzin Mitsui i Mitsubishi.

Są to dwie najbogatsze rodziny Japonii. Nie dorówna im ani Okura, dostawca armii, ani Okazaki, wielki przemysłowiec, czy też Sumitomo, bogaty bankier japoński. Majątek osobisty rodziny Mitsui wynosi 3 miliardy jenów. Prócz tego w jej zarządzie znajdują się najrozmaitsze przedsiębiorstwa o łącznym kapitale 9 miliardów jenów. Tak samo Mitsubishi.

Mitsui, Mitsubishi — każdy Japończyk wymienia te nazwiska ze czcią. Z nimi stale się spotyka. Dzienniki, ubezpieczenia, linie okrętowe, przemysł, artykuły spożywcze — wszystko w ich rękach.

Czy ich nienawidzi? Zdaje się, że nie. Setki milionów płyną z ich kieszeni na cele społeczne.

Przy czym obie rodziny znane są ze swego patriotyzmu. Mniej życzliwie odnoszą się do nich koła wojskowe.

— Za mało kredytów dla armii, za mało na zbrojenia — podnoszą się często zarzuty. — Mitsui i Mitsubishi za mało dbają o armię — wtóruje prasa im oddana.

Członkowie obu tych rodzin mają, jak słyszałem, skromne wymagania. Są to ludzie pracy, a przy tym przywiązani do obyczajów narodowych.

W Tokio odbyło się otwarcie centrali Mitsui. Gmach wspaniały. Wszystko z żelaza i betonu. Nie brak schronów przeciwgazowych i ochronnych siatek stalowych na wypadek ataków lotniczych. Koszty budowy wyniosły 35 milionów jenów. Na otwarcie zaprosili Mitsui bonzów — duchownych szyntoistycznych. Ustawiono ołtarzyk domowy. Bonzowie w starożytnych szatach składali przodkom ofiary z ryb, chleba i oliwy. Po czym Mitsui, dyrektorzy i goście kładli na ołtarzyku gałązki świętego drzewa b a s a k i.

Pociąg pędzi dalej. Przez okna wagonów błyska bajkowy krajobraz japoński, malowany bogato słońcem i zielenią. Daleko na horyzoncie wita nas góra Fudzi, znana od wieków świętość Japonii. Fudzi, ukochana Fudzi — powtarza z rozkoszą Japończyk. — Pieśń moja pochwalna na cześć przyrody zaczyna się od Fudzi i kończy się

na tej świętej górze — śpiewa poeta **Dziona Nobuci**.

Fudzi jest to młody wulkan o geometrycznej prawie formie stożka z promienisto rozchodzącymi się wyrwami, pokrytymi wiecznym śniegiem. Podczas jakiegoś kataklizmu stożek ten został wyrzucony z łona ziemi i to przypadkowo w tak wzniosłych liniach.

Jest marzeniem każdego Japończyka, by mógł odbyć wędrowkę na świętą górę. Toteż z nastaniem wiosny tłumy pielgrzymują na jej szczyt. Po drodze są pagody i hoteliki dla pielgrzymów. Niektórzy idą w tradycyjnym stroju, w płaszczu i kapeluszu słomianym na znak pokuty. Opowiadano nam, że ostatnio pewien staruszek odbył tę męczącą drogę. Zaszedł na sam szczyt, lecz skonał ze wzruszenia.

Mijamy **Gamagori, Nagoię, Jokaici i Narę**.

Kwitną wiśnie. Na zboczach gór, przy chatkach wieśniaczych bieleją drzewa wiśniowe. Pochyłone wiśnie sypią na drogi i ścieżki białe płateczki.

W **O s a c e** podziwiamy ogromne maszty radiostacji. Jest to druga najsilniejsza stacja w Japonii z mocą 100 kw. Wszystkich radiostacji posiada Japonia 25.

Ciekawa rzecz, że w programach sport zajmuje pierwsze miejsce. Trzy razy dziennie nadaje się lekcje gimnastyki. W tych lekcjach bierze udział

cały naród. Na boiskach szkolnych, na plażach słysząc słowa komendy, nadawanej przez rozgłośnię... Wszystko na pożytek Japonii!

Audycje muzyczne składają się w większej części ze starojapońskich melodii ludowych Kijomoto, Naniwa Busi i Tokiwaru. Trzecia część programu poświęcona jest wychowaniu państwowemu i społecznemu. Rozrywki bywają nadawane tylko w niedzielę wieczorem.

Przyjeżdżamy wreszcie do Simonoseki. I tutaj kwitną wiśnie. Za godzinę wsiadamy na okręt, który nas przewiezie do Korei. Opodal na matach siedzi młoda Japonka i nucąc cicho, gra na siamisienie. Kwitnąca wiśnia zwiesza nad nią swe gałęzie, białe od kwiecica i lśniące od blasków wiośnianego słońca...

Opuszczamy ziemię Nipponu i ten lud japoński prawdopodobnie na zawsze. Oszołomiła nas przyroda, oczarowali ludzie grzeczni i kulturalni, miłujący piękno i kochający nad życie swoją ojczyznę. Teraz rozumiemy, że to kraina nie tylko wiśni kwitnącej, ale i czynów mocarnych, które mocno zaważą na przyszłych dziejach ludzkości. Ufamy równocześnie, że szlachetny naród japoński, tak uporczywie szukający Boga, znajdzie Go — Boga Prawdy i Miłości. A wówczas Japonia, potężna Strażnica Wschodniej Azji, rozbłyśnie jako wielka światłość w rodzinie narodów chrześcijańskich między Wschodem a Zachodem.

Korea - kraj cichego poranka

Na pokładzie „Czozen-Maru“ — Miejsce historycznej bitwy morskiej — W szponach tajfunu — Kapitan Haraki — Z misyjnego frontu — Odmienny krajobraz — Z przeszłości kraju — Pod zaborem japońskim — W stolicy — Na znak żałoby — Jalu, granica Korei.

W Simonoseki opuszczamy Japonię. Okręt „Czozen-Maru“ już czeka przycumowany do mola. Około 700 podróżnych, zgromadzonych w drewnianej hali, niecierpliwi się przestępując z nogi na nogę. Starszy marynarz ogłasza wreszcie, że za chwilę będzie można wejść na statek. Wraz z kilku kolegami ustawia potulnych pasażerów w rzędzie. Tworzy się długi wąż ludzi ubranych w kimona i kolorowe stroje.

Zabiera się i do nas. Protestujemy na migi, pokazując mu nasze paszporty. Salutuje i przepuszcza nas przez barierę. Mijamy więc swobodnie worychtowany sznur ludzi i udajemy się wprost na pomost.

Rozmieszczamy się w dość obszernej kabinie a już niedługo „Czozen-Maru“, utrzymujący ko-
18*

munikację między Japonią a Koreą, odbija od brzegu.

Na pokładzie łók. Miejsce wolne od towarów zajęli ludzie. Obok Japończyków widać już twarze koreańskie z innym układem kości policzkowej. Obok Japonek, przewiązanych w pasie szerokimi obi i stąpających głośno drewnianymi chodakami, uwijają się także Koreanki, wyższe i smuklejsze od Japonek a ubrane w kaftaniki haftowane lub jasne, długie suknie.

Wyjeżdżamy z zatoki. Wszyscy kierują oczy, lornetki w stronę brzegów. Widać jeszcze wszystkie żurawie portowe i podniesione przęsła ruchomego mostu żelaznego.

Na wzgórzu majaczy wielka pagoda-świątynia Akamagu, zbudowana w XII wieku na cześć cesarza Antoku. Giną nam z oczu plamy statków, uwijających się w pobliżu portu.

Niezdługo znowu widać łąd. W dali ukazują się skały, wąwozy i źleby. Na skalnym zrębie strzela smukła iglica morskiej latarni. Dowiadujemy się, że to słynna wyspa Czuszima.

Tu oto w czasie wojny rosyjsko-japońskiej młodzieńca flota japońska zadała cios śmiertelny silniejszej i nowocześniejszej flocie rosyjskiej.

Było to 27 maja 1905 roku. Admirał Togo czekał pod Czuszimą na flotę rosyjską. Rosja bowiem wysłała swą flotę bałtycką na Daleki Wschód, by ocalić Port Artura.

Jeden z okrętów japońskich donosi za pomocą świeżo wynalezonego telegrafu bez drutu, że okręty rosyjskie nadjeżdżają. Admirał Togo skupia się na chwilę, a potem wydaje rozkaz:

„Marynarze! Przyszłość cesarstwa zależy od tej bitwy. Japonia wyczekuje odwagi i męstwa od każdego oficera, od każdego członka załogi. Togo“.

Rozpoczęła się bitwa. Strzelano z odległości 6 tysięcy metrów. Czarne chmury dymu pokryły obie floty. Już po trzech godzinach załamuje się rosyjska pierwsza linia bojowa. Admirał Rozdiestwieński pada ciężko ranny. Za kilkanaście godzin cztery pancerniki, pięć krążowników i pięć innych statków floty rosyjskiej zostało zatopionych w Morzu Japońskim. Cztery tysiące Rosjan utonęło, siedem tysięcy dostało się do niewoli. Japończycy zaś stracili tylko dwa torpedowce i 116 zabitych marynarzy.

Było to tak świetne zwycięstwo, że o większym marzyć trudno. Cały naród szalał z radości. Admirała Togo noszono na rękach jako świętość narodową. Japonia stanęła od razu w rzędzie mocarstw światowych.

Rozważania o tym czynie bohaterskim byłyby całkiem na miejscu, gdyby nie silne kołysanie się okrętu. Nad nami gruba kotara tumanu, spuszczonego się z czarnych chmur. Wicher gwizdaje, morze szaleje. „Czozen-Maru“ wspina się na strzępiaste grzbiety fal, to znowu zapada w wo-

dney czelusci. Woda chlusta przez burty. Białozielona piana obryzguje kominy. Podarte kłęby dymu tłuką się ponad wzburzoną bezdeń. — Zaczynamy się huścić, ślizgać, jak piłka rzucona na morskie roztocze.

Wywracają się torby, kufry, walizy. Słychać jęki wokoło. Trzeszczą żelazne belki okrętowego kadłuba. Sytuacja pogarsza się z chwili na chwilę. Czujemy, że grozi nam niebezpieczeństwo. Dostaliśmy się w obręb tajfunu.

Oficer, balansujący między poręczami, oznajmia, że wracamy. „Czozen-Maru“ wycofuje się szczęśliwie. Nieco uszkodzeń, dużo strachu i wszystko mija. Przyjeżdżamy z powrotem do Simonoski. Czekamy cały dzień. Morze się trochę uspokaja. Około północy siadamy znowu na okręt. Tym razem na „K o n g o M a r u“, o wiele większy i silniej zbudowany.

Na przystani dużo żołnierzy. Kapitan Haraki został przeniesiony do jednego z garnizonów koreańskich, więc wszyscy oficerowie pułku oraz cała kompania żołnierzy stawili się na pożegnanie. Haraki stoi na pokładzie wraz z żoną. W ręku trzyma kłębki papierowych wstążek. Końce wstążek znajdują się w rękach oficerów i żołnierzy. Okręt wyjeżdża z przystani. Wstęgi wydłużają się coraz bardziej. Prężą się i pękają jedna za drugą. Żołnierze śpiewają i wywijają czapkami. Wreszcie pęka ostatnia wstęga. Haraki sa-

lutuje a w oczach jego perlą się łzy. — **B a n z a i**
— niech żyje! — niesie wiatr z przystani.

Przedstawiamy się **X. biskupowi Larribea u**, który znajduje się również na pokładzie. Wraca z **Tokio do Seulu**, stolicy Korei. Okręt jest tak zapchany, że dla **X. biskupa** już nie ma kabiny. Toteż mimo późnej godziny przechadzamy się po pokładzie, a **X. biskup** opowiada nam o działalności misyjnej w Korei.

Koreańczycy łatwiej się nawracają aniżeli Japończycy — odzywa się na wstępie.

Dowiadujemy się, że na 20 milionów Koreańczyków jest przeszło 120 tysięcy katolików i to głównie w okręgach **Seul, Pengjang, Taiku i Wönsan**.

— Nawet Akcja katolicka nieźle u nas się rozwija — dodaje, gładząc przy tym ciemną brodę i uśmiechając się serdecznie.

Mówi nam, że rząd koreański dąży do odnowienia sił duchowych w narodzie. W tym odrodzeniu religia ma zająć ważne miejsce. Zwołano już nawet zebranie przedstawicieli wszystkich wyznań buddyzmu, szyntoizmu i chrześcijaństwa. Jako przedstawiciela chrześcijaństwa zaproponowano niestety protestanta.

Rząd jest gotów zaprowadzić przymus religii w szkołach. Nawet w poszczególnych wioskach chcianoby budować pagody i ustanawiać przy nich bonzów.

— A przyszłość? Trzeba dużo pracować, a równocześnie modlić się gorąco, by i w Korei pola dojrzały do żniwa...

Przybывamy szczęśliwie do Fuzan. Pociąg idący do Seulu już czeka na peronie. Ksiądz biskup kupuje nam bilety. Ludzie się śpieszą. Słychać gardłowe okrzyki Koreańczyków. Ostatnie badania tajnego agenta policji japońskiej — skąd, po co, dokąd — i ruszamy.

Korea to już nie Japonia. Z okna wagonu widać nędzne wioszczyny, przypominające nieco chińskie osiedla. Domy z gliny pokryte słomą. Na drogach widać ludzi dziwnie smutnych i zamysłonych. Mężczyźni ubrani w białe togi, noszą na głowie wysokie bardzo czarne cylinderki z plecionki bambusowej. Kobiety zamężne noszą chusty na głowie, a na nogach białe trzewiki. Idą, dźwigając kosze z towarami. Często poganiają brązowe byczki, obciążone pakunkami.

Natomiast krajobraz jest urozmaicony i malowniczy. W błękitach słonecznego poranka ekspres nasz mknie prosto na północ. Smugi słońca kładą się na szczyty górskie, grają blaskami, mienia się i iskrzą na drutach telegraficznych.

Jest czasu dużo, więc snują się rozmowy na temat dziejów tego ciekawego kraju. Początek jego sięga 2300 lat przed Chrystusem. Przez długie wieki jest potężnym cesarstwem. Później ule-

ga Chinom i staje się ich wasalem. Przed 80 laty Rosjanie zjawili się na Korei, ku wielkiemu przerażeniu Japończyków, którzy kraj ten sąsiadujący z nimi nazywają „sztyletem grożącym sercu Japonii“.

W r. 1868 Japonia zamierzała wkroczyć do Korei dla pomszczenia wymordowanych cudzoziemców i misjonarzy francuskich. Bo też straszne rzeczy działy się wówczas na Korei. Ogromna gilotyna ścinała głowy równocześnie 24 ludziom. Ameryka jednak uprzedziła Japonię.

Japończycy ponownie atakują Koreę w czasie wojny z Chinami i wreszcie w r. 1904 w walce z kolosem rosyjskim. Rozpoczynają się słynne boje o Port Artura i pod Czemułpo. Generał Nog i prowadzi Japończyków na forty rosyjskie. Nic nie potrafi powstrzymać bohaterских piechurów. Wyrzucają ich w powietrze podziemne miny, zabijają ich druty kolczaste, naładowane prądem, a oni wciąż prą naprzód i zwyciężają we wszystkich bitwach.

Po zwycięskiej wojnie Japonia obejmuje protektorat nad Koreą, a w roku 1910 zagarnia ją całkowicie. Odtąd nawet i nazwę kraju zmieniono, nazywając go Czo-zen czyli Krajem Cichego Poranka.

Trzeba przyznać, że Japończycy uczynili już dużo dla Kraju Cichego Poranka. Zaraz po zagarnięciu kraju zasadzili 25 milionów drzew morwowych i rozdali miejscowym chłopom 60 tysięcy

wołów. Sprowadzili do kraju kilkadziesiąt tysięcy fachowych rolników i robotników.

Podziwiamy piękne drogi, żelazne mosty, fabryki, nowoczesne budynki po miastach. Setki milionów idą ciągle jeszcze na inwestycje w przemysł stalowym, w kopalniach i gospodarstwie rolnym.

Toteż nie dziw, że kraj wywozi towarów za 500 milionów jenów. Co prawda handel spoczywa prawie całkowicie w rękach Japończyków. Na 1070 firm handlowych jest 938 japońskich, a tylko 132 należy do Koreańczyków.

Pociąg zatrzymuje się na stacji T a i d e n. Jakaś Koreanka z dzieckiem na plecach wchodzi do wagonu. Konduktor-Japończyk zaczyna jej wymyślać i to w sposób bardzo niegrzeczny. Nie wiem, o co chodziło. W każdym razie byliśmy tym zdziwieni, bo Japończycy słyną ze swej uprzejmości. Zorientowaliśmy się jednak na tyle, że Koreańczycy nie bardzo lubią swoich nowych panów, uważając ich za ciemiężców. Japończycy zaś odpłacają się „leniwym i brudnym Koreańczykom“, jak ich nazywają, pięknym za nadobne.

Dojeżdżamy do stolicy K e i z i o. Ponieważ jest to nazwa nadana przez Japończyków, więc Koreańczycy używają ciągle jeszcze pierwotnej nazwy S e u l.

Przed dworcem wielki plac, na którym zajeżdżają raz po raz nowoczesne limuzyny. Wychodzą

z nich sami Japończycy. Jakiś krępy Japończyk z strzelbą na ramieniu, widocznie namiętny myśliwy, maszeruje pewnym krokiem w stronę bileciarzni. Inni z teczkami, urzędnicy czy faktorzy, udają się do pobliskich miejsc wypoczynkowych. Nadjeżdża dużo oficerów, którzy gromadzą się potem w sali dworcowej.

Miasto dosyć duże — liczy przeszło 300 tysięcy mieszkańców. Ulice szerokie, nowoczesne gmachy, tu i tam asfalty, to już zasługa Japończyków, którzy za wszelką cenę starają się pozyskać ludzi tego kraju. Idzie to jednak z wielkim uporem. Ludzie tutejsi mają inne obyczaje, inny język. Chętną się nawet z tego, że oni przynieśli cywilizację Japończykom.

Przyznać należy, że pierwsi gubernatorowie japońscy w stosunku do Koreańczyków posługiwali się zbyt metodami pruskimi. A więc poznoszono szkoły koreańskie, a w innych szkołach wykładano tylko po japońsku. Zakazano mężczyznom noszenia włosów, upiętych w tradycyjny węzeł. Także i ostatniemu cesarzowi kazano ostrzyć włosy i to wobec uroczystości zebranych dygnitarzy państwa. Nawet swoje wierzenia religijno narzucali.

Był zwyczaj, że po miastach odzywał się wieczorem wielki brązowy dzwon. Na odgłos dzwo-
nu wszyscy mężczyźni musieli się usunąć z ulicy, by kobiety mogły odetchnąć po całodziennej pra-

cy. I ten zwyczaj zniesiono co prędzej. Słowem chciano wszystko od razu zmodernizować jak w Japonii. Skutek wszystkiego był ten, że lud buntował się i stawiał opór japońskim urzędnikom. Zamachy były na porządku dziennym. Był czas, kiedy 18 tysięcy Koreańczyków ślęczało w więzieniach. Odprężenie nastąpiło dopiero pod rządami nowego a rozumnego gubernatora Saito, który pouczony doświadczeniem, zmienił metodę postępowania.

Oglądamy miasto. Spotykamy dużo sprzedawców kasztanów. Palą długie gliniane fajki i palą smętnie na przechodniów. Widok tych koreańskich kupców, siedzących na matach z wysokimi cylindrami na głowie, jest bardzo zabawny. Za to japońskie domy towarowe są urządzone na sposób amerykański. Piękny plac cesarski jest zasłonięty przez ogromny gmach gubernatorstwa. Stało się to chyba przypadkowo. A może chciano przyćmić blask dumy narodowej, bijący z tego miejsca?

Spotykam inteligentnego Koreańczyka o płaskiej twarzy i dużych brązowych oczach, ubranego w białe szaty. Poznawszy we mnie cudzoziemca, wdaje się od razu w rozmowę. Dowiaduję się od niego, że ubiór biały, spotykany tu u mężczyzn na każdym kroku, noszony jest na znak protestu przeciw zaborowi Korei. Na wschodzie bowiem biały kolor oznacza żałobę. Inna rzecz, że Kore-

ankom przybyło dużo roboty z praniem protestacyjnego stroju swoich mężów i synów.

Przykro nam patrzeć na tutejszych ludzi, przygnębionych utratą swej niepodległości. Zwłaszcza jako Polacy współczujemy z nimi serdecznie. Ufamy jednak, że wypróbowana roztropność i takt Japończyków umożliwią inne warunki i zapewnią przyjazne współzycie dwóch sąsiednich narodów.

Opuszczamy stolicę Kraju Cichego Poranka. Wyruszamy teraz do dalekiej M a n d ż u r i i.

Wagony tak zapchane wojskiem i cywilami, że stoimy na korytarzu. Japończyk jest uprzejmy. Nie zapomniał o tej zasadzie nasz konduktor, przybrany w nowy odświętny mundur. Dowiedziawszy się, że jedziemy tak daleko, prowadzi nas od razu do wagonu salonowego i sadza na fotelach obok generała i wysokich urzędników japońskich.

Pociąg pędzi przez spiętrzone podgórze. Mijamy osiedla ubogie i miasteczka, budowane z gliny lub z złotawego drzewa. Świszcze i dudni po żelaznym torze. Hucząc, pędzi starym historycznym szlakiem, kędy od wieków przelatywały huragany wojny i moru...

Na widnokręgu łańcuch błękitnawych gór rozpościera swe skrzydła na niebie. Gasnąca zorza ściąga pospiesznie łunę purpurową przed pochodem jaśniejących gwiazd. Dojeżdżamy do wielkiej rzeki J a l u, kędy granica Kraju Cichego Poranka.

Mandzu-kuo - kraj pokoju i enoty

Graniczne przyjemności — Wagon-obozowisko — Z przeszłości Mandzurii — „Bandyta z Mukdenu“ — Osobne państwo — Mukden — Porucznik Tsutomu — Nowa stolica — Biskup Gaspais — Do Charbina.

Za wielką rzeką J a l u opuszczamy Koreę. Pociąg pędzi pełną parą w głuchą noc. Słaby blask księżycy przyświeca między powoli sunącymi chmurami. Jesteśmy już na terytorium nowego cesarstwa M a n d ż u - k u o.

Pociąg zatrzymuje się w A n t u n g u. Do wagonu wchodzą urzędnicy mandżurscy, sami Japończycy. Budzą nas ze snu, by dokonać rewizji paszportów i bagażu. Otwieramy zaspane jedną i drugą walizę dla zaspokojenia ciekawości grzecznych zresztą celników.

Gorzej ma się sprawa z paszportami. Nie postaraliśmy się bowiem o wizę mandżurską. Wszak ani wiza japońska ani też chińska nie wystarczają. Widząc nasze zaspane, a jednocześnie i zaambarasowane miny, krępy Japończyk uśmiecha się do-

brotliwie i zabiera nam paszporty. Nie wiemy, jak to się skończy. Za chwilę jednak ukazuje się znowu we drzwiach wagonu i zadowolony oddaje nam paszporty, zaopatrzone w nowe pieczęcie i gotową już wizę. W czterech językach, a mianowicie po japońsku, chińsku, rosyjsku i angielsku oznajmia się wszystkim społecznie, że obywatel polski X. ma prawo jednorazowego wjazdu na terytorium cesarstwa Mandżu-kuo.

Dziękujemy mu za tę grzeczność. On jednak ponownie się uśmiecha, wyciąga rękę i powiada, że byłoby dobrze zapłacić mu 10 gobi za tę fatygę (1 gobi — 1,50 zł). Ponieważ nowe cesarstwo zależne jest całkowicie od Japonii, więc i waluta jest ta sama. Różnica tylko w tym, że zamiast jeńców płaci się równowartymi gobi.

Zapłaciwszy ten haracz na korzyść nowego cesarstwa, zasypiamy znowu na chwilę. Skuleni w kącie wagonu budzimy się raz po raz, by nakryć się płaszczem, sutanną, czym się tylko da. Jedziemy przecież ciągle na północ, a zimno daje się nam coraz więcej we znaki.

Wagon nasz to jedno wielkie obozowisko. Jadący z nami japońscy oficerowie pozdejmowali długie buty, które poniewierają się teraz na ganku. Walizy, tłumoki, zawiniątka tworzą zatory nie do przebycia. Głośne chrapanie naszych towarzyszy miesza się z miarowym stukotem kół wagonowych, dudniących po stalowych szynach.

Aż głowa boli od mdławego zaduchu, który idzie z niedużych fajeczek, nie opuszczających nigdy ust naszych chińskich pasażerów.

Zgrzytają hamulce, skrzypią zderzaki wagonów. Stacja. Nastaje cisza, przerywana hałaśliwym chrapaniem. Krótki świst syreny i znów mkniemy w mglistą, bezkresną dal.

Po pacierzach kapłańskich zabieramy się do lektury. Trzeba się zapoznać z krajem, który w ostatnich czasach stał się przedmiotem zainteresowań międzynarodowych.

Mandżuria, zwana „śpichlerzem Azji“, jest jeszcze raz tak wielka jak Polska i liczy 30 milionów mieszkańców, w tym 28 milionów Chińczyków, 1 milion Koreańczyków, pół miliona Japończyków, 150 tysięcy Rosjan i innych. Kraj ten należał przez długie wieki do Chin. Cesarze z dynastii mandżurskiej przez 300 lat zasiadali nawet na tronie chińskim.

W XIX wieku Chiny popadają w coraz większą niemoc. Korzysta z tego Rosja i wyciąga ręce po bogatą Mandzurię. W r. 1891 rozpoczyna się budowa kolei syberyjskiej. Jej stalowe ramiona prężą się coraz dalej na wschód i wreszcie ogarniają także Mandzurię, w której wpływy rosyjskie poczynają się zwiększać coraz widoczniej. Rosja utrzymuje w tym kraju własne wojska, niby to dla ochrony kolei. Ma własną pocztę i rządzi się swoim własnym prawem.

Usadowienie się Rosji w Mandżurii jest solą w oku dla Japończyków, tym więcej, że Rosja stara się i Koreę poddać swoim wpływom. Wybuchła wojna rosyjsko-japońska. Japończycy zwyciężają i wyrzucają Rosję na razie przynajmniej z południowej Mandżurii.

Rozpoczyna się naprawdę wzorowa gospodarka japońska. Rozbudowuje się koleje, wznosi się nowe miasta, zakłada się szkoły. Skromna wioska rybacka D a i r e n, nie większa od naszej przedwojennej Gdyni, staje się nowoczesnym miastem, liczącym pół miliona mieszkańców, Dairen jest dziś największym portem w Azji, większym od Szanghaju, a z opłat portowych Japończycy ciągną rocznie 700 milionów jenów zysku.

Zakłada się wielkie kopalnie rudy żelaznej i węgla. Przy tym wydobywanie węgla jest tu niezmiernie ułatwione, bo odbywa się pod gołym niebem. We F u s z u n i e, obok którego w tej chwili przejeżdżamy, znajduje się największa tego rodzaju kopalnia na świecie. Jej pokłady są obliczone na przeszło 5 miliardów ton.

Mandżuria mimo wpływów, jakie Japonia miała w tym kraju, politycznie ciągle jeszcze należała do Chin. Japończycy umieli jednak pozyskać generałów chińskich, którzy tu rządzą. Na ich usługach stał głównie marszałek chiński C z a n g - T s o - L i n, „bandyta z Mukdenu“, jak go powszechnie nazywano.

Przez Tajemniczy Wschód. 19

Czang-Tso-Lin już jako dwudziestoletni bił się na czele własnej bandy zbójeckiej po stronie japońskiej z Moskalami. Później pod naciskiem Japończyków został chińskim generalnym inspektorem całej Mandżurii. Na czele swych wojsk wkroczył nawet do Pekinu i chciał się ogłosić cesarzem Chin.

Marszałek staje się Japończykom w końcu niewygodny. Pociąg salonowy, który 4 czerwca 1928 r. wiezie go do Mukden, najeżdża „przypadkowo“ na bombę i wylatuje w powietrze wraz z marszałkiem.

Następcą jego został generał C z a n g - H s u - L i a n g. I on sprzyjał początkowo Japończykom, lecz nie w tej mierze, co jego poprzednik. Japonia nie tała swego niezadowolenia z takiego stanu rzeczy. Toteż z radością powitała okazję do wystąpienia zbrojnego.

Tą okazją było zniszczenie małego odcinka kolei południowo-mandżurskiej, należącej do Japończyków, przez żołnierzy Czang-Hsu-Lianga.

Pod koniec września 1931 r. rozpoczęto działania wojenne. W ciągu kilku miesięcy zajęto całą Mandżurię i to bez większych strat. Mocarstwa europejskie, a zwłaszcza Ameryka patrzyły niechętnym okiem na tą bogatą zdobycz japońską. Aby uniknąć powikłań międzynarodowych, postanowiono z Mandżurii utworzyć osobne państwo, zależne jednak od Japonii.

Na głowę państwa wyznaczyli Japończycy b. ce-

sarza chińskiego P u - i, potomka dynastii mandzurskiej. Dnia 1 marca 1934 r., po dwuletnich rządach, na razie w charakterze regenta, odbyła się w Sinkingu uroczysta koronacja, a Pu-i został cesarzem mandzurskim. Nowy cesarz przybrał imię Kang Tek, co znaczy „pokój i cnota“, pragnąc zaznaczyć, że „Mandżu-kuo“ ma być państwem pokoju i cnoty.

Wśród takich rozważań dojeżdżamy do M u k d e n u. Długi wąż wagonów wśród ciężkiego oddechu ognistych płuc parowozu wślacza się do wielkiej hali dworcowej. Japoński zawiadowca stacji w czerwonej czapce komenderuje: wszyscy wysiadać.

Mukden liczy blisko pół miliona mieszkańców i stale się jeszcze rozrasta. Jest to najważniejszy węzeł kolejowy Azji Wschodniej. Stąd idą ekspresy, które mają połączenie z koleją transsyberyjską, a więc i z Europą. Stąd droga do Hailungu, Dairenu, do Pekinu i do Tokio.

Jest w Mukdenie i nowoczesna dzielnica z bogatymi wystawami sklepowymi, tak zwana S z a m p u t i. Znajduje się tu bogato wyposażony Instytut Medycyny, założony przez Japończyków.

W chińskiej dzielnicy uwijają się wśród lepianek z gliny lub kamieni polnych a r b y — ogromne wozy o dwóch ciężkich kołach. I zdaje nam się, że w takich arbach odbywała się chyba podróż kobiet i dzieci w czasie wędrówki narodów.

Najpiękniejszą ozdobą Mukdenu to mauzolea cesarza chińskich z dynastii mandżurskiej. Tu spoczywają T a i - T s u n g - W e n, cesarz słońca, i mądry cesarz polityk T a i - T s u - K a o, czczeni za życia jako bogowie.

Wyjeżdżamy następnym pociągiem. Podziwiamy porządek na dworcu. Dworzec zapchany robotnikami chińskimi. Wydawałoby się, że dokoła wagonów będzie tu tłok nielada. Gdzie tam! Przewornici urzędnicy kolejowi ustawiają pasażerów w szeregach przed każdym wagonem. Sprawnie i bez hałasu wstępuje pierwsza dwójka na stopnie. Za nią druga. I tak dalej.

Krajobraz na ogół ten sam. Obok toru kolejowego ciągną się dalekie równiny, po których uwiłają się gdzie niegdzie srebrzyste bażanty. Wioski biedne, pełne domków glinianych i brudu. Miasteczka okolone murem obronnym z niepalonej cegły. W środku drugi mur z kamienia, za którym się mieszczą urzędy.

Rozmawiam z porucznikiem 34 pułku piechoty, p. T s u t o m u O k a z a k i. On sam nawiązał rozmowę, wypytując się o znaczenie obrazków, które ujrzał w moim brewiarzu.

— To jest Jezus Chrystus, Syn Boży — tłumaczę mu.

— Zdaje się, że coś o tym słyszałem — odpowiada z uszanowaniem.

— To jest Maryja, Matka Syna Bożego — ciągnę dalej.

— Piękny obrazek, śliczna postać, ale ja tego nie rozumiem.

Mówi mi, że jest wierzącym, że ma cześć religijną dla cesarza Japonii i dla swych przodków. O chrześcijaństwie nie ma prawie żadnego pojęcia. Dotychczas nie czytał żadnej książki o Bogu. Biedny poganin! A takich w Japonii jest przeszło 70 milionów.

Tsutomu z cierpliwością anielską uczy mię po japońsku. Rozpoczyna od głowy, uszu, a kończy na pistolecie i szerokiej szabli z samurajską rękocięcią. Każdy wyraz powtarza po kilka razy, póty go sobie nie zapamiętam.

Tsutomu kończy swą lekcję języka japońskiego dopiero w S i n k i n g u, dokąd przybywamy. Na pożegnanie salutuje, a potem rzuca ostatnie słowa:

— Oby Polska dochowała zawsze przyjaźni mej japońskiej ojczyźnie!

Sinking znaczy tyle, co „Nowa Stolica“. Dotychczasowa nazwa była Czang-czuń. Sinking jest rzeczywiście stolicą cesarstwa Mandżu-kuo. Na razie jest ona mniejsza od Mukdenu i Charbina, bo liczy około ćwierć miliona mieszkańców. Według planu rozbudowy miasta, który oglądamy przed nowoczesnym dworcem, ma ono liczyć w przyszłości 3 miliony mieszkańców. Na razie pracuje się nad dalszą rozbudową. Na ulicach leje się masę asfaltową, ustawia latarnie, zakłada ru-

ry kanalizacyjne. Wznosi się gmach dla ministerstw. Ma też być pobudowany nowy pałac cesarski, nie ustępujący przepychem pałacom pekińskim.

Jest za co budować. Z Japonii płyną bezustannie pieniądze. Sama firma japońska Mitsui wysygnowała na ten cel 60 milionów gobi. Chodzi o zjednanie sobie sympatii w nowym cesarstwie.

Z dworca jedziemy do X. biskupa Gaspais, wikariusza apostolskiego. Szofer kiwa głową, że zrozumiał, dokąd ma nas podwieźć. Stajemy przed kościołem, murowanym z czerwonej cegły. Wchodzimy do domu obok kościoła. Wygląda bowiem całkiem na pałac biskupi.

Przyjmuje nas starsza już pani. W toku rozmowy wyjaśnia nam, że zachodzi pomyłka, bo tutaj znajduje się misja protestancka, a ona jest żoną pastora.

Zajeżdżamy przed inny kościół w ubogiej dzielnicy. Tym razem szofer się nie pomylił. X. Biskup przyjmuje nas serdecznie, zwłaszcza X. Chodniewiczza, jako nowego proboszcza parafii charbińskiej, należącej do jego wikariatu apostolskiego.

Ksiądz biskup opowiada nam o stosunkach miejscowych. Przechodził w Mandżurii rozmaite koleje, zwłaszcza, kiedy w kraju grasowali c h u n c h u z i — bandyci. Grabieże i mordy były na porządku dziennym.

— Za cesarstwa nastąpiły teraz czasy spokojniejsze. Poza tym sam cesarz, jak zdołałem wywnioskować, jest misjom przychylny.

— Czy Ekscelencja widział cesarza? — pytamy z ciekawością.

— Widziałem go, w czasie uroczystości koronacyjnych, urządzonych z bajkowym przepychem. Był tam także obecny p. M o ś c i c k i, wasz pełnomocny minister w Tokio.

— A nawet rozmawiałem z cesarzem— ciągnie dalej dostojsny pasterz misyjny.

Opowiada nam, że został przyjęty przez cesarza jako pierwszy cudzoziemiec. Z polecenia Stolicy Apostolskiej miał on złożyć oświadczenie w sprawie Kościoła katolickiego w cesarstwie Mandzuku. Przyjęto go według ceremoniału dworskiego. Wszedł więc do sali tronowej w otoczeniu marszałka dworu i dygnitarzy i złożył cesarzowi trzykrotny pokłon. Na tym się skończyła uroczysta audiencja. Potem dopiero zaprosił go cesarz do prywatnych apartamentów i rozmawiał z nim przez chwilę.

Dowiadujemy się w ciągu rozmowy, że rząd cesarski idzie misjonarzom na rękę. Ilekroć X. biskup wyjeżdża na wizytację, towarzyszy mu zawsze czterech żołnierzy japońskich jako straż honorowa.

W Mandzu-kuo znajduje się w tej chwili 10 okręgów misyjnych, w których pracuje 240 misjonarzy zagranicznych oraz 85 kapłanów krajowych.

Wszystkich katolików liczy się na 210 tysięcy. Mnożą się nawrócenia. Czasy dla apostołstwa są nad wyraz pomyślne. Potrzeba jednak dużo misjonarzy. Warto wysiłku, bo przyszłość misyj w cesarstwie zapowiada się jak najlepiej.

— Szczęśliwy jestem, że w moim okręgu znajduje się trzy tysiące Polaków — podkreśla X. biskup z naciskiem, kiedy już późnym wieczorem udajemy się na spoczynek.

Polskie orły nad Sungari

Charbin — Miasto, którego nie było — Wśród rodaków — Witamy naszego proboszczulka — U mogiły śp. X. Ostrowskiego — Śmierć inż. Grochowskiego — Kościoły polskie — U siostr Urszulanek — W gospodzie polskiej — Góra nasi.

Jest niedziela, wiosenny słoneczny dzień. Opuściliśmy *S i n k i n g*, by udać się do *C h a r b i n a* nad rzekę *Sungari*. Jedziemy w radosnym nastroju. Zobaczymy naszych rodaków, odetchniemy polską atmosferą, mówić im dużo będziemy o Bogu i Polsce.

Czy Polacy już dawno mieszkają w Mandżurii? Pierwsze grupy rodaków pojawiły się tutaj z chwilą rozpoczęcia budowy kolei Wschodnio-Chińskiej. Było to 40 lat temu. Polscy inżynierowie, urzędnicy i robotnicy budowali tę kolejkę, którą w tej chwili jedziemy. Po skończeniu budowy zostali i nadal. Przyłączyli się do nich polscy żołnierze, kupcy, rzemieślnicy, chcący popробować szczęścia na Dalekim Wschodzie.

Głównym skupiskiem Polaków staje się *Charbin*, do którego zdążamy. Jeszcze w r. 1897 *Char-*

bina nie było. Dzisiejszy Charbin liczący 400 tysięcy mieszkańców powstał przypadkowo. Założył go Polak inżynier S z y d ł o w s k i, który szukając odpowiedniego miejsca dla umieszczenia biur zarządu budowy kolei, dotarł w te strony.

Wśród takich rozważań zbliżamy się do doliny rzeki Sungari.

X. Kanonik Chodniewicz jest mocno wzruszony. Wszak jeszcze parę minut a ujrzymy tych, których Opatrzność Boża głosem Prymasa Polski powierzyła pieczy jego duszpasterskiej. Rozumie dobrze, że nad Sungari przyjdzie mu spełnić Wolę Bożą aż do ostatniej konsekwencji.

— Cieszę się, że mnie tu Pan Bóg powołał, dodaje w radosnym uniesieniu.

Pociąg zwalnia biegu. Mijamy domy coraz okazałsze. Tu i tam strzelają w górę kominy fabryczne, osnute lekką smużką siwawego dymu.

Wreszcie dworzec charbiński pełen zebranego tłumu.

Stawili się wszyscy. X. E y s m o n t t, prawa ręka śp. X. prałata Ostrowskiego przedstawia p. konsula K w i a t k o w s k i e g o, p. wicekonsula Zalewskiego, X. Leszczewicza, proboszcza parafii polskiej na Przystani, o. Mażonowicza, marianina oraz obecnych rodaków.

Tym razem nie mamy żadnych kłopotów ani z bagażem, czy też z innymi formalnościami. Ko-

chani rodacy załatwiają wszystko na swój rachunek.

Samochód p. konsula Kwiatkowskiego wiezie nas do kościoła św. Stanisława. Ponad chłodnicą dumnie trzepocze Orzeł Biały na amarantowym tle. Jedziemy w blaskach wiośnianego słońca. Szeroka asfaltowana awenida tak się wystroiła, że nie powstydzonoby się jej w Warszawie.

— To już zasługa nowego cesarza, odzywa się p. konsul.

Na wieść, że cesarz pragnie odwiedzić Charbin, magistrat miasta nie szczędził pieniędzy, żeby tylko jak najlepiej przyozdobić miasto. Budowano ulice, naprawiano domy, płoty, latarnie, stojące często od parady. Słowem wizyta cesarska była dobrodziejstwem.

Samochód staje przed kościołem na Grand Prospect 27. Wchodzimy do świątyni. Korzmy się przed Bogiem w dziękczynnej modlitwie. Jest za co dziękować po szczęśliwie odbytej podróży. Bogu polecamy dalsze losy tej wysepki polskiej na Dalekim Wschodzie. Dobrotliwie spogląda na nas z obrazu Matka Boska Częstochowska, Królowa Wychodztwa Polskiego. I nad S u n g a r i sprawuje opiekę matczyną nasza niebieska Pani.

— Witamy naszego proboszczulka, odzywają się różne głosy przy wyjściu z kościoła.

Same polskie twarze. Wielkie niebieskie oczy,

włosy jasne, płowe. Tu i tam mającą skośne oczy chińskie, patrzące z zaciekawieniem na nowego proboszcza.

Z lewej strony od wejścia znajduje się grób X. prałata Władysława Ostrowskiego, zasłużonego kapłana patrioty, budowniczego kościoła, organizatora charbińskiej parafii.

Kłękamy przy grobie i modlimy się za jego szlachetną duszę. Zmęczony pracą chciał jeszcze przed śmiercią odwiedzić Polskę. Pojechał a nawet spędził pewien czas w P o t u l i c a c h. Młodym Chrystusowym, przyszłym misjonarzom na wychodźstwie, udzielił jakby w testamencie swego ducha i zapалу. Wrócił znowu do Charbina, lecz już tylko po to, by za kilka miesięcy umrzeć na posterunku.

Grób jego skromny, żołnierski, otoczony jest czią. Niejeden idąc ulicą, zbacza, by przykłąknąć i pomodlić się przy grobie ukochanego duszpasterza.

Przywożłem z Polski trochę ziemi na księdza Władysławową mogiłę. Niech będzie znakiem wiadomym łączności wychodźstwa z polską Macierzą.

Idziemy na plebanię. X. Eysmontt wita nowego proboszcza chlebem i solą. Krótko odpowiada X. Chodniewicz na to powitanie.

— Przychodzę do was w imię Pańskie. Pragnę tu pracować ofiarnie dla dobra Kościoła, Narodu i waszych nieśmiertelnych dusz.

Przyjmują nas z staropolską gościnnością. Serce do serca się zbliża. Oczy się palą. Nagadać się z nami nie mogą nasi kochani rodacy.

— A nie mogliśmy się doczekać — a juści... powtarzają z okrutnej radości.

Nowy proboszcz zdobył sobie od razu serca wszystkich. Lgną do niego, jak do ojca. Zbliżają się, by ze czcią ucałować jego kapłańską dłoń.

Zjawia się nawet przedstawiciel antybolszewickiej kolonii rosyjskiej nie czasem tej czerwonej, lecz białej. Starszy już pan, dobrze ułożony, wita X. kanonika w imieniu wszystkich Rosjan, wierzących. Jest on zarazem redaktorem gazety rosyjskiej. Więc przy tej sposobności kilka pytań i wywiad gotowy. Najwięcej zaciekawia go fakt, że X. Chodniewicz razem z X. arcyb. Cieplakiem siedział we więzieniu moskiewskim, skazany przez bolszewików.

Dzwony dzwonią tak dziwnie żałośnie. To pogrzebek śp. inżyniera **K a z i m i e r z a G r o c h o w s k i e g o**, jednego z najzasłużeńszych Polaków na Dalekim Wschodzie. Tak się dziwnie składa, że przyjeżdżamy właśnie na ten smutny obrzęd.

Spotkałem zmarłego dwa lata temu na Górnym Śląsku, gdzie przebywał na dłuższym urlopie. Nie zapomnę tej ujmującej postaci słynnego geologa i odkrywcy. Ostatnio w czasie Kongresu w Manili mówił nam p. Sielski, tamtejszy kupiec polski, że Grochowski przyjeżdża na Filipiny, za-

proszony przez wielkie przedsiębiorstwo amerykańskie dla zbadania pokładów ziemi. I właśnie wybierał się w drogę...

Przyjechał przed tygodniem z Polski. Ścisła rewizja licznego bagażu, przeprowadzona przez bolszewików na granicy Mandżurii, tak go podnieciła, że przyjechawszy do Charbina, umarł na udar serca. Umarł w Charbinie, w którym jako wybitny katolik i patriota pracował przez długie lata. Był dyrektorem i profesorem gimnazjum im. H. Sienkiewicza, założycielem Polskiego Koła Wschodnioznawczego, wydawcą i redaktorem „Listów Polskich“.

Stąd wyruszał na badania górnicze i ludoznawcze w Syberii, Korei, na wyspie Aleuckiej, w kraju Urianchajskim i w Mongolii. W r. 1916 założył w okolicach jezior słonych i sodowych w prowincji B a r g a w Mongolii osadę przemysłową, która nosi dotąd urzędową nazwę „F o r t G r o c h o w s k i“. Prócz tego nabył w prowincji Chuńnabuir tereny, obejmujące 40 000 kwadratowych kilometrów. Znajdują się tam bogate złoża złota, rudy srebrno-ołowianej, węgla i nafty. Są tam również słynne źródła lecznicze H a t u n - A r s z a n, dobrze znane w całej Mongolii i w Chinach.

— Mam tyle planów, tyle bym chciał jeszcze działać, mówił mi dwa lata temu śp. pan Kazimierz.

Inna jednak była Pana Jezusowa Wola.

Za trumną kroczą tłumy nie tylko swoich, ale i obcych. Z kościoła kieruje się pochód żałobny za cmentarz charbiński, kędy już mogił tyle. Śpiewy żałobne, a potem spuszczaają zwłoki do grobu. Na trumnę wielkiego Polaka padają grudki obcej ziemi, tej ziemi, której tajemnice badał nie-przeparcie.

Mamy trochę czasu, więc rozglądamy się po kościele. Ładna to świątynia w stylu gotyckim. Poza tym wszystko przypomina Polskę. Obrazy, feretony, chorągwie, ambona tak jak u nas. I oto ta świątynia odegrała rolę warowni wiary i ducha polskiego. Kiedy liczba Polaków w Charbinie wzrastała z roku na rok, ze wzrostem tym szło w parze wynarodowienie i zepsucie obyczajów. Zrozumiano, że trzeba temu zapobiec przez odnowienie ducha religijnego. Jednogodnie zabierają się Polacy do budowy świątyni. I oto w r. 1907 staje kościół pod wezwaniem św. Stanisława, a dwa lata później poświęca go X. arcybiskup C i e p l a k, wizytujący te strony.

Wnet już kościół ten nie wystarcza. W śródmieściu na „Przystani“ powstaje w r. 1925 drugi kościół pod wezwaniem św. J ó z a f a t a. Duszpasterzem od samego początku jest tam X. A n t o n i L e s z c z e w i c z. Pokazuje on nam swoją świątynię z niemalą dumą. Jest ona mniejsza od kościoła św. Stanisława i z drzewa cedrowego zbudowana. Przyozdobiono ją jednak motywami

polskimi a przy tym utrzymana jest we wzorowym porządku. Obok świątyni jest miniaturowa plebanijka, po brzegi wypełniona ciepłem rozlewnego serca X. Antoniego.

Poznajemy jeszcze nazajutrz X. Zborowskiego, drugiego wikarego przy kościele św. Stanisława. Wrócił właśnie od chorego. Odbył przy tym razem przeszło 800 kilometrów. Na ogólną liczbę 2500 Polaków bowiem, blisko połowa mieszka wzdłuż toru kolejowego, biegnącego w stronę granicy sowieckiej. Są to dawniejsi urzędnicy kolejowi, zastąpieni teraz przez kolejarzy japońskich. Okupili się, pobudowali sobie domki. Więc żyją rozrzućeni w tym morzu chińszczyzny. Mimo to często przyjeżdżają do Charbina, by pokrzepić się duchem.

Jest tu jeszcze kilka księży polskich ze Zgromadzenia XX. Marianów. Przyjęli oni obrządek wschodni i pracują wyłącznie wśród Rosjan. Utrzymują oni piękne gimnazjum dla uczniów rosyjskich.

Odwiedzamy X. Abrantowicza, przełożonego misji. Oglądamy stylową kaplicę, uczelnię, aulę. Jest właśnie pora obiadowa. Chłopcy w czarnych rosyjskich rubaszkach idą w szeregu do jadalni. Są to synowie uchodźców rosyjskich. Twarze pogodne. Chyba już niezadługo wrócą do swej ojczyzny, dziś tak ciężko doświadczonej. Wrócą ze wspomnieniem miłych chwil spędzonych w cieniu katolickiego ołtarza i jego kapłanów.

A w niejednym iskra Boża się rozpali. Nawróci się i będzie apostołem sprawy Chrystusowej.

Są tu i nasze siostry Urszulanki, które prowadzą także gimnazjum dla dziewcząt rosyjskich.

Prócz tego są i Urszulanki obrządku łacińskiego. Odwiedzamy je w Szanghaji tuż pod Charbinem. Przełożoną jest tu Matka Łabujska. Dzielna ta zakonnica mocno rozślawiła imię polskie wśród Chińczyków. Założyła szkołkę i sierociniec dla dzieci oraz przychodnię dla starszych.

— Wielebna Matka wygląda mocno wymizerowana — litujemy się nad nią.

— To wszystko nic, trochę klimat nie służy, ale to nic... Dowiadujemy się, że siostry likwidują ten piękny posterunek. Głównie dla braku poparcia z kraju. Będzie to szkoda niepowetowana dla polskiego stanu posiadania na Dalekim Wschodzie.

— My nie gorsi jak w kraju, a co do oświaty, to też się nie damy — mówił nam zaraz po przyjeździe jeden z naszych wiarusów charbińskich.

Przekonujemy się, że miał rację.

Dwie szkoły polskie oraz gimnazjum im. H. Sienkiewicza to chyba imponujące na tą ilość Polaków. Zwłaszcza gimnazjum zadziwi każdego, który bezstronnie patrzy na życie polskie w Charbinie. Wyłoniło się ono z wyższych oddziałów szkoły im. św. Wincentego. Osobnego gmachu nie było. Ale od czego jadalnia i salonik

księdza proboszcza? A kiedy i tam miejsca zabrakło, odbywają się lekcje na schodach plebanii. Przedsiębiorczy X. Ostrowski, wsparty przez kolonię, buduje obok kościoła wspaniałe gmach i już w roku 1917 przenosi do niego gimnazjum. Przez te kilkanaście lat wydało ono już cały szereg maturzystów, którzy odbywali potem wyższe studia w kraju lub też pozostali na miejscu, tworząc kadry inteligencji polskiej na Wschodzie.

Dyrektor oprowadza mnie po wszystkich klasach. Wrażenie wszędzie dobre, poziom wysoki. Wykłada się tu także język chiński. Tablice zapisane tajemniczymi znakami, które nowicjusza przyprawiają o zawrót głowy.

Rozmawiamy z uczniami. Niektórzy po ukończeniu gimnazjum wybierają się na akademię do Hongkongu, Tokio lub Mukdeny. Wszyscy pragną pozostać na Dalekim Wschodzie. I to jest najlepsze rozwiązanie. Spełnią oni tym samym piękną misję Bożą i narodową.

Na odchodnym śpiewają pieśni polskie. W końcu proszą, bym pozdrowił młodzież polską w kraju.

Istnieje prócz tego internat dla młodzieży zamiejscowej w pięknym domu wynajętym od Japończyków. I tutaj duch dobry, a orkiestra zakładowa przygrywa nam z takim zapałem, że aż w uszach dzwoni. W tym samym gmachu mieści się schronisko dla starców, prowadzone z macierzyńską pieczołowitością.

Wielką chlubą naszych Charbińczyków to „Gospoda Polska“ przy ul. Głuchej. W dwupiętrowym gmachu mieści się centrala stowarzyszenia, które ogniskuje w sobie życie społeczne i kulturalno-oświatowe.

Udajemy się tam w dzień mego odjazdu. Mamy się jeszcze raz zetknąć z przedstawicielami kolonii polskiej.

Idziemy pięknymi ulicami miasta na ulicę Głuchą. Po drodze dowiadujemy się z radością, że niektóre nieruchomości są własnością Polaków. Dużo też Polaków położyło wielkie zasługi około rozwoju Charbina. Inżynierowie Kmita, Raczyński, Zabłocki, Zefalt budowali to miasto. Dynowski był wiceprezesem rady miejskiej. Dzięki Majkowskiemu powstał tu wielki ośrodek przemysłowy, Wróblewski wybudował browar, inni polską cukrownię w Aszyche. Pierwszymi potentatami leśnymi byli Kowalski, Kiliański i Frank. Słowem Polacy zapisali się tu chlubnie.

W przytulnej sali „Gospody“ oczekują nas nasi kochani rodacy z prezesem „Gospody“ p. Hajwosem na czele. Padają słowa rozedrgane nutą radości i przyjaźni. Szczególnie serdecznie przemawia p. konsul Kwiatkowski zasłużony opiekun kolonii polskiej i godny przedstawiciel Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Około północy opuszczamy „Gospodę“ w podniosłym nastroju. Cieszymy się, że Polacy charbińscy spełniają chlubnie swój obowiązek wobec

20*

Kościola i Ojczyzny. Nie siłą bagnetów, lecz rozmachem moralnym zdobyli sobie pozycję, z której Polska może się chlubić. Równocześnie dają dowód, że naród polski, daleki od krzywdy i podbojów, jest jakby stworzony na to, by narodom Azji zawieźć Chrystusa, kulturę i cywilizację.

Minęła północ. Spogląda na nas mandżurskie niebo ametystowe, gwiazdziste. Mknijemy wzdłuż blado-różowego światła latarni ulicznych. Nad **S u n g a r i** na gmachu konsulatu, posrebrzonego miesiącem, Orzeł Biały dumnie łopocze skrzydłami...

Za czerwoną granicą

Przez stopy mongolskie — Manczuli — Sowieccy kolejarze — Wśród agentów G. P. U. — Przez tajgę syberyjską — Buriato-Mongolia — Wzdłuż Bajkału — Angara — W Irkucku — Szlakiem zesłańców — Wysiedleni — Kobieta w Sowietach — Mali żebracy — Kradzież i pijaństwo — Robotnicy i chłopci — Świerdłowsk — W górach Uralskich.

Nadszedł dzień odjazdu z Charbina. Ponieważ droga moja prowadziła przez Rosję, drodzy rodacy z wielką starannością przystrajają mnie w cywila. Znalazł się miękki kołnierzyk i kolorowy krawat z czerwonymi kropkami...

O wizę rosyjską, której księdzu zasadniczo nie udzielają, postarał się przypadkowo jeden z dyplomatów sowieckich, dzisiaj niestety już rozstrzelany.

Kochani rodacy zaopatrują mnie również w wszelkie prowianty, które mają mi wystarczyć w czasie dziesięciodniowej podróży do Warszawy. Radzą mi w Rosji nie kupować żadnych artykułów spożywczych. Na większych dworcach mam się postarać o kąpiatok — gorącą wodę i samemu zaparzać herbatę.

— Bo mogliby księdza otruć, my coś o tym wiemy...

Na dworcu spotykam się po raz ostatni z drogimi rodakami, którzy zjawili się gromadnie.

Pociąg rusza. Powiewają chustki. Podnoszą się ręce na pożegnanie. Na zakręcie znika wszystko, zostaje tylko wspomnienie...

Stalowy ekspres azjatycki wtacza się na wielki most rozpięty nad rzeką S u n g a r i. Chwil kilka trwa symfonia kół na żelaznych przęsłach mostu, i oto już jesteśmy za Charbinem.

Przedział nasz jest szczelnie wypełniony Japończykami. Obok mnie siedzi niemiecki inżynier-chemik, p. J a n s e n z żoną i córeczką. Wraca on z Japonii. Na zaproszenie rządu japońskiego przebywał tam przez dwa lata, budując wielką fabrykę chemiczną. Po krótkiej rozmowie p. Jansen zwraca się do mnie zapytaniem:

— Czy Pan nie jest księdzem?

Byłem zaskoczony tym odkryciem. Przypuszczałem bowiem, że mój miękki kołnierzyk i kolorowy krawat z czerwonymi kropkami zabezpieczy mnie przed wszelkim podejrzeniem.

A jeśli bolszewicy to samo stwierdzą? — pomyślałem sobie.

Kolej tzw. wschodnio-chińska, którą jedziemy, zbudowana została przed 40-stu laty z inicjatywy Rosji, która pragnęła przedłużyć szlak wielkiej kolei syberyjskiej aż do Morza Żółtego. Budowali

ją po części Polacy z inżynierem Stanisławem Kierbedziem na czele. Wielu tu z nich zginęło w czasie mrozów, roztopów wiosennych i skwarów letnich. Świadczą o tym liczne krzyże na cmentarzu charbińskim z krótkim napisem: „Zmarł w czasie budowy kolei“.

Ostatnio chcąc uniknąć tarć politycznych, Rosja sprzedała kolej tę Japończykom. Długo trwały targi. Japończycy, znając trudności swego czerwonego sąsiada, proponowali pierwotnie śmieszłą cenę. Wreszcie zapłacili za 1700 km linii kolejowych z wszystkimi zabudowaniami i całym taborem 140 milionów jenów. Była to akurat dwudziesta część rzeczywistej wartości.

Mijamy Dunciszań, Ańda i Hsiao haotzu. Blisko dworca ciągną się szeregi stert zboża, nakryte złotymi matami. Są to bowiem ośrodki handlu zbożem i soją.

Przejeżdżamy przez prowincję C i c i k a r u, przez Wielki Czingan. Wreszcie pociąg przebiega równiną M o n g o l i i W e w n ę t r z n e j. Jest to step pusty i jednostajny, pokryty grubą warstwą śniegu. Widok urozmaicają zabudowania stacyjne i powstałe przy nich osady. I tu na tym odludziu mieszkają gdzieniegdzie Polacy, pozostali z czasów budowy kolei. Na stacjach rzucają się w oczy typy mongolskie. Pomiędzy nimi uwija się lama — duchowny wyższej rangi. Wszystkie twarze brudne i zatłuszczone, jak wszędzie u Mongołów.

W pewnym momencie z niebie japońscy, eskortujący nasz pociąg, wchodzą z najeżonymi bagnietami i mimo jasnego dnia spuszczaają wszystkie żaluzje przy oknach. Nastrój niesamowity. Po co? Pan Jansen szepce mi do ucha:

— Budują tu wielkie lotniska przeciw Rosji. Chodzi o zachowanie tajemnicy...

Po 24 godzinach podróży dojeżdżamy do ostatniej stacji mandzurskiej Manczuli.

Pociągiem naszym jedzie generał japoński, dowódca oddziałów granicznych. Mimo trzaskającego mrozu odbywa się na dworcu uroczyste przyjęcie generała. Japońskie P. W. — Powstańcy i Wojacy — stają na baczność. Pochylają się sztandary, orkiestra gra. Japonki w barwnych kimonach bez nakrycia na głowie, składają trzykrotny niski pokłon. Generał salutuje a potem wygłasza krótkie przemówienie.

Do nas zabierają się celnicy. Rewizja bardzo dokładna. Białogwardziści rosyjscy, będący na usługach policji japońskiej, przeszukują skrupulatnie wszelkie bagaże. Zwłaszcza książki i fotografie budzą ich zainteresowanie. Niektórzy z nich znają język polski. Więc każdą książkę przeglądają jak najdokładniej.

W Manczuli znajduje się kościółek polski. Służył on przez długie lata Polakom, którzy tu mieszkali w miasteczku i dalszej okolicy. Dziś kościółek niestety już zamknięty.

Za chwilę wtaczają szerokotorowy ekspres transsyberyjski. W obszernym wagonie umieszczam swoje liczne bagaże. Wiozę z sobą aż dziewięć waliz. Są to rozmaite zbiory z Chin, Japonii i dużo rzeczy pamiątkowych, darowanych przez drogich charbiniaków. Wiozę m. i. cenny obraz na płótnie, przedstawiający Chrystusa na krzyżu, malowany przez Chińczyka.

Wszystkich pasażerów udających się do Europy jest około dwudziestu. Prócz inżyniera znajduje się kilku Amerykanów z p. Erisonem, kandydatem na burmistrza w Buffalo na czele, oraz dwóch kupców żydowskich z Dairenu. Jedzie również grupa japońskich artystów filmowych, udających się do Berlina.

Żandarmi japońscy przeszukują raz jeszcze cały pociąg, badając jak najdokładniej każdą nawet najmniejszą skrytkę. Zaglądają nawet pod wagony.

Sowieccy kolejarze w wielkich czapkach na głowie, przyozdobionych czerwoną gwiazdą, patrzą na nas spode łba. Zaznajamiam się z jednym z nich. Jest to tzw. „prowodnik“, który ma pieczę nad naszym wagonem. Nazywa się Wasyli Wasyliewicz. Pyta się od razu, czy już byłem w Rosji. Odpowiadam, że jadę po raz pierwszy.

— Uwiditje, kak prekrasnaja jest Rasyja — zobaczycie, jak piękna jest Rosja — powtarza z zadowoleniem.

Ośrodek Postulatorski 313

Towarzystwa Chrystusowego

Pociąg rusza. Proszę Wasyla, by mi pokazał granicę, gdy będziemy przez nią przejeżdżali. Stajemy za chwilę. Żandarmi japońscy wysiadają.

— W o t e t o g r a n i c a — mówi Wasyl.

Rzeczywiście wyłaniają się szeregi zasieków z drutów kolczastych a potem brama ogromnych rozmiarów z godłem bolszewickim i napisem: „Proletariusze wszystkich narodów łączcie się“.

Serce mi zabiło żywiej. Więc jestem już w Bolszewii. Zdaję sobie sprawę z tego, że to dziś najegzotyczniejszy kraj, na świecie, egzotyczniejszy od Filipin czy Sumatry. Kraj mordów i gwałtów, kraj w którym samemu Bogu wypowiedziano otwartą walkę.

Odpór — pierwsza stacja rosyjska. Pada krótki rozkaz:

— W s i e w y s i a d a j u t d o r e w i z j i !

Otoczają nas agenci G. P. U. w długich szynelach, w hełmach na głowie. Idziemy do sali rewizyjnej. Na ścianach obrazy Lenina, Stalina, Woroszyłowa, Blüchera i innych wodzów komunizmu.

Rezkładam swoje walizy. Otwieram jedną za drugą. Rewizji dokonuje komunistka, ubrana w krótki kożuszek, przepasany skórzanym pasem, u którego wisi długi pistolet. Na głowie ma czapkę sportową, przyozdobioną w gwiazdę. Towarzyszy jej mężczyzna w sile wieku o wyglądzie semickim.

Przeglądają wszystko dokładnie. Niektóre rzeczy kwestionują, plombując je wraz z obu aparatami fotograficznymi.

Mimo zimna zdejmuję płaszcz. Robi mi się gorąco, zwłaszcza kiedy muszę na nowo pakować walizy, układając w nich rzeczy porozrzucane przez srogą niewiastę. Potem oddycham już spokojnie. Wszak pierwsze trudności są już przezwyciężone. Lecz tylko na razie...

Oto za chwilę przynoszą mój obraz chiński, zwinęty w rolkę, który zostawiłem z rozmysłem w wagonie. Żandarm zapytuje wszystkich, czy to pakunek. Chwila wyczekiwania. Serce mi wali młotem.

— To mój, odzywam się nieśmiało.

— P o c z e m u n i e d a l i j e w o r e w i z i r o w a ć?

Tłumaczę, że to tylko rulonik, więc myślałem, że nie potrzeba. Kazał mi go rozpakować. Powoli rozwiązuje sznur. Powtarzam przy tym ciągle, że to obraz k i t a j s k i - c h i Ń s k i, który wiozę do muzeum itd. Mam szczęście. Żandarm, rozwiniąwszy nieco obraz, zobaczył górny napis, wykonany chińskimi hieroglifami. Dalej więc już nie badał i kazał go na nowo zapakować.

Zmieniamy dolary na ruble rosyjskie. Za dolara płacą 5 rubli i 15 kopiejek. A więc rubel rosyjski równa się mniej więcej 1 złotemu. Cóż z tego, kiedy ceny tu zupełnie inne, aniżeli gdziekolwiek na świecie. Przekonujemy się o tym w restaura-

cji dworcowej. Kilogram wędliny kosztuje 20 rubli, kawałek chleba jednego rubla.

Wychodzimy na peron. Wielka lampa rzuca niepokojny cień na zlodowaciały chodnik, pełen puszystego śniegu. W powietrzu unosi się przeraźliwe tchnienie wyjącego wichru. W tym wirowisku śnieżnej szarugi przechadzają się uzbrojeni gepiści zapuszczając swe oczy w zwartą, złowieszczą ciemność.

Zegar stacyjny ku naszemu zdziwieniu wskazuje 12 godzinę w południe. Jest to bowiem tzw. „czas moskiewski“, który obowiązuje na wszystkich kolejach rosyjskich. W rzeczywistości zaś jest godzina 7 wieczorem.

Kiedy już pociąg ma wyruszyć, podchodzi do mnie agent G. P. U. Każe mi się przesiąść do innego wagonu, gdzie znajdowali się sami bolszewicy. Jestem więc odseparowany od moich towarzyszy podróży.

Nie wiem tylko, co to ma znaczyć?! Czyżby mi zaszkodziła sprawa z obrazem? A może inne mają wątpliwości? W każdym razie czuję się w tym wagonie „izolatorze“ ogromnie nieswojo. Jestem jednak zmęczony wrażeniami i podróżą. Kładę się więc na ławie, a poleciwszy się opiece Bożej, zasypiam spokojnie.

Gdy się zdrzemnąłem, czuję jakby przez sen, że drzwi się otwierają. Wchodzi jakiś wojskowy w czarnym mundurze. Zdejmuje hełm i szynel.

Potem wdrapuje się na półki i tak nade mną układa się do snu.

Nie mogę już usnąć. Najrozmaitsze myśli chodzą mi po głowie. Kto jest ten człowiek? Skąd się wziął? Przecież pociąg w tym czasie się nie zatrzymywał. W takim nerwowym napięciu oczekuję raną,

Pociąg tymczasem świszcze, dudni i huczy po żelaznym torze. Przecieram okno, przyozdobione wzorzystym, mrozowym deseniem. Pod białym welonem lekliwie do ziemi tulących się mgieł bieleli się ponura syberyjska tajga. Mgła rzędzie, osiada. W górze zaczynają się przebijać jasne smugi. Słońce wstaje nad tajemniczym Sybirem.

Po lichu przespanej nocy na ławie wagonu wychodzę na korytarz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Tajemniczy mój towarzysz ubrał się tymczasem. Spotykamy się za chwilę. Przedstawiam mu się. On, nieco skonfundowany, wymawia również swoje imię i nazwisko. Zrozumiałem tylko imię *S i e r g i e j*. Wyrażam swoją radość, że pojedziemy razem. Częstouję go pomarańczami. Przyjmuje je z radością. Od razu zaczyna mnie wypytywać, skąd i dokąd jadę, co porabiam w Polsce, jakie mam zapatrywania polityczne itd. Wyczuwam w tej chwili, że to agent *G. P. U.* Opowiada, że jedzie „służbowo“ do *I r k u c k a*.

Tymczasem rozglądam się powoli po innych towarzyszach, jadących w wagonie. Są to przeważnie wojskowi. Wszyscy noszą długie buty i mundury mocno zaniedbane. Są to widocznie oficerowie i podoficerowie rozmaitych stopni. Niektórzy bowiem noszą na kołnierzu czerwone, emaliowane trójkąty. Inni także czworokąty, inni jeszcze prostokąty.

Krajobraz górzysty. Znajdujemy się bowiem w górach zabajkalskich. Ogromne skały, przyprószone śniegiem zbliżają się chwilami aż pod okna wagonu. Widzimy jak na dłoni, wyzłocone słońcem żyłki żeber i gzymsów, odcinające się od błękitnych zaciemi wąwozów i zlebów.

Jedziemy, jak mi tłumaczy obszernie mój towarzysz, przez republikę Buriato-Mongolską Z. S. R. R. Sybir podzielony jest bowiem na szereg krajów i republik autonomicznych, które wchodzi w skład rosyjskiej federacyjnej republiki rad.

Buriato-Mongolia jest obszarem tak wielkim jak Polska. Liczy jednak tylko pół miliona mieszkańców. Ludność kraju jest mieszana, buriacko-rosyjska. Obszary o większości buriackiej, noszą nazwę choszunów, o większości rosyjskiej zaś — wołosti. Najniższą władzą w wsiach rosyjskich jest sielsowiet, w buriackich — somowiet.

Dojeżdżamy do stacji Karimskaja. Jak wiadać na tablicy, to do Moskwy jeszcze 6339 km!

Stąd wiedzie też drugi wielki wschodni szlak kolejowy, wzdłuż rzeki Amuru do Władywostoku.

Do naszego pociągu doczepiają jeszcze dwa wagony twardej kategorii, odpowiadającej klasie III w Polsce. Toteż pociąg nasz z wagonem restauracyjnym, bagażowym, dwoma wagonami miękkiej kategorii (klasa II) wraz z czterema wagonami twardej kategorii stanowi tasiemiec nielada.

Przez Cytę, stolicę Zabajkału, i inne „gordy“ zbliżamy się do słynnego Jeziora Bajkalskiego. Jest to jedno z największych jezior na świecie. Ma ono bowiem 700 km długości. Przed nami wielka płaszczyna, pokryta śniegiem bez końca. W koło jeziora wysokie góry, z których w niebo strzelają skaliste śnieżnobiałe czuby.

Jedziemy wzdłuż jeziora. Pociąg wiję się jak wąż w rozlicznych serpentynach. Wpada kilkadziesiąt razy w czarne czeluście tuneli, to znów wiję się nad przepaścią, pędzi po torze, przyczepionym do bloków skalnych.

Po Bajkale kursują latem okręty jak po morzu. Najwięcej uczęszczany szlak to stacja kolejowa Bajkał, do której dojeżdżamy, oraz miasteczko Listwienicznoje i wyspa Olechon.

Wraz z Siergiejem wysiadamy na stacji, by nieco pobiegać wzdłuż pociągu. Ogarnia nas lodowaty ziąb. Mróz skrzypi pod stopami. Będzie chyba mrozu z 30 stopni. Stajemy przed straganem z rybami. Rozmawiamy z kobietami, ubrany-

mi w długie buty i brudne kozuchy baranie. Zachwalają pieczone ryby, świeżo ułowione w Bajkale. Ryby może i smaczne, cóż z tego kiedy za sztukę żądają aż trzy ruble.

Tuż obok wypływa z Bajkału wielka rzeka **A n g a r a**, która płynie do Oceanu Łodowatego. Opowiada mi **Siergiej**, że w tym miejscu ma powstać słynny **A n g a r o s t r o j**, największa elektrownia na świecie. Zbudują tu olbrzymią tamę, zagrażającą rzekę w poprzek. W ten sposób wykorzysta się umiejętnie nierówność poziomu do poruszania turbin.

Jedziemy dalej. Wsiadam prawie na każdej stacji, by zażyć trochę ruchu. Przyłącza się zawsze **Siergiej**, niby to „dla towarzystwa“.

W międzyczasie mój towarzysz opowiada aż do znudzenia o szczęściu w raju bolszewickim. Mówi z przejęciem o **Stalinie** i innych wysokich dygnitarzach sowieckich. **Ubolev a** nad niesprawiedliwością w krajach burżuazyjnych.

Kiedy się zmęczy opowiadaniem, śpiewa niezłym barytonem piosenki rosyjskie.

— **A wy umiecie pieć piosenki?** — pyta się.

— **Trochę umiem** — odpowiadam.

Śpiewam więc „**Góralu, czy ci nie żal**“, „**Wojenko, wojenko...**“

Mój towarzysz nuci razem ze mną, podchwytyjąc niektóre słowa.

— A teraz zaśpiewam wam ulubioną polską piosenkę...

Towarzysz przytakuje. Śpiewam:

„Wszystkie nasze codzienne sprawy...”

Bolszewik nuci razem ze mną tę starodawną pieśń wieczorną, choć nie rozumie jej słów.

— **H a r o s z a j a p i e s i e ń k a** — powtarza zadowolony.

Słońce zachodzi nad posępną tajgą syberyjską. Tam daleko długi łańcuch sinych gór rozpościera na niebie swe blednące skrzydła od końca do końca. Czerwona kula ognista zapada coraz niżej i niknie za poświatą na widnokręgu.

Przyjeżdżamy do **I r k u c k a**, stolicy wschodniej Syberii. W środku miasta stoi piękny kościół katolicki. Kościół ten przedstawia obraz nędzy i spustoszenia. Szyby w oknach powybijane. Wysoka wieża nieco pochylona. Ołtarze i ławki porozbierane na opał. Dzwony sprzedane. Na kościół nałożono tak wielkie podatki, że go w końcu zamknięto. A przecież tu kiedyś tętniło życie katolickie i polskie.

Gorzej jeszcze z cerkwiami. Jedna zamieniona na kino. Drugą rozebrano całkowicie. Z rozebranego materiału wybudowano olbrzymi hotel na 450 pokoi dla sowieckich słuźaszczych.

Ludzie przeważnie w łachmanach, brudni, wynędzniali. Wszystko tu lata na piechotę. Przed paru laty były jeszcze dorożki konne. **G o r s o -**

w i e t — rada miejska, obłożył je jednak nadmiernymi podatkami i dorożki same znikły.

W Irkucku Siergiej mię opuszcza. Żegna się serdecznie i życzy szczęśliwej podróży.

Dostają się teraz w ręce polskiego żyda-komunisty Berkowicza. Uciekł on do Bolszewii w r. 1922 z rodzinnego Turka pod Kaliszem. Zraz mi na wstępie o tym opowiada. Obecnie jest on urzędnikiem „I n d u s t r i a“ — rosyjskiego biura podróży oraz szpiegiem w jednej osobie. Ten żydek o przenikliwych oczach będzie mi towarzyszył aż do samej granicy. Przynosi on też od razu kilka książek komunistycznych z biblioteki pościagu, w językach francuskim i niemieckim.

Z okna wagonu widać biedne wioski syberyjskie, budowane z grubych bali sosnowych. W każdym domu stanowi pieczka najważniejsze miejsce. Jest to ogromny piec, w którym się ciągle pali. Na nim to sypia cała rodzina czółdona-sybiraka. Pożywieniem tych ludzi to herbata i pielmieni-pierozki.

Jak daleko okiem sięgnąć ciągnie się tajga. Rosną w niej modrzewie, jodły, świerki, brzozy. Cała zasypana śniegiem wydaje się groźna i surowa. W tajdze żyją niedźwiedzie, rysie, bobry. Są także jelenie i wilki.

Berkowicz opowiada, że stąd nieco na północ płynie słynna rzeka L e n a. Znajduje się w niej dużo złota. Eksploatuje je Towarzystwo rządowe „S o j u s - z o ł o t o“. Praca rozpoczyna się na wie-

sue. Wielkie maszyny bagrowe wydobywają żwir, zawierający złote ziarna. Są również i prywatni poszukiwacze złota. Obowiązkiem ich jednak jest sprzedać wydobyty metal w urzędzie państwowym, gdzie otrzymają śmiesznie niską cenę.

Pomyślałem sobie, ileż to właśnie złoto narobi złego. Zapewne pójdzie ono za granicę na walkę z istniejącym porządkiem, na kupczenie duszami, na zepsucie moralne, na zohydzenie świętości religijnych w prasie i filmie.

Jedziemy szlakiem polskich zesłańców. Tą drogą szli, skuci w kajdany, z myślą o Polsce, której już więcej nie mieli oglądać. A był to kwiat narodu, liczony na tysiące. Po samym powstaniu listopadowym zesłano około 20 tysięcy Polaków na Sybir. Wszędzie tu dzwoniły ich kajdany. Mowa polska rozlegała się w kopalniach, przy pracach przymusowych, wszędzie tam, gdzie trzeba było wykonać najcięższą robotę.

Te drogi, które widzimy, budowały ręce polskich powstańców. Tu knuli spiski, które nie miały żadnych szans powodzenia. Tu zrywali się do orężnej rozprawy...

Na Sybirze roi się od grobów z jednoramienymi krzyżami. To groby Polaków, którzy tu z daleka od Ojczyzny umierali z modlitwą i pieśnią polską na ustach.

Mijamy stację za stacją. Ludzie, których spotykamy, mają wygląd mongolski. Są wzrostu ni-
21*

skiego. Mają wystające kości policzkowe, oczy małe i czarne włosy. Jest to mieszanina ras mongolskich. Buriaci, Mongołowie, Tunguzi i Jukagirzy.

Blisko dworców znajdują się ogromne magazyny wojskowe. Widać też nowo zbudowane lotniska. Wszystko to na wypadek wojny z Japonią.

Słabą jednak stroną Sybiru w razie wojny, to ta linia kolejowa. Jest to jedyna arteria, która łączy Sybir z Rosją. Jeden udały atak samolotów bombowych może ją od razu przerwać i unieruchomić.

Pasażerowie w naszym wagonie zmieniają się co chwilę. Bardzo rozmowny jest młody oficer G., który przysiadł do nas w Irkucku. Jedzie do Moskwy. Godzinami uczy się języka niemieckiego z podręcznika, wydanego specjalnie dla wojskowych. Przeglądam ciekawy zresztą podręcznik, boć nawet treść ćwiczeń językowych jest przerobiona na modłę bolszewicką. A więc: „Mieszkam w czerwonym Berlinie nad rzeką Sprewą. W tym mieście przebywali genialny Liebknecht i Róża Luxemburg“...

G. chętnie rozmawia ze mną po niemiecku. Chwilami zapomina się i jest zupełnie szczerym. Innym razem rozkłada na ławce kilka tysięcy rubli w banknotach, przechwalając się na sposób dziecinny. Opowiada, że przehula połowę w Moskwie, a za drugą połowę kupi swojej siostrze **Nataszy** wyprawę.

Będzie wojna z Niemcami. Więc pewnie go zabiją i wszystko się skończy. Więc musi sobie pohulać.

— Budu gulać w Moskwie...

Zawieram przyjaźń z „prowodnikiem“ naszego wagonu, I w a n e m, mieszkającym w Moskwie. Przyjaźń ta kosztowała mnie puszkę prawdziwej chińskiej herbaty oraz jeden krąg charbińskiej kiełbasy. Iwan przynosi mi odtąd k i p i a t o k — gorącą wodę, kłania się nisko jak za dawnych czasów i tytułuje g o s p o d i n — panie. Przed odejściem większej stacji przylatuje z oznajmieniem:

— G o s p o d i n, s t a n c j a.

Ubieram się, wybiegam czym prędzej, by przebiec się po peronie.

Iwan jest gadatliwy. Przyparty do muru przyznaje się, że życie w Moskwie jest niełatwe. Ma 180 rubli miesięcznej pensji. Drożyzna jest taka, że ledwie na jedzenie starczy. Zamieszkuje w domu państwowym. Ma tylko jeden pokój, w którym mieszka wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Spostrzegłszy, że za dużo powiedział, poczyną od razu wychwalać Stalina, a zwłaszcza wielką paradę wojskową w dniu 1 maja.

— K a k k r a s i w a j a b y ł a p a r a d a...

W czasie postojów pociągu spotykam często naszych europejskich i amerykańskich towarzyszy

podróży. Wchodzimy zwykle razem do poczekalni i restauracji dworcowej. Nie kupujemy nic. Wypytywujemy się raczej o ceny.

Na niektórych stacjach pociągi zapchane chłopami, których wywożą w głąb Syberii. Są pomiędzy nimi także Polacy. Dla celów politycznych wysiedlają ich obecnie masowo z pasa nadgranicznego.

Chłopi przedstawiają prawdziwy obraz nędzy. Odbarci, wynędzniali, patrzą dziko przed siebie.

Spotykamy również transporty aresztantów w towarzystwie licznej eskorty krasnoarmiejców z najeżonymi bagnietami. Twarze inteligentne. Widocznie zniechęceni burżuje. Znajdują się tam również duchowni prawosławni.

— Co to za ludzie? — pytam się Berkowicza.

— Ot, h u l i g a n y — bandyci — odpowiada.

Tuż obok przy naprawie toru pracuje spora gromada kobiet. Ubrane są w zasmolone kozuchy, na nogach mają długie buty. Stalowymi kilofami rąbią zmarzniętą ziemię. Inne dźwigają ciężką szynę kolejową. Inne znowu skaczą po dachach wagonów naszego ekspresu, majstrując koło zmarzniętych wentylatorów.

Kobiety zrównane w Sowietach całkowicie z mężczyznami. Pracują więc w hutach, przy olbrzymich piecach i kopalniach pod ziemią. Niezależnie od wieku i zdrowia wykonują wszystkie prace nie tylko we dnie, ale i w nocy.

Czepiają się nas małe obdartusy-żebracy. Wy-
łazą spod wagonów i z dziur i nagabują nas, gdzie
tylko mogą.

— **Gospodin, dajcie kopiejeczku!**

Zobaczył ich gepista. Przeraziła go ta kompro-
mitacja wobec burżujów europejskich. Więc da-
lej w pogoń za nimi. Obdartuski w jednej chwili
znikają jak kamfora, kryjąc się pod wagonami.

Nasi amerykańscy przyjaciele polują za wiado-
mościami. Oczywiście, że nie w gazetach. Bo że
gazety, które kupujemy, przechwalają tylko ustrój
komunistyczny, a potępiają w czambuł wszystko,
co niekomunistyczne. Więc gdzie zasięgnąć ję-
zyka? Lecz i w Bolszewii ludziom nie brak odwa-
gi, zwłaszcza gdy otrzymują w prezencie nieco
amerykańskich dolarów. Wówczas to nie liczą się
ze słowami.

Dwóch takich spośród służby kolejowej wytro-
pili nasi Amerykanie. Z całą szczerością żalą się
na nieznośne położenie ludności. Sami zarabiają
po 150 rubli miesięcznie. Cóż z tego, kiedy funt
chleba czarnego kosztuje 2 ruble, a funt masła 10
rubli. O ubraniu to już nie warto gadać. To chy-
ba luksus burżujski.

— Więc jak możecie wyżyć z rodziną? — pyta-
my się.

— **Czto działać — nado kraść!**

Jest więc ogólnie straszna bieda. Kradzież i pijaństwo, jak się dowiadujemy, to istna plaga Szwietów.

Nawet robotnicy, ta warstwa uprzywilejowana w dzisiejszej Rosji, są źle opłacani. Wysokość wynagrodzenia zależy od rozmaitych czynników jak np. należność do partii, K o m s o m o ł u — Związku bezbożników. Niemniej i ilość dokonanych denuncjacji odgrywa tu wielką rolę.

Również i chłopu rosyjskiemu, drugiemu nominalnemu władcy kraju, jest źle. Żyje on nie tylko w krańcowej nędzy, lecz ponadto w warunkach gorszych aniżeli za czasów pańszczyzny. Nie wolno mu się nawet ruszać z miejsca na miejsce. Wprowadzono specjalny system paszportowy, który uniemożliwia swobodę ruchu.

Jedynie sowiecka biurokracja, składająca się w części z żydów, ma się dobrze. Tych ludzi stać na wszystko. Nawet na ubranie i hulanki

Postrachem ludności jest osławione G. P. U. — Państwowy Urząd Polityczny. Jest on panem życia i śmierci. Ono rozstrzyga całkowicie o losach obywateli sowieckich. Jednych skazuje na śmierć, innych na wygnanie lub więzienie. Przemocą odrywa rodziców od dzieci, rozbija już i tak unieszczęśliwione ogniska domowe. W ostatnim tylko roku z rąk G. P. U. padło około 40 tysięcy przeciwników reżimu, 500 tysięcy uwięziono. W

obozach koncentracyjnych męczy się 10 milionów ludzi.

Pociąg pędzi dalej. Jak okiem sięgnąć, widać tylko las. Ktoś mi tłumaczy, że na Sybirze znajduje się ogółem 200 milionów hektarów lasu.

Niemniejsze są bogactwa naturalne Syberii. Jest tu wszystko, czego wymaga przemysł samowystarczalny — od rudy żelaznej i węgla począwszy a skończywszy na złocie. Jeżeli komuniści potrafili się utrzymać dotychczas, to głównie dzięki bogactwu Syberii. Jak grzyby po deszczu wyrastają tu elektrownie, wielkie piece, walcownie, przędzalnie, tkalnie, a zwłaszcza fabryki materiałów wybuchowych.

Mijamy rzekę **J e n i s e j**. Wielka ta rzeka płynie z serca Azji i wlewa masy swych wód do **M o r z a K a r s k i e g o**. Na prawym brzegu rzeki leży **K r a s n o j a r s k**, który szczyli się z tego, że stworzono tu pierwszą w świecie radę robotniczo-żołnierską. Przejeżdżamy przez miasta **A c z y ũ s k**, **T a j g ę** i **J u r g ę**.

Pociąg zadudnił na żelaznym moście, zawieszonym nad rzeką **O b**. Zajeżdżamy do **N o w o s y b i r s k a**. Jest to stolica Sybiru zachodniego. Niektórzy nazywają ją sybirskim **C h i c a g o**. Liczy około 240 tysięcy mieszkańców. Liczba ta wzrasta z zawrotną szybkością, a Berkowicz twierdzi, że osiągnie już w krótkim czasie pół miliona.

W Świerdłowsku, dawniejszym Jekaterinburgu, nad rzeką Isset, poboczną Toboli, na wschodnim stoku Urału, mamy dłuższy postój. Tu odbyła się tragedia cara Mikołaja II i jego rodziny.

Rodzinę carską z kilkoma osobami z przybożnego otoczenia umieszczono w domu mieszczanina Ipatiewa, a nadzór sprawował komisarz czerezwyczajki, Jurowskij.

Przywieziono tu cara z Tobolska, położonego u zlewu Toboli i Irtysza. Kołczak zbliżał się ze swoją armią. Każdej chwili spodziewano się również oddziałów czesko-słowackich, które znajdowały się w tej okolicy. Miejscowa rada robotników i żołnierzy postanowiła zgładzić całą carską rodzinę.

W nocy z 16 na 17 lipca 1918 r. po północy wprowadzono wszystkich na parter. W kilka minut potem wkroczył Jurowskij z oddziałem bolszewików i strzelił do cara i do carewicza, których zastrzegł dla siebie. Reszta osób padła od strzałów i bagnetów oddziału. Zwłoki wywieziono do lasu i spalono, a popioły wsypano do szybu kopalni.

Świerdłowski jest centralnym punktem wywozu drogich kamieni, pochodzących z gór Uralskich. Na stacji stoją budy pełne topazów, ametystów, chryzolitów i innych kamieni szlachetnych. Ceny jednak za nie są tak wysokie, że kamienie nas nie skusiły.

Dojeżdżamy do Gó r U r a l s k i c h. Znajduje się tu granica między Azją a Europą. Serce nam bije radośnie. A więc już Europa! I do Moskwy chyba już niedaleko...

Berkowicz coraz częściej zachodzi do mego przedziału. Przynosi ze sobą coraz to inne książki. Przynosi mi również nową konstytucję sowiecką, podkreślając wszystkie jej zalety.

— Oto najdemokratyczniejsza konstytucja świata — woła w uniesieniu. — To źródło siły i szczęścia naszego państwa.

Czuł się jednak nieco dotknięty, gdy mówiłem mu, że przejechawszy cały prawie świat, nie spotkałem nigdzie ludzi tak smutnych i biednych jak w Rosji sowieckiej.

Odpowiedział mi na to, że będzie lepiej i szczęście zawita prawdziwe, gdy się wytępi resztę trockistów i innych kontrrewolucjonistów.

— A wówczas zatknijemy sztandar rewolucji we wszystkich krajach świata. Zaniesiemy nasze szczęście uciemionym i cierpiącym...

Mówię mu, że u nas komunizm słabnie. Raczej Sowietaom grozi niebezpieczeństwo.

— Ot, bzdury kapitalistyczne! — odpowiada.

Przechwala się, jak mu dobrze w Rosji. Zараbka 400 rubli miesięcznie. Żyje w państwie szanującym prawa człowieka!

Przystępuję do ataku. Zapytuję go, co też kosztuje to ubranie, które ma na sobie. Ubranie to, nawiasem mówiąc, jest z lichego materiału i kiepsko skrojone.

Odpowiada, że kupił je w moskiewskim domu uniwersalnym, płacąc za nie 800 rubli (tj. 800 zł.).

— A ile kosztują Pańskie trzewiki?

— Dwieście rubli — odpowiada, spoglądając jakby z zażenowaniem na swe obuwie, wykonane z najpospolitszej skóry.

Tłumaczy, że u nas w Polsce przy nieco mniejszych zarobkach wszystko dziesięć razy tańsze. Widzę w oczach żydka błyski. Rozmowa nasza porirytowała go widocznie.

Żyję w ciągłym napięciu. Jak będzie w Moskwie? Czy tam będę mógł się zatrzymać? Czy uda mi się wyślizgnąć z rąk Berkowicza lub innych gepistów? Liczę na to, że na dworcu będzie mnie ktoś oczekiwał.

Sprawa bowiem ma się tak: W Moskwie pracuję jako niższy funkcjonariusz państwowy brat mego znajomego z Poznania. Z biedy przyjął urząd, choć w duszy czuje się katolikiem-Polakiem. Pisuje raz po raz do Polski, lecz drogą okrężną. Mój znajomy zawiadomił go jeszcze przed moim wyjazdem z kraju, że w ciągu marca będę w Moskwie. Więc widoki są. Osobiście porozumiałem się z nim w ten sposób, że z Nowosybirsk wysłałem mu telegram, zawiadamiając go o swoim przyjeździe.

Mijamy Perm, Kirow — dawniejszą Wiatkę. Do Moskwy już coraz bliżej. Napięcie rośnie. Ekspres pędzi wśród blasków bijących od świeżo spadłych śniegów. Na widnokręgu wyrasta niby cielsko kamiennego potwora, barwna mozaika wież kościelnych, gmachów i kominów. Ekspres wtacza się z hukiem do wielkiej hali dworcowej. Rozwiera się przed nami Moskwa, tajemnicza stolica czerwonych carów...

Moskwa, krwawiąca stolica

Mój znajomy — Nikt się nie śmieje — Polscy komuniści — W kościele polskim — X. Zakul — Cerkiew prawosławna — Burza nadchodzi — W teatrze — Metropol — W kolejce podziemnej — Armia czerwona — Ku granicy.

Zgrzytnęły hamulce i długi ekspres transsyberyjski stanął wreszcie na dworcu moskiewskim. Na peronie ciżba. Dużo żołnierzy. Prawie zupełnie brak kobiet i dzieci. Jestem trochę podenerwowany. Przypuszczam bowiem, że żyd Berkowicz lub jego towarzysze zaopiekują się mną od razu.

Na szczęście czeka na dworcu p. F. Ledwie pociąg stanął, on już wypytuje o mnie „prowodników“ wagonowych.

— Gdzie jest grażdanin P.?

Iwan przytakuje, wskazując na mnie. Zapoznaliśmy się w mig.

— Szybko, bo będzie za późno — szepce mi do ucha.

I zanim Berkowicz spostrzegł, zniknęliśmy w tłumie. Następnie już dopadamy taksówki i pełnym gazem opuszczamy dworzec.

Mój nowy znajomy pyta się od razu o Polskę, o brata swego, o rodzinę. Często brak mu wyrazów polskich, które zastępuje rosyjskimi. Pragnie mi pokazać wszystkie osobliwości Moskwy, niemniej i te, których zwykły inostraniec-cudzoziemiec nie ogląda. Warunek jednak ten, że nas nie chwyci G. P. U. Przy sposobności zwierza się, że ma ciężkie życie i nigdy nie jest pewny jutra. Jeden fałszywy donos wystarczy, by go pozbawić urzędu i skazać na długoletnie więzienie.

Ma 220 rubli pensji miesięcznie. Nie wystarcza to nawet na utrzymanie rodziny.

Zę względów zrozumiałych nie zaprasza mnie do swego mieszkania. Wszędzie bowiem kręcą się gepiści. Nawet sąsiad sąsiada szpieguje.

Moskwa liczy przeszło 4 miliony mieszkańców. Niektóre domy mocno odrapane. Wszystkie są własnością państwa. Właściciele ich wystrzelano lub zapędzono do lochów więziennych i karnych obozów. Ruch na ulicach wielki. Widać ogromną ilość samochodów ciężarowych. Spotykamy natomiast mało samochodów osobowych. Moskwa nie posiada dostatecznej ilości środków komunikacyjnych. Tramwaje są oblepione pasażerami. Ludzie czepiają się kurczowo poręczy, dachu, czego się tylko da.

Przed sklepami z żywnością i manufakturą widzimy długie ogonki ludzi zbiedzonych, obdartych. Opowiada mi mój towarzysz, że ci ludzie nie-

raz przez cały miesiąc stoją na zmianę przed sklepem, by zamówić nowe ubranie lub odebrać już gotowe. Niektórzy czekający w ogonku, a znajdujący się już blisko sklepu, odstępują swe miejsca za dobrą opłatą bardziej zamożnym.

Przyznam się szczerze, że chwilami robi mi się nieswojo, zwłaszcza gdy mijamy słynne więzienia na Łubiance lub Butyrkach oraz główną siedzibę G. P. U.

— Tu w podziemiach odbywają się codziennie krwawe egzekucje — mówi p. F. półgłosem.

Na domiar złego jedzie za nami ciężarowe auto policyjne, naładowane gepistami. Na głowach mają kaski stalowe. W rękę trzymają krótkie karabiny.

— Jadą na robotę... — szepce mój znajomy.

I w Moskwie zdarzają się tzw. „małe rewolucje“. Buntują się zwłaszcza robotnicy z powodu złego traktowania lub też z powodu głodowych zarobków. Wówczas to samochody G. P. U. masami wywożą winowajców do tajemniczych podziemi, skąd już nigdy nie wracają.

Znajdujemy się w dzielnicy robotniczej. Pełno tu ludzi obdartych i brudnych. Nie widzimy tu nigdzie uśmiechu, fotografowanego na propagandę dla zagranicy, ale raczej powszechne przygnębienie. Pomyślałem sobie, że ci ludzie już dobrze rozumieją, że komunizm to błąd i że komuniści oszukali ich okrutnie.

Pytam się mego znajomego, ilu Polaków jest w Rosji. Powiada, że milion, w samej zaś Moskwie około 20 tysięcy. Trudno to jednak stwierdzić, bo wielu już się zruszczyło. Spora liczba wśród nich to komuniści polscy. Ostatnio jednak bolszewicy im nie dowierzają. Kozstrzelali już Wojewódzkiego, Skarbka, Wandurskiego, Bratkowskiego i Socheckiego. Wykorzystali ich dla celów rewolucyjnych, a potem zlikwidowali w okrutny sposób. Ma być rozstrzelany również słynny Dombal, były poseł do Sejmu polskiego. Używano go ostatnio kilkakrotnie do roboty Kominternu za granicą, a zwłaszcza w Czechosłowacji. W takim to więc „raju“ znaleźli się łatwowierni polscy komuniści.

Pragnę udać się do kościoła polskiego, lecz mój znajomy stanowczo mi odradza. Tłumaczy, że to niebezpieczne i że kościół będzie na pewno zamknięty. W końcu jednak ulega i wybieramy się w drogę. Wnet też stajemy na dziedzińcu polskiego kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła.

Po obszernym placu uganiają dzieciaki. Urządzają sobie zapewne jakąś zabawę. Miotają często przy tym straszne przekleństwa.

Tuż obok kościoła znajduje się wspianiały dom. To dawniejszy dom katolicki, zamieniony obecnie na klub komunistów polskich. Taki napis bowiem w języku rosyjskim i polskim widnieje przed głównym wejściem.

Wchodzimy do kościoła po licznych schodach. Drzwi są otwarte. W kruchcie stoi polska babinka i prosi o jałmużnę.

— Panie Boże zapłać — odpowiada, otrzymawszy rubla.

Wchodzimy do wnętrza. Serce wali mi młotem. Ludzi pełno. Wszak to Wielki Czwartek. Odprawia się ciemna Jutrznia. Przeważają kobiety i dzieci. Przy ołtarzu kapłan w kapie fioletowej w otoczeniu organisty i dwóch ministrantów. Kapłan śpiewa właśnie słynne słowa proroka Jeremiasza:

„Drogi Syjon płaczą, że nie masz, kto by szedł na święto uroczyste. Wszystkie drogi Jego pokazone. Kapłani jego wzdychający, niewiasty zgnęzione i samą gorzkością ściśnione...”

„Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana Boga Twego...”

Każde słowo przenika jak miecz. Wszak słowa Proroka, bólem i smutkiem nabrzmiałe, tak bardzo stosują się do tej strasznej niewoli, w której Syjon Kościół św. w Rosji się znajduje.

Jakaś dziwna cisza panuje w świątyni. Cisza katakumb rzymskich. Tylko serca żywiej uderzają. Raz po raz szloch się wyrwie wśród tłumu. Raz po raz ktoś wybuchnie głośnym płaczem. Tu przynajmniej Chrystus zrozumie i pocieszy. Tu jedyne miejsce jeszcze, gdzie można porozmawiać z kimś tak bardzo bliskim...

Rozglądam się nieco po świątyni. Panuje w niej półmrok. Ludzie modlą się przeważnie na różań-

cu. Przedwojenne książki do nabożeństwa już się zniszczyły. Nowych zaś nie wolno drukować. Ci ludzie w kościele to tacy, którzy zarabiają po kilkadziesiąt rubli miesięcznie, a więc przymierają z głodu. Oni nie mają już niczego do stracenia. Bieda jednak robotnikowi nieco lepiej uposażonemu, gdy wejdzie do świątyni. Od razu straci posadę, a nadto otrzyma surową naganą.

Jestem tym wszystkim tak bardzo oszołomiony, że drzę na całym ciele. W duszy budzą się jakieś gorące pragnienia. Równocześnie niewymowny ból targa całym moim wnętrzem, gdy patrzę na tę gehenną cierpień niewinnych naszych rodaków.

Po nabożeństwie chcę się zobaczyć z księdzem. Wstrzymuje mnie jednak mój znajomy. Szepce mi, że przez to narażę nie tylko siebie, ale i księdza.

— Przecież tu wszędzie pełno szpicli. Zauważą nas i awantura gotowa.

Po wyjściu z kościoła p. F. odpowiada mi na liczne pytania. Ksiądz, którego widzieliśmy przy ołtarzu, nazywa się Zakul. Wypuszczono go niedawno schorzałego z więzienia. Choruje on ciężko na serce i nerki i goni już resztką sił. Funkcje swoje kapłańskie spełnia prawnie z wiedzą G. P. U., które się liczy z rządem polskim. Do kościoła bowiem tego uczęszczają ambasador R. P. p. Grzybowski, konsul generalny p. Błaszkiwicz oraz urzędnicy ambasady i konsulatu. X. Zakul w myśl prawa socjowieckiego sprawuje swoje funkcje kapłańskie z ra-

22*

mienia zalegalizowanej polskiej gminy wyznaniowej. Na czele zarządu tej gminy stoi pewna robotnica polska, dobra katoliczka. Gmina ta ze swej strony upatrzyła go sobie jako „sługę kultu“.

X. Z. utrzymuje się z intencji mszalnych oraz z drobnej pensji, którą wypłaca mu zarząd gminy. Mieszka gdzieś na poddaszu, odwiedzany często przez gepistów. Chodzi ubrany jak zwykły robotnik. Sutannę przywdziewa dopiero w kościele. Mój znajomy opowiada również, że nie wolno księdzu utrzymywać żadnego kontaktu z konsulem polskim. Raz tylko w roku i to w Wielką Sobotę, przestępuje on progi ambasady i konsulatu celem poświęcenia potraw, i to tylko na 5 minut. Przedtem jednak konsulat zwraca się o pozwolenie do G. P. U. Przy tej sposobności dodaje, że i inni Polacy w Moskwie nie komunikują się nigdy z konsulem polskim. Od razu posądzono by ich o zdradę stanu.

Przedstawicielstwa wszystkich państw są pilnie strzeżone przez tajnych agentów. Dzień i noc patrolują oni przed gmachami ambasad czy konsulatów. Samochody ich stoją zawsze gotowe do wyjazdu. Gdy wyjeżdża samochód konsularny, w tej chwili za nim wyjeżdża samochód G. P. U. Gdy który z urzędników wychodzi pieszo do miasta, w ślad za nim udaje się gepista.

Wszystkie kościoły w Rosji są własnością państwa. Wierni mogą je atoli dzierżawić. W ten sposób polsko-katolicka gmina wyznaniowa dzierżawi oba kościoły polskie w Moskwie, tj. kościół świę-

tego Piotra i Pawła, raz drugi p. wezwaniem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Dzierżawa od pierwszego kościoła wynosi 12 tysięcy rubli (tyleż złotych) rocznie, od drugiego 6 tysięcy rubli.

Skąd jednak wierni biorą pieniądze na opłacenie tych czynszów?

Tylko z dobrowolnych składek. Ponieważ one nie wystarczają, pomagają sobie ludzie, jak megą. Więc wydzierżawia się np. podziemia kościoła św. Piotra i Pawła przedsiębiorstwu ogrodniczemu, które tam magazynuje cebulę, kapustę i inne jarzyny. Przedsiębiorstwo to płaci 6 tysięcy rubli rocznie, a więc połowę czynszu. W kościele rozcho-
dzą się zapachy cebuli, lecz na to nikt nie zważa. Ten dom Boży mimo wszystko pozostanie najulubieńszym miejscem dla wierzących dusz. Mogą polscy komuniści w czasie nabożeństw rzucać kamieniami w okna świątyni, mogą śpiewać sprośne piosenki — nic nie potrafi zamącić błęgiego spokoju, który z Tabernakulum płynie do skołatanej duszy.

To już nie zwykła pobożność, to siła jakaś tajemnicza, która przemienia się w ekstazę religijną. Ci ludzie zdolni cierpieć za Chrystusa najsroźsze katusze. Oni każdej chwili gotowi przelać krew męczeńską...

Taki zapał religijny jest, rozumie się, solą w oku bolszewików. Więc wyszukują coraz to nowe utrudnienia. I tak przed rokiem podnieśli czynsz dzierżawny za kościoły o 120 procent. Tego już nie wy-

trzymał budżet polskiej biedoty w Moskwie. Oba kościoły więc zamknięto. Obecnie przerabia się je na lokale publiczne.

Krótko po moim wyjeździe aresztowano ponownie X. Zakula za „sprzyjanie burżuazji“! Otrzymał on 10 lat katorgi na Wyspach Sołowieckich. Chyba tego nie wytrzyma biedne schorowane serce, osłabione już dawniejszą kazią.

Po uwięzieniu księdza, aż do zamknięcia kościołów, Polacy mimo to zbierali się w obu świątyniach, by odprawiać wspólne modły, by śpiewać polskie pieśni kościelne.

Rok temu na terenie całej Rosji było czynnych siedmiu kapłanów polskich. Dziś wszyscy bez wyjątku są uwięzieni lub rozstrzelani. Ogółem około 90 kapłanów polskich ślęczy i dogorywa w więzieniach bolszewickich.

W całej Rosji obecnie jeszcze tylko trzech kapłanów sprawuje publicznie funkcje kapłańskie. Są to obywatele państw obcych. W Moskwie przebywają: O. Brown, przydzielony do Ambasady Amerykańskiej, oraz X. B., kapelan Ambasady Włoskiej.

Rząd Polski przy obecnej koniunkturze mógłby również domagać się kapłana polskiego dla rodaków naszych w Moskwie. Chybaby mu tego nie odmówili.

W Piotrogradzie obowiązki duszpasterskie spełnia O. Florent, dominikanin z prowincji francu-

skiej. Minister Laval, będąc w swoim czasie u Stalina, prosił dyktatora o księdza francuskiego dla Francuzów, mieszkających stale w byłej stolicy państwa. Stalin z grzeczności zgodził się na to. Ponieważ taka była kiedyś wola dyktatora, więc O. Florent nadal tam przebywa. Inna rzecz, że bolszewicy wszystko czynią, żeby go stamtąd wydobyć. Oczerniają go więc przed wiernymi. Posądzają o szpiegostwo. O. Florent niewzruszenie jednak trwa na posterunku.

Pożałowania godnym jest również los cerkwi prawosławnej. Cerkwie również pozamieniano na muzea lub kina. Tu i tam nawet w Moskwie odbywają się nabożeństwa. Dzieje się to ze względu na cudzoziemców. W wielu wypadkach odprawia się służbę Bożą w mieszkaniach prywatnych. Nawet w wielkich blokach mieszkaniowych, pobudowanych w centrum Moskwy, są kaplice, o których wiedzą tylko wtajemniczeni...

Także i pobożność niektórych prawosławnych jest niezmiernie budująca. Liturgiczne pieśni religijne śpiewają często artyści, profesorowie, zmieszani z robotnikami i dziećmi. Cerkwie są często pięknie przyozdobione, zwłaszcza na Wielkanoc oraz z okazji innych wielkich świąt. Jest bardzo wiele chrztów 10 do 15 letnich, a także dorosłych. Nawet urzędnicy sowieccy, jak mówi mi mój znajomy, uczęszczają niejednokrotnie do cerkwi. Od-

wiedząc jednak cerkwie w dzielnicy podmiejskiej z obawy przed denuncjacją.

Zmienił się radykalnie stosunek wiernych do kleru prawosławnego. Nie uważa się już obecnie popów za carskich urzędników. Te czasy minęły. Wspólne cierpienia zespoliły lud z duchowieństwem nierozdzielnie. Starzy popi jeszcze niejednokrotnie noszą długie włosy i chodzą w szatach duchownych. Młodzi zaś pracują w różnych zawodach, zajmując nieraz nawet wybitne stanowiska. I tak do niedawna na czele wielkiej fabryki Łosinostrowskaja pod Moskwą stał Beresinoj, wyższy duchowny prawosławny. Popi organizują wśród robotników chóry śpiewu, które są rozsądnymi ideami powrotu do wiary ojców i tradycji.

Opowiada mi dalej mój przyjaciel, że jest jeszcze spora gromada tzw. popów wędrujących. Idą oni od miasta do miasta, od wioski do wioski i z niegasnącym zapalem głoszą Słowo Boże. W szepach, stajniach, piwnicach odprawiają nabożeństwa.

Są również tacy popi, którzy wskutek nieludzkich prześladowań popadli w obłąd. Przedstawiają oni wstrząsający widok. Głośno modlą się na ulicy. Klękają przed każdą cerkwią, chociaż zamienioną na kino lub lokal rozrywkowy. Są to widoczne symbole rosyjskich katakumb, do których zstąpić musiała religia w Sowietach.

Mimo bezustannych prześladowań olbrzymia większość narodu pozostała wierną swym trady-

cjon religijnym. Tego faktu nikt nie potrafi zaprzeczyć. Dowiódł tego również ostatni spis ludności, dokonany w ub. roku i unieważniony częściowo z powodu zdumiewających danych o liczbie wierzących.

Również Związek bezbożników, który liczył przed pięciu laty około 5 milionów członków, liczy obecnie niecałe trzy miliony. Wiara, gnębiona i niszczone całą potęgą aparatu państwowego przez tyle lat, wybucha teraz coraz to mocniejszym płomieniem.

Przechwalali się bolszewicy, że już wyniszczyli religię i że Boga wypędzili z Rosji bezpowrotnie. Dziś już sami przyznają po cichu, że rachuby zawiodły. Wewnętrzne grzmoty zwiastują nadchodzącą burzę. Nadejdzie ona prędzej, aniżeli jej się spodziewamy. I zawali się wszystko, co na ruinach świątyń zbudowano. A po krwawym rozgromie rozbłyszczą białe zagony, dojrzałe do żniwa...

Chrystus zwycięży!

Jedziemy po Moskwie całkiem swobodnie. Wiezie nas taksówka — archaiczny ford, prawdziwa taradajka. Uwijamy się po dzielnicy Moskwareckiej, Krasnogwardiejskiej, Leninowskiej, Kagańskiej, Kolniczewskiej. Policjanci kierujący ruchem na skrzyżowaniu ulic nie przypuszczają, że tym autem jedzie sobie katolicki kapłan — a jako taki reżimu bolszewickiego wróg nr 1.

Pomyślałem sobie, że Moskwa to chyba najsmutniejsze miasto na świecie. Ludzie mówią mało. Na twarzach nie widać nigdy uśmiechu.

Mężczyźni w wyświechtanych podartych rubaszkach. Kobiety w chustkach lub z beretem na głowie. Kapeluszy się nie widuje.

Znikły rasowe twarze słowiańskie. Przeważają teraz ludzie o grubych rysach, małych oczach i niezgrabnych ruchach.

I na tych twarzach maluje się przygnębienie. Wydaje się jakoby jakaś zhora siadła na piersiach tych ludzi. Wszyscy odczuwają jej ciężar, lecz nikt nie odważy się protestować. Owszem byli i tacy, lecz musieli za to płacić własną krwią... A zmorze tej na imię s t a l i n o w s k a d y k t a t u r a. Oto cała tragedia tego nieszczęśliwego kraju.

Mój towarzysz opowiada mi coś nie coś o S t a l i n i e. Jest to dyktator o aspiracjach chorobliwych. Nie znosi on nigdy sprzeciwu. Domaga się natomiast owacyj. Kto go nie oklaskuje, uważany jest za wroga państwa. Jego portret znajdować się musi w każdym domu. Trzeba przed nim bić pokłony, o wiele żarliwiej aniżeli to dawniej bywało...

Właśnie znajdujemy się koło słynnego K r e m l a. Jest to pałac ogromnych rozmiarów, wzniesiony na wywyższeniu nad brzegiem rzeki Moskwy. Tu mieszka dyktator Stalin. Niektóre okna są oświetlone. Może tam właśnie urzęduje

czerwony car. Opowiada mi p. F., że powszechnie mówi się o tym, jak to Stalin zamieszkuje w jednej skromnej izbie. Tymczasem tyran ten zajmuje aż jedenaście luksusowo urządzonych apartamentów. Większą część czasu spędza on w swoim biurze, które bywa często przenoszone z jednego do drugiego skrzydła. Stalin bowiem, który codziennie wydaje krwawe rozkazy, sam odczuwa paniczny strach przed śmiercią.

Kreml otoczony jest strażą, pełniącą służbę nawet wewnątrz zamku. Osobni strażnicy znajdują się na licznych wieżach.

W związku z tym opowiada mi mój towarzysz następujące zdarzenie. Do jednego z nich trzymającego w rękę trąbę, odezwał się ostatnio ktoś z uczestników wycieczki amerykańskiej, której z tej wieży chciano pokazać piękny widok na Moskwę.

— Co tu robicie z tą trąbą? — pyta rezolutny Amerykanin.

— Czekam na wybuch rewolucji światowej — odpowiada strażnik — a gdy wybuchnie mam za trąbić!

— Winszuję towarzyszu, ciągnie dalej Amerykanin — macie zapewnioną posadę na wieki wieków.

Przyboczna straż Stalina składa się z trzech tysięcy wiernych Gruzinów, współziomków Stalina, którzy otrzymują dodatkowy żołd i wyżywienie. Stalin rzadko wyjeżdża z Kremla. Wówczas nie

wolno nawet zbliżyć się do samochodu dyktatora. Grozi to ciężką karą więzienia. Dyktator otacza się ludźmi zaufanymi. Mimo to często ich zmienia, skazując niejednego z nich na śmierć lub ciężkie więzienie.

Udajemy się do teatru.

Jest to teatr reprezentacyjny, do którego prowadzi się wszelkie delegacje robotnicze z zagranicy i innych wielbicieli reżimu. Zajeżdżamy przed gmach teatralny. W westybulu już pełno ludzi. Jedno uderza. Stroje całkiem europejskie. Piękne futra karakułowe, drogie suknie wieczorowe. Ich właścicielki to żony dygnitarzy bolszewickich. Wśród nich dużo twarzy żydowskich. Nie widać tu całkiem biedoty, którą spotykaliśmy na ulicy.

Mimo, że miejsce kosztuje przeciętnie 20 rubli wszystkie bilety są rozsprzedane.

Mój znajomy zwraca się do zawiadowcy z prośbą o bilety. Tłumaczy mu, że przyjechałem z głuchej prowincji i że w teatrze jeszcze nigdy nie byłem.

Zawiadowca, chłopisko szerokich policzkach i jeszcze szerszych barach, w długich butach i jasnym ubraniu. Spogląda na mnie z politowaniem. Potem prowadzi nas do sekretariatu, gdzie otrzymujemy bilety dodatkowe.

Wnętrze teatru, zbudowanego jeszcze za dobrych czasów carskich, jest naprawdę imponujące. Bol-

szewicy ze swej strony poumieszczali na ścianach i na kurtynie godło komunizmu oraz rok 1917 jako początek rosyjskiej rewolucji.

Grają „K o n i o k g o r b u n o k“ — konik garbaty. Wystawa i gra bez zarzutu. Nie wolno jednak zapominać, że ten właśnie teatr jest jednym z głównych środków propagandy dla turystów zagranicznych.

W czasie przerw ludzie przypuszczają istny szturm na bufet teatralny. Zapijają drogie koniaki francuskie. Zjadają wyszukane smakołyki. Przeważają typy żydowskie.

Znajomy pragnie mi jeszcze pokazać najwspanialszy hotel-restaurację „Metropol“.

I tutaj wszystko jak za dawnych czasów. Służba ubrana w piękne czerwone liberie, kłania się do pasa. Wspaniałe sale rzęsiście oświetlone. Wszystkie stoliki zajęte. Muzyka gra. Pary tańczą. Obiad kosztuje tylko 50 rubli. Napływają ciągle nowi ludzie. Żydowice poubierane w najdroższe futra, w towarzystwie też dobrze ubranych wyższych urzędników sowieckich — również żydów.

Następnie oglądamy najwspanialszy w Moskwie sklep żywnościowy. Wewnątrz kolumny marmurowe, mozaika. To chyba dawniejszy pałac bogacza moskiewskiego.

Ceny zawrotne. Kilogram szynki 25 rubli. W sklepie setki ludzi. Wyszukują i kupują najrozmaitsze delikatesy.

Przed sklepem widać biedotę obdartą i źle odżywianą. Ci ludzie nie zawsze mają na chleb lub ziemniaki.

Teraz dopiero zaczęło mi nieco rozjaśniać się w głowie. A więc ta równość bolszewicka, tak szumnie reklamowana, to wierutne kłamstwo. Są klasy tak samo jak były za dobrych dawniejszych czasów. Są wyzyskiwani i wyzyskiwacze. Z tą tylko różnicą, że ci ostatni pełni cynizmu wyzbyli się wszelkich skrupułów i każdej chwili zdolni są do zbrodni.

Musimy jeszcze zobaczyć kolej podziemną! — słyszę nową propozycję. To przecież chluba bolszewików. Tym się szczególnie szczyć wobec zagranicy.

Zjeżdżamy. Wraz z nami zjeżdżają krasnarmiejcy w długich szynelach, robotnicy oraz rozmaite wyrostki. Tu się ludzie przynajmniej uśmiechają. Taka jazda sprawia im dużo uciechy. Jedyny to zresztą uśmiech, który spotkałem w Rosji.

Pociągi odjeżdżają co chwilę. Wagony są dośyć wygodne. Wiele w nich sensacyjnych reklam.

Znalazłszy się znowu na ulicy, spotykamy większy oddział żołnierzy. Na czele kroczy orkiestra. Wygrywa jakiegoś „czerwonego” marsza. Żołnierze kroczą poważnie bez szczególniejszej werwy. Mundury mocno zaniedbane.

Opowiada mi p. F., że armia bolszewicka liczy na stopie pokojowej milion pięćset ty-

sięcy żołnierzy. Armia jest dobrze zmotoryzowana i wyposażona w nowoczesny sprzęt wojenny. Rezerwy w ludziach przekraczają dziesięć milionów. Cóż z tego kiedy brak jej dowódców. Najlepszych oficerów wystrzelano. Na miejsce ich weszli prości podoficerowie, elementy zupełnie nieprzygotowane do objęcia kierowniczych stanowisk. Więc armia czerwona to kolos na glinianych nogach. Opowiada dalej mój przyjaciel, że w ostatnim czasie armia czerwona biła się już niejednokrotnie.

Widząc moje zdziwienie, tłumaczy mi jak to za pomocą wojska tłumiono ostatnio krwawe powstania, na północnym Kaukazie, na Ukrainie i w Azji Środkowej.

Takie bunty zdarzają się coraz częściej. Inna rzecz, że nie mają one szans powodzenia. Na miejsca zagrożone wysłała się zmotoryzowane brygady i samoloty bombardujące.

Po kilku dniach czy wreszcie tygodniach następuje „p a c y f i k a c j a“ terenów. Więc wszystko daremne.

— Niczego tak nie pragniemy jak wojny — mówi dalej.

Na wypadek wojny będzie powstań i rewolt bez liku. Ci ludzie zrozpaczeni uderzą widłami, kosami, czym tylko się da, na tyły czerwonej armii. Wówczas to dopiero zawali się wszystko i nadejdzie dzień upragnionej swobody.

Chadzamy po Placu Czerwonym. Tu odbywają się wszystkie parady wojskowe i państwowe uroczystości. Wstępujemy na chwilę do ma u z o l e u m L e n i n a. Zbudowano je z czerwonego marmuru. Dwaj krasnoarmiejcy stoją wyprostowani na baczność. Zabalsamowany Lenin spogląda w nas ze zdumieniem i nieco groźnie. Zmarszczki na wyóżłkiej skórze wyostrzyły rysy, dodając jego żydowskiej twarzy wyrazu zaciętości.

Kiedyś urządzano do mauzoleum istne pielgrzymki. Dziś tu już rzadko kto zagląda. Widocznie poznali się na Leninie i jego rzekomych dobrodziejstwach.

Zresztą Lenin nie bardzo mógłby się przyznać do wszystkiego, a zwłaszcza do ustroju panującego dziś w Rosji.

Spodziewał się bowiem Lenin całkowitego pochłonięcia państwa przez ustrój komunistyczny. Tymczasem poszła Rosja w kierunku upaństwowienia wszelkich dziedzin życia społecznego. Poza tym władza jak w państwach totalnych skoncentrowana została w rękach jednostki.

Lenin wymazał raz na zawsze nazwę Rosja, tworząc tzw. Z w i ą z e k S o c j a l i s t y c z n y c h R e p u b l i k R a d (Z. S. R. R.). Dziś jednak coraz częściej mowa o „rosyjskiej ojczyźnie“. Dziś nawołuje się do poznawania dziejów ojczystych. Gloryfikuje się bohaterów narodowych. Aleksandra Newskiego, Piotra Wielkiego, Kutuzowa, Suworowa itd.

Ostatnie objazdy po Moskwie. Oglądamy z daleka gmachy placówek zagranicznych, również i gmach Ambasady Polskiej, mieszczącej się w pięknym stylowym pałacu, należącym przed rewolucją do pewnego możnego arystokraty.

Jedziemy obok **N a r k o m w n u d i e ł** — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i **N a r k o m i n d i e ł** — Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Pod koniec zajeżdżamy do „k r y j ó w k i“ dobrze zamaskowanej... Spotykamy tam kilku Rosjan i dwóch Polaków. Odbywa się tam nawet małe przyjęcie i bardzo serdeczne rozmowy...

Postawiłem moim znajomym ostatnie pytanie.

Kiedy zmienią się nareszcie rządy bolszewickie?

— W Rosji dokonuje się wszystko powoli — odpowiadają.

Może jeszcze potrwać dwa lub trzy lata... Lecz to najwyżej. Przywódcy bolszewizmu sami się powoli wytępią. Po latach chaosu i terroru nastanie oczekiwane odprężenie.

— A potem? — pytam.

— Dawniejsza Rosja nie powróci. To pewne. Ogromne połacie ziemi pozostaną w rękach włościańskich. To też pewne. Przyszły ustrój będzie musiał się liczyć nieco z nowym pokoleniem, wychowanym całkowicie na zasadach komunistycznych i przesiąkniętym nim mniej lub więcej.

— Dojdzie zapewne do wielkich pogromów żydowskich. Boć żydzi mają tyle zbrodni na sumieniu, że naród rosyjski im tego nigdy nie zapomni.

— Nastąpi wspaniałe odrodzenie religijne. Prawosławie poniesie jednak duże straty na rzecz katolicyzmu. My katolicy w Moskwie mimo krwawego prześladowania rozumiemy najlepiej, że Kościół katolicki jest największym międzynarodowym bastionem wolności...

Jak chętnie pozostałbym jeszcze dłużej w Moskwie. Nie chcę jednak zbyt ryzykować.

Pożegnawszy się serdecznie z moim towarzyszem, udaję się na dworzec. Wsiadam z taksówki. Od razu podchodzi agent GPU.

— A wy kto takoj?

— Jestem grażdanin — obywatel polski.

— A od kuda wy jedietie?

— Jadę z Chin!

— A pasport u was jest?

— Jest.

Następują pytania, gdzie byłem, co robiłem. Tłumaczę się jak mogę. Przejechałem cały świat. Chciałem poznać i Moskwę. Byłem w teatrze, w mauzoleum Lenina...

Agent kiwa głową, że mi wierzy. Następnie towarzyszy mi aż do odejścia pociągu.

W ostatniej chwili zjawia się Berkowicz. Żydek cały zdenerwowany zaczyna mi wymyślać.

— Kto wam pozwolił się oddalić?

— Czy nie wiecie czym to pachnie?...

Kobieta-naczelnik w czerwonej czapce daje znak do wyjazdu. Ekspres nocny mija przedmieścia uśpionej stolicy, a potem wdziera się miarowym stukotem kół w cichą, mroźną noc. Mija sygnały na małych stacyjkach, zielone, czerwone, żółte, niebieskie.

Berkowicz przynosi mi nad ranem sporo bibuły komunistycznej w polskim języku.

— Niech Szanowny Pan zabierze — przeczyta. pomyśli...

— To nic nie zaszkodzi, a może...

Powiedziałem żydowi kilka cierpkich słów.

Od razu też wyniósł się z przedziału, nie pokazując się więcej.

Stajemy w O r s z y, w M i ń s k u, a w południe ekspres wtacza się, sapiąc ze zmęczenia, na tory ostatniej stacji rosyjskiej N i e g o r e t o j e.

Następuje ponowna rewizja bagażów, przykra i niebezpieczna... Tym razem nie mam szczęścia. Celnik bolszewicki, który zabiera się do moich bagaży, ma minę okrutną i twarz nabrzmiałą alkoholem. Każe mi rozwinąć wielki obraz chiński z Chrystusem ukrzyżowanym. Na widok obrazu roześmiał się szyderczo. Tak szyderczo, że dziś jeszcze brzmi mi w uszach jego chichot złowrogi. A potem zaklął, wymawiając straszne bluźnierstwo...

Oto ostatnie wrażenie z Bolszewii.

Siadamy znowu do pociągu. Zbliżamy się ku granicy polskiej. Gdzież ona? Na budce wartownika kolejowego widnieje jeszcze wielki portret Stalina.

A może teraz? — Dwóch chłopaków, stojących obok torów, przypatruje się pociągowi. Lecz nie — mają czerwone gwiazdy na czapkach.

Pociąg zwalnia biegu. Mijamy gniazda karabinów maszynowych i wielkie reflektory. Mijamy bramę triumfalną, wiodącą do czerwonego raj. A potem kilka linii drutów kolczastych i wysokie budki strażników. Powiewają chorągwie, plamiąc krwawymi płatami czerwieni śnieżną biel i błądzą błękit nieba. Ani jeden powiew nie zmąci uroczystej ciszy, panującej na granicy dwóch światów...

Pociąg staje. Do wagonów wchodzi polska policja. Serca biją radośniej. W duszy rozkwita radość. Potop słońca leje się na ukochaną ojczystą ziemię. Blaskami wiośniowymi i orłem białołówym na czapkach urzędników wita nas Polska, najdroższa Ojczyzna.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Do Neapolu	1
2. Morze Śródziemne i Kanał Sueski	10
3. Morze Czerwone	10
4. Na Oceanie Indyjskim	16
5. Bombaj, brama Indii	17
6. Indie współczesne	47
7. Mahatma Gandhi	53
8. Cejlon, rubin rzucony z niebiosów	60
9. Lwigród Singapore	79
10. Filipiny — Kraj 7000 wysp	91
11. Kongres — Wszechświatowy wylew miłości	101
12. Szanghaj, stolica nad Żółtym morzem	114
13. 2000 kilometrów przez kraj żółtego Smoka	132
14. Polscy Oracze na chińskim ugorze	144
15. Kościół Piotra przed żółtą bramą	161
16. Peiping, królowa chińskich miast	168
17. Tientsin, miasto kontrastów	180
18. Kraj wschodzącego słońca	188
19. Mugenzai no Sono	198
20. Nagasaki, miasto męczenników	207
21. Koba, Osaka, stalowe serca Nipponu	215
22. Święta góra Kojasan	229
23. Stolica Dalekiego Wschodu	241
24. Syn słońca i jego żołnierze	250
25. Świeci słońce wiary Chrystusowej	261
26. Wiśnie kwitną	267
27. Korea — kraj cichego poranka	275
28. Mandżu-kuo — kraj pokoju i cnoty	286
29. Polskie orły nad Sungari	297
30. Za czerwoną granicą	309
31. Moskwa, krwawiąca stolica	334

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

X. N. Cieszyński

ROCZNIKI KATOLICKIE

Poznań

M. Ehadourne

OSTASIATISCHE REISE

Berlin 1936

E. Knebs

UM DIE ERDE

Paderborn 1929

E. Lajtha

KRAJ WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

Warszawa

X. T. Radkowski

NAD OCEANEM SPOKOJNYM

Warszawa 1937

X. T. Radkowski

PRZEZ INDIE I MALAJE

Warszawa 1938

E. Zischka

JAPONIA

Warszawa

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego

OHM

INDIEN UND GOTT

Regensburg 1931

TO JAPAN

Tokio 1935

LES MISSIONES DE CHINE

Peiping 1936

S. Łubiński

MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Kraków 1927

K. Symonolewicz

MIRAŻE MANDŻURSKIE

Warszawa 1932

Lepecki

SYBIR BEZ PRZEKLEŃSTW

Warszawa

Ośrodek Postulatorski
Towarzystwa Chrystusowego